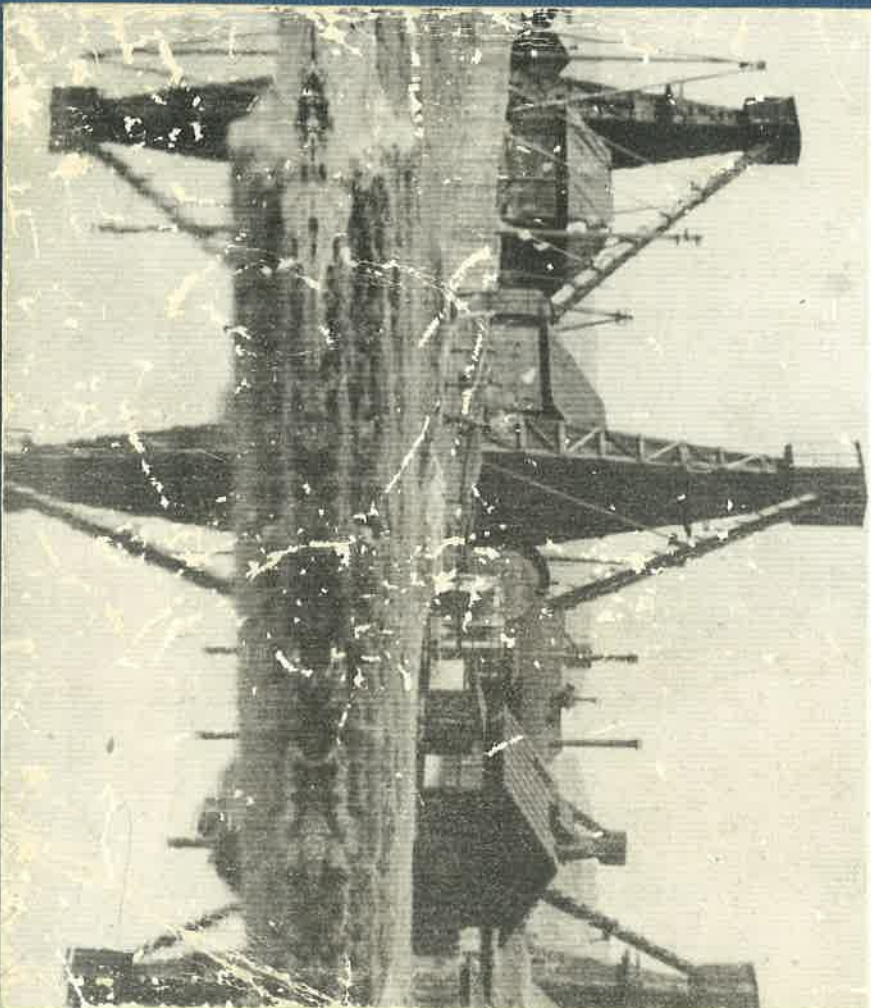


LEOPOLD HELD

A TYŚMIENICA NADAL PŁYNIE



נגר שמואל
פינסק 73
חיה 32713

LEOPOLD HELD

A TYŚMIENICA NADAL PŁYNIE

1100 1101
1102 1103
1104 1105

1106 1107

1108 1109

*Składam serdeczne podziękowa-
nia boryslawskiej braci, każdemu,
kto dołożył choć drobną cząstkę do
powstania tej książki.*

OD AUTORA

Urodziłem się w Boryslawiu, mieście, które różniło się wiele od innych, sąsiednich miejscowości tego regionu. Charakter miasta ukształtowała ropa naftowa. Dziecięce lata oraz młodość spędziłem wśród sztybów naftowych wdychając swoisty zapach czarnego złota. Ta atmosfera wpłynęła na moją przyszłą karierę. Wybrałem chemię. Wobec tego, że podlegałem, jak wielu innych żydowskich młodych ludzi, ustawie o numerus clausus — za poradą starszych kolegów wyjechałem do Francji, gdzie studiowałem chemię przemysłową, specjalizując się w ropie naftowej, której zostałem wierny aż do pójścia na... emeryturę. Przyjaźnie zawarte w owych latach przetrwały burze wojenne i — jak dalece prawa natury pozwalają — zachowujemy nasze kontakty mimo dzielących nas tysiące kilometrów.



Azkara — znaczy pamięć; Sefer Jizkor — znaczy Księga Pamięci. Historia tej książeczki zaczęła się przed dwunastu laty. Wówczas tak się złożyło, że do stolicy Szwecji zjechało grono boryslawian. A było to zupełnie przypadkowe. Nietrudno sobie wyobrazić, jak przebiegały spotkania, ile polało się wspomnieniowym łez. A pamiętasz?... To pytanie powtarzało się najczęściej. Szczególnie gdy na zaproszenie Beiki i Kula Meiselsów — zebraliśmy się w ich mieszkaniu. Jakże uczucia władały nami wszystkimi... Ugośzczenie przy-

brało niezwykle charakter, gdy w naszych rękach znalazły się albumy ze zdjęciami miasta, znajomych dawnych i dawno niewidzianych. Patrzyły na nas oczy młodych ludzi niepodobnych już do siebie, ludzi, o których wiemy, że już się z nimi nie spotkamy, że tylko wspomnienia pozostały. Tak... tak.. Obficie by przestaniaty oglądane twarze. Jeśli ktoś odezwał się — to było to jedynie westchnienie... A pamiętasz?...

Milczenie było głębokie... tak głębokie, jak może być dno pamięci. Czas uciekał... albumy przechodziły z rąk do rąk... Cicho, bardzo cicho odezwała się Róża, która przyjechała z Polski:

— To musi być napisane, to trzeba przekazać dzieciom. Chwila przerwy. Róża zwróciła się do mnie:

— Napisz, opisz dziś jeszcze spotkanie. Niech to będzie coś w rodzaju sprawozdania, coś, aby nie przepadło... To trzeba ocalić od zapomnienia... Koniecznie!

Działo się to w lecie 1978 roku.

W listopadzie tegoż roku, w dzienniku polskojęzycznym w Tel-Awiewie „Nowiny-Kurier” opublikowany został mój artykuł *Borysław naszej młodości*. Nazajutrz przedstawiciel Komitetu „Do not forget” — bhp. Munysz Majer, zaproponował mi telefonicznie, abym napisał Sefer Jizkor dla uczczenia ofiar zagłady Borysławia.

— Niestety, ja nie umiem pisać książek — odpowiedziałam.

Prawdę powiedziawszy propozycja Majera chodzila za mną. Zaczęłam reporterską robotę. Rozmawiałam z ziomkami, nagrywałam na taśmę magnetofonową. Skorzystałam ze sposobności wykozystania zeznań złożonych w Yad Vashem i „opowiadań”, które przysłał mi Borysławianin. No i tak powstał zbiór, któremu dałam tytuł *A Tyśmienica nadal płynie* — jako charakterystyczny dla miasta. Zdając sobie sprawę, że aby wspominać o miejscu, jego ludziach — trzeba jeszcze dużo, bardzo dużo pisać...
W jednym celu: ocalić od zapomnienia.

I. POCZĄTKI

NIEŁATWE NARODZINY (Co nieco zbeletryzowana historia)

— A pan skąd przyjechał? A pan skąd pochodzi? Zwykle, proste, bezpośrednio pytania, typowe w Izraelu przy zawieraniu znajomości.

— Przyjechałem z Polski, z Warszawy, pochodzę z Borysławia.

— O, Borysław! To przecież nafta... Zaraz... zaraz... Miałem przed wojną znajomych w Borysławiu. Poznałem ich bodaj w Sopotcie, a może w Truskawcu. Truskawiec... to blisko pańskiego miasta, prawda? Ci moi znajomi, pamiętam, mieli jakieś interesy z naftą, kopalnie czy co innego. Pan ich na pewno znał... Stern, Himmel, Bloch, zdaje się inżynier. Nie wie pan co z nimi? Mój ruch ręką wystarczył za odpowiedź.

★

Zanim „Borysław — to przecież nafta!” było tak...

Historia tego miasta, kiedy był gęsto zalesioną — jak sama nazwa wskazuje — rzadko zamieszkałą podkarpacką wsią, nie zaczęła się od nafty. Ziemia nie była jednakowa na całym obszarze wsi. W niektórych częściach mieszkańcy nie mieli kłopotów z uprawą roli. I ziemia rodziła zgodnie z porami roku, z wykopanych, nawet niegłębokich studzien czerpano dobrą, smaczną wodę.

Tak się złożyło, że właśnie tam, gdzie ziemia okazała się niełaskawa, osiedlili się Żydzi. Nie, żeby ich kto zmuszał lub nakłaniał. Wybudował swoją chatynkę Burech Gruber przy pomocy swych, już dorosłych synów. Jego połowica Łaja robiła mu ciągle wyrzuty: —

Gdzie twój rozum? Żeby Żyd był taki głupi! Dlaczego mamy mieszkac tu, gdzie nic nie wyrośnie, gdzie nie ma wody? Oj, Boże, Boże, pomóż...

Dobroduszny mąż uspokajał żonę: Bóg dobry, Bóg da...

Niedaleko mieszkał Łuzer Hersz Nadler, który przed kilku laty przeprowadził się z Kropiwnika po tym, gdy powódź pozdawała go schedy po ojcu, zichrono! wracna¹. I wtedy postanowił przenieść się do innej, mniej górzystej wsi, ale daleko od rzeki, zresztą o wiele mniejszej niż ta, która nieraz burzliwie toczyła swe wody w rodzinnym Kropiwniku. A poza tym jeszcze jakiś krewniak również tu mieszkał. Daleki krewniak, bo daleki, ale zawsze swój. W dodatku reb² Schreiner, bo to o nim właśnie mowa, znany był nie tylko jako pobożny Żyd, prawie jak rabin, znający Pismo Święte, ale mówiono o nim, że ma mądrą głowę i potrafi nawet czytać po gojsku.

I tak stopniowo, owczym pędem — powstało pokazne osiedle, zamieszkałe tylko przez Żydów. Na poranne i wieczorne modły zbierali się najpierw po sąsiedztwu, raz u Gruber, innym razem u Schechtera lub Schreimera. Właśnie na jego wniosek postanowiono zbudować bożnicę. Z czasem okazała się niewystarczająca i nie mogła pomieścić ośmiu minianim³ dorosłych ludzi. Uradzono, że modły będą się odbywały rano i wieczorem na dwie zmiany każde. Wszyscy Żydzi chcieli przecież chwalić Boga, a i wszyscy mieli jakiś pretensję, żale i prośby do Pana w niebiosach, który najsukuteczniej wysłuchuje wiernych w czasie ich modlitwy.

A było o co się modlić, czego żądać, o co prosić. Jedna wspólna bieda zamartwiała wszystkich. Ziemia jakaś dziwna, inna niż w sąsiednich osadach, tam, gdzie wśród zielonych liści drzew ptaszki świergocą, gdzie pola łanami wysokich, bujnych kłosów pszenicy i żyta pokryte. W pogodne letnie soboty rodziny Gruber, Schreimera, Wolfa i dzieci tej biednej ułomnej wdowy Chai wyruszały na tę „drugą stronę” i z zazdrością patrzyły, jak to Wszchemnocy obdarzyli tamtejszych gospodarzy, a ci wszak do wybranego narodu nie należą.

Więc jak to jest? Dlaczego? Baruch⁴...

Nie daj, Boże, deszcz... a na wiosnę i jesienią padało często. Gęste błocisko jakimś tłuszczem chyba prześląknięte, przyklejało się do

butów, do spodni, bekieszy i długich spódnic. Trzeba było nie lada zabiegów, aby to błoto choćby częściowo usunąć. A plany i tak zostawały na zawsze. Czasem, bardzo rzadko, po wypraniu w pobliskim potoczku na ciężkiej drewnianej karbowanej tarze, brud zdawał się znikać. Co z tego? Po następnym deszczu — znów to samo... Skaranie boskie... A jakie kłopoty z wodą! Nie, nie z wodą... bez wody. Bo ta, której się dokopano, nie nadawała się do picia, ani do gotowania posiłków. Siarką śmierdzi, a zapach ten nawet po długim gotowaniu nie znika. Śmierdzi i już. Senderowi, temu jednorękiemu ślaczowi, udało się przy pomocy synów, też nie lada osiłków, wykopać studnię z dobrą wodą. Baruch Haszem? Mało jednak tej dobrej wody, dla wszystkich nie starczy, nawet nie dla połowy mieszkańców. Próbował obok tej studni Nuchym, co to najwięcej zarabiał u dzieci, bo na swoim straganie słodycze sprzedawał. (Pożał się Boże, co to za zarobek!) Próbował, kopał, pomagala mu żona Szajndla Ryfka. Napracowali się do siódmych potów. Jest! Jest woda... Radość trwała krótko. Woda, jak w innych studniach śmierdząca siarką. Nawet koza, którą Szajndla Ryfka doi i bliźnięta kozim mlekiem karmi, tej wody pić nie chce. Dobrze, że Sender pozwala czepać ze swojej studni. Narzekania we wszystkich domach nie ustawały.

Reb Schreiner wyróżniał się w tej gromadzie znajomością świata. Jeździł do Drohobycza i do innych miast, skąd przywoził gazety i w sobotnie wieczory po modlitwie opowiadał ludziom nowinki, jakie przeczytał i o jakich słyszał. Jego pasją było majsterkowanie. Piekarzowi Majdechowi Weissowi przebudował piec i odgład wypiek chleba był znacznie lepszy. Uhmennu Josef Wolf Halberowi zrobił kule, dzięki którym biedny kaleka mógł się poruszać.

Reb Schreiner uruchomił w domu wytwórnię świec, co przynosiło mu jakie takie dochody, zwyczajny, że nie dysponował należytyymi zasobami surowca, jakim był wosk pszczoły. Nie mając zbyt wygodnych wymagań mógł ze swoją rodziną spokojnie prowadzić życie. Mógł... tak. Ale co robi Pan Bóg? — jak powiadają Żydzi. Drepczyła reb Schreiner ogromna troska. W codziennych rozmowach z żoną ciągle wychodziło to znamię. Synek, którego

oboje ubóstwiali, przysparzał im kłopotów. I melamed⁶ z chederu⁷ skarżył się, że Awremele siedzi zawsze zadumany, podczas, gdy inne dzieci uczą się plinie chimusz⁸, a on, ten wasz kadysz⁹ siedzi nad księgą i jakby spał z otwartymi oczyma... Ojciec i matka niepokoił się gorzko o swego jedynaka, który nie okazywał ochoty nawet do zabawy z rówieśnikami.

— Co to wyrosnie z naszego Awremele? Panie w niebiosach, zniż się nad nami!

W piątki Awremele odnosił do wszystkich domów zamówione u ojca świece. Przed nadchodzącą sobotą paliły się schreinerowskie świece we wszystkich żydowskich mieszkaniach.

Awremele pomagał ojcu, gdy ten zabrał się do kopania studni. Tu — powiada ojciec — powinna być dobra woda. Pierwsze łopaty ziemi zostały odrzucone, gdy reb Schreiner przerwał nagle robotę... Nachylił się i podniósł kilka twardych grudek. Awremele ze zdumieniem patrzył na ojca.

— Nu, tate...

W odpowiedzi ojciec pokazał synkowi na swojej dłoni kilka oczyszczonych z gliny ciemnych bryłek i powiedział:

— Idziemy do domu.

Zapadał wieczór, trzeba się śpieszyć, aby się nie spóźnić do bożnicy. W czasie modlitwy, choć to grzech, Schreiner nie przestawał myśleć o tych grudkach. Po modlitwie nie został tym razem, jak zwykle, na rozmowy i szybko poszedł do domu. Patrzył w ciemne niebo. Wydawało mu się, że gwiazdy do niego porozumiewawczo mrugają. Nie opuszczała go myśl o zawiniątku w kieszeni surduta, o tych znalezionych bryłkach. Awremele szedł w milczeniu obok ojca. Dziwiło go zachowanie ojca, ale nie śmiał zapytać o powód pospiechu.

Żona reb Schreiner dziwiła się również, że mąż nie zasiada do stołu, by razem spożyć, jak zawsze, wieczerę. Siedziała każdy jego krok, a on uśmiechając się i nucąc melodyjny urywek modlitwy, wyjął swoje grudki z papieru i włożył je do płaskiego blaszanego pudełka. Jak to dobrze — pomyślał — że znalezione na ulicy w Drohobyczu blaszane pudełko przywoził do domu. Miał w ogóle manie zbierania

przypadkowo znalezionych przedmiotów...czy to gwóźdź, niech nawet będzie zgięty i zardzewiały, przyda się; a to znów sznurek czy gładki kamień, jaki może się przydać do ostrzenia kozła. Żonie to się nie podobało. Narzekała, krzyczała, że głupi, że ma już w izbach pełno takiego śmiecia, że wyrzuci to wszystko. Ale koniczyło się tylko na groźbach. Po co martwić męża!

Na kuchennej płycie grzeje się jeszcze wieczera, a obok dwóch garnków Schreiner obserwuje, co się dzieje w blaszanym pudelku. Jest podenerwowany. Oto grudki topią się i zamieniają w gęsty płyn. Schreiner odsunął ostrożnie swoje pudełeczko na bok, poza gorącą płytę i patrzył...patrzył zadumany. To, co działo się przed jego oczyma, przypominało mu bez wątpienia surowiec, z którego wytłóbiał świecę: topił się na gorąco i zastygł w chłodzie — wosk pszczoły.

— Boże, co za łaska spada na mnie! — pomyślał. — Przecież to także jakiś wosk. Będą z niego świece, będą...

Nazajutrz, wczesnym jesiennym rankiem, po niespokojnej, pełnej rozmyślań nocy, zszedł z łóżka cichutko, aby nie obudzić żony i synka i wychodząc trzy razy ucałował mezużę¹⁰. Z zachmurzonego nieba mżył chłodny deszczyk. Schreiner oparł łopate i kilof o ścianę domu, opasał się sznurkiem i podniósł kominiec surduta. Sprawdzał czy z kieszeni nie wypadł woreczek i ruszył z narzędziami ku swojej studni.

Pracował z zapętem, aż zgrzany przerwał kopanie i uzbierał do woreczka sporo grudek. Stał i dumnał, jak długo — nie zdawał sobie sprawy. Zauważył, że z komina jego mieszkania unosi się dym, a to znaczy, że jego Blima już gospodarzy. Z wykopanym skarbem pośpieszył do domu. Po drodze postanowił, że na poranne modły pójdzie na drugą zmianę. W domu zabrał się gorączkowo do roboty.

Schreiner opanował zdenerwowanie. Świdzieli, że nawet ręce mu trochę drżą, co z początku przeszkadzało przy zawiązywaniu knotów w blaszanych foremkach. Już gotowe... już leje się roztopiony wosk do rurek i tylko czekać... czekać...

W boznicy zdziwili się ludzie, że reb Schreiner dopiero teraz przychodzi. To zdarzyło się chyba pierwszy raz.

— Nu, co jest? Czy, uchowaj Boże, coś się w domu stało?

Obecni patrzyli na Awremelę, jakby chcieli w jego twarzy wyczytać odpowiedź na ich pytania. A on uśmiechał się tylko i milcząco stał obok ojca.

Po modlitwie reb Schreiner szybko złożył *tales*¹¹ i *tefilin*¹² wraz z modlitewnikiem do ciemnozielonej sukiennej torebki i, jak zwykle, dał synkowi, po czym obaj wyszli z boznicy. Awremele ledwie mógł nadążyć za szybkimi krokami ojca, zwłaszcza, że wiatr z ukosa dmącały, smagał twarz padającym deszczem. W mieszkaniu zastał Schreiner żonę nachyloną nad blaszanymi foremkami, w których zastygły świece. Nic dziwnego, że i jej udzieliło się zdenerwowanie i zniecierpliwienie.

Reb Schreiner wiał do ręki pierwszą świecę wyprodukowaną z tak zwanego wosku ziemnego. Przypatrzył się jej i jakby zwrócił z zapaleniem. Raził go zbyt ciemny — jego zdaniem — kolor. Zapalił.

— Niech będzie w dobrą godzinę — odczytywała się Blima. I wtedy przykuszył Halber z prośbą, aby sąsiad naprawił mu jedną kulę. Był więc świadkiem wyjątkowego zdarzenia. Reb Schreiner wcale nie tał przed nim swego odkrycia. Fama o nowym surowcu dotarła szybko do wszystkich domów żydowskich. Oczywiście, że po wieczornej modlitwie jedynym tematem rozmów było odkrycie reb Schreiner.

— Przecież to prawdziwy cud! — dąły się słyszeć głosy. — Może cała ta ziemia ma ten wosk? Oj, to będziemy bogaci!

— Ha! ha! ha! — rozśmiała się głośno Mojsze zwany *Łec*¹³, ponieważ zawsze miał na podorędziu jakąś przypowieść lub dowcip.

— Cud? Słuchajcie! „Pewien cadyk”¹⁴ cudotwórca opowiedział uczniom o następującym cudzie: Biedna matka porzuciła w lesie swe dziecko, bo nie miała pieniędzy na jego wyżywienie. Dziecko leżało w lesie i płakało. Płacz niemowlęcia usłyszał pewien drwal i wziął je ze sobą. Dziecko było głodne i ciągle płakało, a drwal nie miał pieniędzy, by kupić mu mleko. Jak myślicie, co zrobił Pan Bóg? Pan Bóg uczynił cud. Wiekniasty sprawił, że drwalowi urosła pierś pełna mleka, żeby mógł nakarmić dziecko”.

Rozbawione cichoty słuchaczy napętniły bożnicę.

— Oj, Mojsze Łec, jak ty coś powiesz, to można pęknąć ze śmiechu...

— Sza... sza... Żydzi! Jeszcze nie skończyłem. Słuchajcie dalej. Kiedy rabin skończył opowiadanie, na twarzach uczniów pojawił się zachwyt. Tylko jeden miał niezadowoloną minę. Rabin zwrócił się więc do niego:

— Wyglądasz, jakby ci się ta historia nie podobała.

— Niezupenie — odpowiedział uczeń — ja tylko nie bardzo rozumiem, dlaczego Pan Bóg postąpił tak właśnie, czyniąc cud niezgodny z prawami natury. Przecież Pan Bóg mógł uczynić inny cud, aniżeli danie mężczyźnie piersi kobiecej. Mógł na przykład zrzucić z nieba worek z pieniędzmi. Wtedy drwał by go znalazł, przysłałby mamkę i wszystko byłoby w porządku. Dziecko miałoby opiekę, a prawa natury nie zostałaby naruszona.

— Mój drogi, jesteś przecież człowiekiem myślącym. Powiedz sam, jeżeli Pan Bóg może zrobić taki cud, żeby drwalowi urosła piersi kobieca, to po co ma wydawać tyle pieniędzy w gotówce?¹⁴

W wesołym nastroju rozeszli się Żydzi do domów.

Schreiner nie był zachwycony kopaniem płomieniem świecy z wosku ziemnego, ale myśli o darmowym surowcu, który kosztuje właściwie tylko trochę wysiłku, podpowiadała mu, że z czasem uda się i ten feler usunąć. Najważniejsze to fakt, że można powiększyć produkcję i to znacznie. Tylko trzeba uzupełnić liczbę blaszanych foremek. Poszedł więc do blacharza Mendla zwanego Rudym, w odróżnieniu od Mendla zwanego Czarnym, który trudnił się bednartwem. Rudy Mendel gładził swoim zwyczajem swą małą brodkę, pokazał reb Schreinerowi kilka arkuszy blachy do wyboru.

— Zrobi się, reb Schreiner, będą te rurki takie, jak pan chce, z boską pomocą. I żeby Bóg dał, aby pan był zadowolony i dobre świece robił.

Zgodnie z przewidywaniami wosku było bardzo dużo i — co ważne — wcale nie gębokko, prawie na samej powierzchni ziemi. I klientów przybędzie.

Bywało, że Blimele, jak reb Schreiner pieszczotliwie nazywał swoją żonę, musiała pod wieczór przypominać mężowi, że pora pójść do bożnicy — tak się zapracowywał.

Zaczęli i sąsiedzi kopać obok swych domów. Jeśli Opatrzność obdarzyła ich więc takim skarbem, to dlaczego tego nie wykorzystać! Icyk Kluger zwrócił się do reb Schreimera, aby pracowali do spółki, lecz Schreiner się nie zgodził.

— Mnie wystarczy wosku tyle, co mam ze swego dołu, a w robocie i sprzedaży pomaga mi mój Awremele.

Tych woskowych dołów powstawało coraz więcej. Wszyscy ich właściciele gromadzili wydobyte grudki, bo wierzyli, że dobrze sprzedadzą. Niektórzy sąsiedzi próbowali również robić świece, ale nie szło im. Nie mieli tego doświadczenia ani odpowiednich urządzeń, jakie miał reb Schreiner.

Trzeba przyznać, że reb Schreiner postąpił uczciwie. Skoro surowiec miał tani, co tam tani... za darmo, obniżył znacznie cenę świecy. Produkcja rosła, klientów przybywało.

Był już późny październikowy dzień. Na przydrożnych drzewach wiatr kołysał gałęzie z ostatnimi liśćmi, żółtymi, brązowymi, tu i ówdzie jeszcze zielonymi. Padał drobny deszcz. Las przygotowywał dla swoich mieszkańców zimowe leże. Awremele śpieszył po mokrej ścieżce z Truskawca do domu. Lubił tę drogę, którą ostatnio często przemierzał. Z przyjemnością śledził plaki, przelatujące z drzewa na drzewo, chłonał owe zagadkowe odgłosy dochodzące z głębi lasu... Gdy wyszedł na gościniec, dobiegło go z daleka szczekanie psów, pilnujących gospodarstw zamieszkałych tu Rusinów. Worek, w którym zaniósł do Truskawca świece, był teraz lekki. Dwie flaszki tej dziwnej truskawieckiej wody, które niesie dla ojca, wcale nie ciążyły. Dzięki tej wodzie właśnie Truskawiec stawał się już coraz bardziej znanym kurortem. Nawet w jesieni przyjeżdżali tu ludzie, aby leczyć schorzone nerki czy inne dolegliwości tą naturalną mineralną wodą, śmierdzącą jakby siarką czy zgniłymi jajami.¹⁵

— Dziwne, przecież i w naszych studniach woda tak podobnie śmierdzi, a może nie tak... to chyba nie ta sama woda...

Tym razem miał Awremele jeszcze powód do innych rozmyślań. Truskawieccy klienci narzekali na świece, które im przynosi... że kopcą, że sadza pokrywa wszystko w izbie, że nie świecą jasno, a

naigorsze, że strzelają. Mogą płacić więcej, ale chcą mieć dobry towar, jak to było dawniej.

Wieczorem, gdy reb Schreiner przygotowywał się do kolejnej produkcji, Awremele odczwał się cichutko:

— Tacie, wiesz, co mówili w Truskawcu?

Ojciec oderwał się od roboty zdumiony. Co się stało, że jego syn w ogóle chce coś powiedzieć. Dziwne... No i usłyszał cedzone przez Awremele słowa o skargach i narzekaniach klientów.

— Wiesz, tate — zaczął chłopak nieśmiało — mnie się zdaje, że twoje świece z tego wosku mogą być lepsze. — I zamilkł. Może ojciec się pogniewa... Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Lepsze, mówisz? Jaki mądrała zrobił się nagle z mego kadzys! Nu, to co trzeba zrobić, aby były lepsze?

— Trzeba, tate, lepiej oczyścić wosk i wtedy...

Awremele nie mógł dokończyć, bo ojciec przerwał mu i nawet dość ostro.

— Co, ja nie oczyszczam wosku? Ja... ja... — Zdeenerwowany reb Schreiner zamilkł.

Twarz Awremele spłonęła rumieńcem. Może załował, że w ogóle coś powiedział, że śmiał wprowadzić ojca z równowagi. Ale przecież trzeba... dla dobra ojca... Matka zbliżyła się do syna, pogłaskała go po głowie i z wyrzutem spojrzała na męża.

— Tacie, ja nie mówię, że nie oczyszczasz wosku. Na pewno oczyszczasz...

— No to co?

— A może trzeba nie tak, może trzeba inaczej?

— A jak... jak? Może sam lepiej to zrobisz i pokazasz mi jak trzeba, ty mój chuchym fyr der ma nysztane!¹⁷

— Dobrze, tate, ja spróbuję.

W dużym garnku roztopił Awremele wosk do stanu ciekłego i w przeciwieństwie do dotychczasowej praktyki ojca, nie wlewał go od razu do foremek, przez które tymczasem ojciec przeciągał napięte bawełniane knoły. Awremele odczekał chwilę, po czym czepakiem przejął powoli górną warstwę roztopionego wosku do innego garnka, zostawiając pokazać resztę w poprzodnim, tym większym. Ojciec

przypatrywał się z uwagą tym czynnościom. Nie trudno mu było teraz zrozumieć zamiysł syna.

— Teraz, tate, ten wosk z drugiego garnka wlewaj do rurek, bo dla mnie one są za wysoko i ja nie dosięgnę.

Awremele ocierał pot z czoła. Nie było mu nawet tak bardzo ciepło, ale myślał, że jego próba nie da odpowiednich wyników, niepokoiła go.

Chłopakowi wydawało się, że czas dłuższy się niesamowicie, że stygnięcie trwa wieki całe. I rodzice niecierpliwiili się, szczególnie matka. W myślach modliła się, aby pomysł jedynaka udał się możliwie najlepiej.

Uczucie tliwosci ogarnęło reb Schreinera i jego Blimele, gdy pierwsza próbna świeca, sporządzona z czystego wosku według pomysłu ich syna, paliła się jaśniejszym płomieniem, nie kopcila, choć tylko trochę... i nie strzelała. W jaki sposób Awremele doszedł do tego pomysłu, pozostanie na zawsze zagadką. Przecież nie uczył się nigdy chemii ani fizyki, a, jak wiemy, i w chederze nie celował w nauce Pisma Świętego. Pytany przez rodziców, skąd wziął ten pomysł, niezmiennie odpowiadał: — Nie wiem.

Interesy reb Schreinera poprawiły się znacznie. Świece jego produkcji kupowali nie tylko miejscowi, ale i mieszkający Mirznicy, Schodnicy, Tustanowic, Truskawca, Drohobycza.

Najbliższy piątkowy wieczór był w domu reb Schreinera szczególnie uroczysty. Matka Awremele okryła głowę białą chustą. Na stole przykrytym świątecznym obrusem leżała chata pod wyszytą przez matkę nową serwetą. Świece tkwiły w nowych mosiężnych lichtarzach. Na kłidusz¹⁸ przygotowane było wino własnego wyrobu. Biłna stała chwilę przed zapalonymi świecami, kolistym ruchem ramion objęła płomienie i rękami zakryła twarz. Zupełnie cichutko wyszeptała: — Błogosławiony bądź Boże nasz, Królu wszechświata, który nakazujesz nam zapalać sobotnie świece.

A nieco głośniej: — Panie mój na wysokościach, jesteś pełen łask, obdarzyłeś nas synem, co nosi imię Praojca. Spraw, Boże, aby rósł Tobie na chwałę, nam na pociechę. Amen.

Mąż i syn powtórzyli przeciągle: — Amen.

★

Więć o bogatej w wosk ziemi dotarła do miejscowości oddalonych o dziesiątki i setki kilometrów. Coraz więcej przybywało do wsi ludzi. Ledwo pobudowali jakieś takie chatynki, zabierali się do kopania. Prawie zawsze, z małymi wyjątkami, znajdowano wosk. Cała okolica pokryła się dotkami, które po pewnym czasie trzeba było pogłębiać, aby wydobywać cenny surowiec. Niektóre doły osiągały nawet kilkadziesiąt metrów głębokości. W takich przypadkach można było dostać się na dół po drabinach albo w kotle umocowanym do łańcucha ręcznego kołowrotu. Ludzie ryli w ziemi, jak krety, szukając wosku w wykopanych poziomych korytarzach. Co zamowniejsi, do których los się uśmiechnął i dał im bogate pokłady, zatrudniali w tej czarnej robocie bojków, jak nazywano w tych okolicach ubogich Rusinów. Nie obeszło się bez nieszczęśliwych wypadków, jako że im głębiej, tym częściej napotymano na niebezpieczeństwo w postaci gazu, jak w kopalniach węgla. Prymitywne środki ratunku często zawodziły. Ratunek był tym trudniejszy, że średnica takiej „kopalni” wynosiła u wejścia zaledwie 1,5 metra

★

Świece reb Schreiner a cieszyły się zbytem i dość długi czas oświetlały domki i chaty mieszkańców tych ziem oraz niektórych dalej położonych miejscowości. O tym borysławskim skarbie zwieździeli się producenci świec z wosku pszczołowego mieszkający poza Borysławiem i bez trudu wykalkulowali sobie że towar z nowego surowca będzie może nie tak dobry, jak wytwarzany dotąd, ale o całe niebo tańszy. A że ich urzędzenia były o wiele wydajniejsze i naonczas bardziej nowoczesne od prymitywnych foremek reb Schreiner a, nasz borysławski „fabrykant” nie mógł z nimi konkurować, mimo że wosk miał przecież za darmo.

Zamieszcowi wykupywali cały zapas wosku wydobywany w Borysławiu. Mieszkańcy Borysławia, chociaż życzliwie usposobieni do reb Schreiner a, kupowali świece przywożone z miasta przez samego producenta, bo były lepsze.

— Lepsze? — zastanawiał się Awremele. Może oni coś dodają do wosku.

Ani ojciec, ani on nie mogli dociec rozwiązania tej zagadki.

Prawda, dla reb Schreiner a ta konkurencja stanowiła mocne uderzenie. Czy już kończy się krótki okres powodzenia? Było wiele nie przespanych nocy, ale w końcu przestał się martwić pierwszy producent świec z wosku ziemnego w Borysławiu.

Był luty. Wiś stanęła w okowach mrozu. Śnieg zasypywał doły, ziemia stwardniała. Ludzie przestali kopać. Ci z miasta przyjeżdżali z myślą zakupienia wosku, lecz wracali z niczym. Jedynie reb Schreiner stanął w zawody z zimą. Pomagał mu, jak mógł Awremele. Na poletku, przyległym do ich domu, wyrzucali kilofem i łopatą gruzy zamrażniętej ziemi. Na drewnianych nosikach, zbitych z wąskich deszczulek, zanosili urobek do zabudowania. I tym razem pomysłowość Awremele przysłała ojcu z pomocą. Na przeciwnych bokach nositek uwiązał odpowiedniej długości sznury, które — ojciec z jednej strony, on zaś z drugiej zarzucali na kark, co pozwoliło obciążać nosiki bardziej, a lżej było ra. onom. Ojciec z prawdziwą przyjemnością patrzył na swego jednaka.

— Jak to się dzieje? Takie to było dziecko, ani mówić, ani się uczyć, jak należy... Na pytania odpowiadał krótko, jednym lub dwoma słowami... A w tej główce rodzą się takie pomysły. Rośnie z mego syna człowiek. Trudno, nie będzie uczony rabin z niego, ale z taką głową... kto wie... Już teraz potrafi to i owo naprawić, ulepszyć... O, Boże, trzymaj nad nim swoją prawicę...

Reb Schreiner zdawał sobie sprawę, że jeśli ludzie zaczęli kupować jego świece, to zawnięcza to srożej zimnie i temu, że nigdzie indziej świec kupić nie mogą. I przewidywał, że ta poprawa interesów jest chwilowa, nie potrwa długo. Najwyżej do końca zimy.

— Co — mówił — nasze świece nie pójdą? No to co? Ale nasz wosk pójdzie... Tej parnasy¹⁹ nikt nam nie zabierze. Bóg dał i Bóg będzie miał nas w opiece. Wosk jest tylko tu, w Borysławiu, w naszej wsi. Interes zawsze będzie.

Z nastaniem wiosennej odwilży wszystko się rzeczywiście znowu zmieniło. Przyjeżdżali fabrykanci i odwozili wosk do Drohobycza, Sambora, Stryja.

Nie te zmiany jednak zaniepokoiły borysławskich Żydów. Te, które nastąpiły przyspieszyły bicie ich serc. Jeszcze życie toczy się normalnie, trybem, do którego przywykli, jeszcze powody do narzekania i niepokojów nie są tak duże, ale jakieś nieokreślone obawy i niedobre przeczuca wkładały się w rozmowy, a nawet w milczenie. Właśnie milczenie bardziej dokuczało. Tylko jeden Mojżesz Łec nie tracił humoru. Wieczorem opowiedział w bożnicy taką historijkę:

— Dwóch Żydów siedzi przy stole. Oj — westchnął jeden. Oj — westchnął drugi. Po chwili milczenia pierwszy krzyknął: „A może byśmy tak przestali mówić o polityce?”²⁰

Śmiali się obecni, to prawda, ale jakoś błędnutko.

Od czasu do czasu zjawiali się jacyś obcy na krótko, na pół dnia. Chodzili po wsi, coś pisali, mierzyli. Z nikim z tutejszych nie zamieniali ani słowa. W woreczki i nieduże skrzyneczki pakowali trochę ziemi i odjeżdżali. Mówiono, że to ludzie ze Lwowa, a może i z Wiednia... Kto ich tam wie...



Od czasu, gdy Awremele tak dzielnie pomagał ojcu w ulepszeniu jakości świec, upłynęło dużo, bardzo dużo wody w Tyśmienicy. Nieraz na wiosnę, podczas roztopów i w jesieni, gdy obficie deszcze bogaciły rzekę w wodę, Tyśmienica wylewała poza swoje koryto. Takich wiosen i jesieni minęło sporo. Nie Awremele nazywają go teraz, ale po prostu Awrum. Jego twarz okala teraz słaby jeszcze, ale widoczny, czarny zarost. Ojciec, jeden z nielicznych światlejszych mieszkańców osady, uważał, że należy wyrobić mu metrykę, bo upływa teraz akurat 20 lat od chwili, gdy jego syn się urodził. Późno to, bo późno, ale lepiej niż nigdy.

Gdy reb Schreiner radził innym Żydom, aby wyrobili swoim dzieciom świadectwa urodzin, uśmiechali się tylko i mówili, że po co, że nie trzeba...

— Ani mój dziadek, zichrono [wracha, ani ojciec, ani ja nie mamy metryki, a każdy pamięta datę bar micwa²¹ i wie, ile ma lat... mniej więcej.

Syna reb Schreiner zapisał ani nie Awremele, ani nie Awrum, lecz Abraham, Abraham Schreiner.

Od tego ważnego wydarzenia minęło lat więcej niż dziesięć. Abrahama Schreintera, który był już żonaty i dorabiał się samodzielną, zaintrygowaną działką ziemi obok jego domu. Od pewnego czasu pojawiała się na powierzchni ziemi jakaś tłusta, mazista, ciemna ciecz o zapachu, przypominającym mu młode lata, gdy z ojcem kopał studnię, aby znaleźć wodę. Wiedział, że tutejsi chłopcy używają tej cieczy, podobnej do ciemnej żywy, lecz znacznie rzadszej, do celów leczniczych, jako środka, który podobno leczy rany u zwierząt, a nawet u ludzi. Przypadek zrzucił, że młody Schreiner przekonał się o łatwopalnych właściwościach tej mazi.

Rówieśnicy Abrahama pamiętają go jako Awremele, gdy liczył sobie kilka lat i chociaż nie bardzo się uczył w chederze, w jego głowie już wówczas rodziły się rozmaite pomysły. A teraz w dociekaniach młodego mężczyzny doszedł do ciekawych wniosków: jeśli ta ciemna, brudna ciecz potrafi leczyć rany, to jakie skuteczne będzie jej działanie, gdy się ją oczyści... Myśli kłębiły się. Jedną prześcigała druga. Wiedział, że z odpowiednio podgrzewanych kartofli można otrzymać jasny płyn — spirytus. A więc... Jeśli podgrzać tę smolistą ciecz... W jego otoczeniu nie było nikogo, kto mógłby poradzić.

W borysławskich podaniach pojawienie się ropy naftowej związane jest z okresem szalejącej epidemii. Całe, wyjątkowo upalne lato ludzie chorowali i wielu umarło. Ledwie ktoś poczuł się nieswojo, po kilku godzinach zęgał ten świat. Bezskuteczna okazała się i ropa naftowa jako środek leczniczy. W kościołach i cerkwiach rozdzwoniły się dzwony, bez przerwy odbywały się nabożeństwa, w czasie których tłumy, z niesłychanym dotąd płaczem i niebyszącą gorliwością wznosiły ku niebiosom błagania o zmiłowanie. W bożnicach Żydzi odmawiali tihim²², czytając żarliwie odpowiednie psalmy. Na żydowskim cmentarzu urządzano zaskłubiny młodych par, co — według wierzet — powinno było zwalczyć największe nawet niebezpieczeństwo. Na zbolełe twarze chorych siadało mrowie much, bezsilne ręce nie mogły się od nich opędzić. Peto ich było w izbach i obejściach domów.

Abraham Schreiner przypomniał sobie, że wśród różnych mądrości, jakie słyszał od bogostawionej pamięci ojca, były też przypowieści o tym, że muchy są roznosiicielami najgroźniejszych chorób. Nie mógł sobie przypomnieć czy były to przypowieści z Talmudu²² czy z Midraszu²⁴ czy też z innego źródła. Ojciec zwracał też uwagę na to, aby przed jedzeniem myć ręce, również dlatego, aby móc odmówić dziękczynną modlitwę za spożywane jado. Chodził więc Abraham całym dniami po mieszkaniu i — biada tym muchom, które dostrzegł. Do drążka długości około 30 centymetrów przybił kawałek skóry długości i szerokości małej ludzkiej dłoni i celnie trafiał w te małe, skrzydlate — jak je nazywał — niebezpieczeństwa. Był przecież przekonany, że to one roznoszą zarazę. Ta przeciwmuchowa obsesja budziła nieraz Schreiner'a w nocy, gdy mu się zdawało, że w mieszkaniu brzęczy mucha. W obawie, że nie dał Boże, dziecko może zachorować i... na góry, na lasy... a tu! Żona robiła mu wyrzuty, że nie chodzi wraz z wszystkimi Żydami do bożnicy na białe modły, lecz tłumaczył jej: gdyby ludzie nie gromadzili się i nie zbierali się razem... kto wie, może zaraza skończyłaby się szybciej.

I inne myśli dręczyły Abrahama Schreiner'a... Jak oczyścić tę mazistą ciecz, aby utrzymać ją w stanie jasnym. Może byłaby skuteczniejszym lekarstwem na tę okropną chorobę. Zresztą może się przydać i do innych celów, przecież się pali... Zobaczymy.

Z nastaniem chłodniejszych jesiennych dni, sytuacja zdrowotna zaczęła się poprawiać. Zachorowań i wypadków śmierci było coraz mniej. Żniwo zarazy było okropne. Abraham Schreiner był jednym z nielicznych, którego domu epidemia nie zatakowała i nie porwała ofiar.

Czas wiązać się do roboty. Z pomocą Berla, który odziedziczył po ojcu, Rudy'm Mendlu, warsztat blacharski, sporządził rodzaj trójnogu, z żelazną obręczą u góry. Obwód jej utrzymał kociołek, w jakim ojciec, błogosławione niech będzie imię jego, topił wosk na świecę. Znalazła się też szczelna pokrywa. Kurek u dołu kociołka został również uszczelniony. Całe przedpołudnie przygotowywał Abraham polanka drewna, a po obiedzie, gdy sąsiedzi zajęci byli w polu, zabierał się do realizacji swojego planu. Pod kociołkiem, w którym mieściła

się owa zagadkowa mazista ciecz, umieszczonym na obręczy trójnoga, ułożył Abraham stos drewna i zapalił go. Dzień był chłodny, wyjątkowo bezwietrzny, a i deszcz nie padał. Abraham siedział nieopodal i od czasu do czasu dokładał polanka. Serce jego biło silnie; przeczuwał, że oto znajduje się przed wielką niewiadomą. Schreiner nie odstępował od kociołka, pod którym buzował ogień. Zdawało mu się, że wieki mijają... Aż...

Donośny huk wybuchu usłyszeli ludzie pracujący w polu, a gdy przybiegli, już z dala ujrzeli rozpaczającą żonę Schreiner'a, kociołek objęty płomieniami i swego sąsiada ledwie żywego, na którym paliła się odzież. Ostrożnie zanieśli go do domu.

Felczer Majlech o przydomku Rojfe²⁵ bardzo często odwiedzał i leczył poparzonego. On to uratował życie człowiekowi, jeszcze niedoszłemu wynalazcy, nie znającemu pewnych chemicznych i fizycznych zasad, do jakich — między innymi — należy prężność par surowca, który zamierzał oczyścić.

Rekonwalescencja dłużyla się ponad dwa lata. Cały ten czas nie odstępowała Schreiner'a myśl o ponownej próbie. Zwierzał się ze swoich myśli odwiedzającym go sąsiadom, a żona słuchając o tym, nazywała swego męża uparciuchem, narzekała, że chce umieszczyć w rodzinie.

— Trudno — mówiła — na upór nie ma lekarstwa.

I znowu była późna jesień. Abraham Schreiner jechał do Drohobyca, a nawet do Lwowa, aby zasięgnąć rady uczonych ludzi, jak należy oczyścić tę — jak ją nazywano — kipienczkę. Uczonymi ludźmi nazywał oczywiście aptekarzy. Dowiedział się od nich, że do tego celu potrzebne są chłodnice, różne rurki, krany, absolutnie szczelny kocioł i inne urządzenia. Jeden z aptekarzy narysował mu nawet, jak takie urządzenie powinno wyglądać. Z zapalem zabrał się Schreiner do zestawienia wszystkich części według otrzymanego rysunku. Żona — jak należy się domyślać — była mocno rozgoryczona tym, co Abraham wyczyniał. Tym razem bowiem wszystko odbywało się w piwnicy domu, pomagał blacharz Berl, który się też do tej roboty zapalił.

Z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, jakie nakazywał rozum i rady znajomego aptekarza oraz ta wynalazcza żylka,

przystąpił do dzieła. Destylacja — bo niczym innym nie było to, co robił — działała bez zarzutu. Popłynął do zbiorniczka jasny, jak woda płyn, ale po upływie jakiegoś czasu Schreiner zauważył, że ściekający z chłodnicy płyn jest coraz ciemniejszy. Wtedy przestał podsycać płomien pod kociołkiem. Zbiorniczek nappełniał się jeszcze aż spadły ostatnie krople. To, co Schreiner otrzymał, było cieczą płynną jak woda, lecz ciemniejszą. Zapach jej był już tylko mało podobny do zapachu surowca. Abraham podszedł do kąta pomieszczenia, wziął przygotowany tam żelazny kaganek z tkwiącym w nim grubym bawełnianym knołem. Nappełnił go swoim nowym produktem i wyszedł z nim na podwórze domu. Na spotkanie wybiegła żona, szczęśliwa, że widzi swego męża całego i zdrowego i w dodatku radośnie uśmiechniętego. W jej obecności Schreiner zapalił knot. Płomień okazał się znacznie jaśniejszy niż w świecach, nawet sporządzonych z wosku pszczoelnego. Abraham ogarnęła niezwykła radość: — Baruch Haszen!

Schreiner zdawał sobie sprawę, że jego produkt może być lepszy i — co mu głównie spokoju nie dawało — płomien nie powinien kopać. W roku 1853 zawiózł dwukonką do Lwowa (jakby nie było — sporo ponad 100 kilometrów) beczkę ropy naftowej i wyładował ją w aptece Mikolascha.

Dalszy ciąg tej, wręcz dziwnej historii posiada dwie wersje. Według jednej — w rozmowie Schreiner z aptekarzem uczesnińczył pracujący w aptece farmaceutę, w owym czasie prowizorem zwany, Ignacy Łukasiewicz. Okazał się on człowiekiem wykształconym, ale i sprytnym. Pomysł borysławskiego Żyda zrealizował, przeprowadził wszy z przywiezionej przez Schreiner ropy naftowej — destylację i otrzymał jasną naftę świetlną.

Druga wersja przypisuje Abrahamowi Schreinerowi zasługi nie tylko jako odkrywcy ropy naftowej, lecz i jako pionkierowi przemysłu rafineryjnego. Według tej wersji, przekazywanej zresztą przez borysławskich dziadków swoim wnukom, Abraham Schreiner produkował jasną naftę, a wieść o niej dotarła, nie tylko do wielu miejscowości galicyjskich, lecz nawet do Wiednia, skąd w roku 1854 Schreiner otrzymał pierwsze większe zamówienie na dostawę nafty świetlnej dla

Austriackiego Towarzystwa Kolei m. cesarza Ferdynanda I. W ślad za tym napływały zamówienia od innych towarzystw.

Austriackie Towarzystwo Kolei nosiło imię cesarza Ferdynanda I., który wprawdzie jeszcze żył w owym czasie, lecz władzy już nie piastował. Niewiele lat wcześniej kraje Europy stały się widownią ruchów ludowych i rewolucyjnych. Okres ten — lata 1848—1849 — nazwano Wiosną Ludów. W rezultacie tych ruchów, władzę w Austrii objął cesarz Franciszek Józef I. On to wysłał do niedalekiego od Borysławia Lwowa dużo austriackiego wojska. Zadaniem tego wojska było strzec monarchii z nowym cesarzem. „Boże wspieraj, Boże ochroń nam cesarza i nasz kraj” uczyły się dzieci w szkołach i dorośli nowego hymnu.

Małe oddziały sił zbrojnych stacjonowały w pobliżu Drohobyczu. A stąd już zaledwie 9 kilometrów do Borysławia. Spacerkiem można przejść.

Liczba mieszkańców Borysławia powiększała się z roku na rok. W 1860 roku osada liczyła już 1000 osób. Austriacy żołnierze, pojawiający się tutaj od czasu do czasu opowiadali, że młodzi ludzie z całej cesarsko-królewskiej monarchii muszą służyć w wojsku. Na tutejszych Żydów padł strach; wierzyli jednak, że Bóg pomoże, że usłucha ich gorliwych błagań, aby uniknęli tego obowiązku.

Abraham Schreiner rozbudowywał interes naftowy, aby nadążyć z dostawami swojego wyrobu. Badacze tego okresu nazwali go inicjatorem nowej epoki — epoki naftowej. Inna wersja głosi, że Ignacy Łukasiewicz po dokonaniu destylacji ropy naftowej, przywiezionej przez Schreinerę do apteki Mikolascha, założył w miejscowości Jasło destylarnię. Surowiec dla niej wydobywano w tymże mieście, a poza tym — w Gorlicach i Krośnie, jednak łączna ilość ropy była bez porównania mniejsza niż w Borysławiu. Wyprodukowaną tam naftę dostarczano podobno do krajów monarchii austro-węgierskiej. Obie wersje mają swoich zwolenników.

Może pewna paradoksalna notatka prasowa, wydrukowana w epoce „Ziemi bez Boga”²⁶, rozwija wątpliwości i przypomni światu nazwisko odkrywcy i wynalazcy bez ujmowania zasług Ignacego Łukasiewicza w rozwoju przemysłu naftowego.

W roku 1943, kiedy Borysław i Drohobycz były okupowane przez hitlerowców, w jednej z drohobyckich rafinerii pracowała garstka Żydów pozostających z tysięcy specjalistów przemysłu naftowego. W ich ręce wpadł przypadkowo urzywek niemieckiego „ naukowego” czasopisma, zajmującego się problemami naftowymi. Opublikowano w nim artykuł, w którym wspomniano, że odkrywcą ropy naftowej jest folkssdojcz o nazwisku Schreiner. W grupie żydowskich pracowników znajdował się wnuk Abrahama Schreiner. Czytał on tę historię o swoim dziadku folkssdojczu; pamiętał go jako starego Żyda z brodą i pejsami⁷. Tyle.

Tymczasem do roku 1943 jeszcze bardzo daleko. Na razie wypadki toczą się w czasie, gdy brak jeszcze kilku lat do przełomu wieków dziewiętnastego i dwudziestego. Do Borysławia zaczęły docierać nieznane dotychczas nazwy i pojęcia, takie jak Wiener Kreditanstalt, Kaiser — und Koenigliche Privilegierte Oesterreichische Laenderbank... zamiast wosk ziemny mówiono teraz ozokeryt. Laenderbank założył towarzystwo „Aktiengesellschaft BORYSLAW fuer Erdwachs — und Petroleum Industrie” z siedzibą w Wiedniu.

Nie wróżyło to nic dobrego. Drobnym przemysłowcom żydowskim coraz trudniej było w interesach. Zawiaływały się żydowskie spółki akcyjne, powstał Żydowski Bank, lecz ani te spółki, ani bank nie wytrzymywały zbyt silnego nacisku zagrajcznych potęg finansowych. Nawet takim bogatym przedsiębiorcom jak Izrael Lieberman oraz bracia Luzer i Mosze Gartenbergowie dopiekiły nowe zarządzenia władzy administracyjnej. Ale trzymali się jeszcze, mogli sobie pozwolić na likwidację niektórych dółów. Poważną część robotników musieli jednak zwolnić, inni oczekiwali z trwogą zwolnienia z dnia na dzień.

Do Borysławia zjechali przedstawiciele potężnych banków. Polak Szumski z ramienia Kreditanstalt i neofita z ramienia Laenderbank, Werber, uzgodnili likwidację 90% małych kopalń wosku, przy poparciu austriackiego ministerstwa rolnictwa, które posłużyło się pretekstem rzekomego niebezpieczeństwa dla pracujących. W wyniku tej decyzji 6000 żydowskich robotników Borysławia zostało bez pracy i bez środków do życia.

Nie przejeili się wcale tragiczną sytuacją swoich współwyznawców główni akcjonariusze wspomnianych banków: milioner Salomon Meir Rothschild i generalny dyrektor Laenderbank, ówczesny przewodniczący wiedeńskiej żydowskiej gminy wyznaniowej, Samuel Ritter von Hahn. Przyjeili oni do wiadomości oświadczenia antysemity Szumskiego i wychrzty Werbera, że Żydzi borysławscy nie potrafili się przyzwyczaić do nowych maszyn w nowych kopalniach wosku.

Z Borysławia wysyłano petycje do żydowskich potentatów finansowych z prośbą o interwencję w utrzymaniu pracy w nowych kopalniach wosku lub gdziekolwiek indziej. Jednym z adresatów był Dawid Ritter von Guttman. Któż to taki ów możny pan?

W drugiej połowie XIX wieku przybyli z Moraw do Wiednia dwaj młodzi Żydzi: Welwel i Duwydl Guttman. Karierę rozpoczęli obaj bracia od rozwożenia węgla do żydowskich domów. Byli sprytni i dopisało im szczęście. W krótkim czasie wzbogacili się do tego stopnia, że do spółki z baronem Salomonem Meirem Rothschildem zakupili kopalnię węgla w Witkowicach, a wkrótce potem tamtejsze zakłady metalurgiczne. Być współnikiem barona i nie posiadać honorowego tytułu? A tytuły — okazało się — to taki sam towar jak każdy inny. Trzeba tylko odpowiedniej ilości pieniędzy... A były. Nie udało się co prawda kupić baronostwa, ale każdy z braci otrzymał tytuł Ritter von: a więc Wilhelm Ritter von Guttman i Dawid Ritter von Guttman. W ślad za tymi osiągnięciami przyszedł zaszczyty, sława i stanowiska prezydenckie w różnych towarzystwach i zrzeszeniach.

Po otrzymaniu pisma żydowskich robotników Borysławia z prośbą o zatrudnienie ich w kopalni węgla, Dawid Ritter von Guttman wysłał do Borysławia swego inżyniera, aby na miejscu zbadał sprawę. Po kilku dniach wystanik wrócił z wyraźnym, jasnym sprawozdaniem, z którego wynikało, że Żydzi borysławscy nie są zdolni do ciężkiej fizycznej pracy i „na pewno” nie zechcą pracować w sobotę. W ten sposób Guttman uspokoił swoje żydowskie sumienie. W kołach wiedeńskiej inteligencji żydowskiej krążyły słuchy, jakoby inspiratorem takiego właśnie sprawozdania był sam Dawid Ritter von Guttman.

Rozpacz ogarnęła żydowskich przedsiębiorców, a bardziej jeszcze — robotników. Z trwogą w sercu przyglądali się budowanej w centrum miasta nowej, olbrzymiej kopalni wosku. Nie ubóstwo lecz nędza wkrađła się do żydowskich rodzin. Rozpacz nie miała granic. Do pracy w nowych kopalniach sprowadzono tak zwanych Mazurów z zachodniej Galicji i ubogich chłopów Rusinów zamieszkających w okolicznych wsiach.

Do żydowskich robotników dochodziły słuchy o okropnych warunkach pracy w tych nowych kopalniach. Mimo wszystko zgodziliby się chętnie i na taką pracę, byle zarobić na skromne utrzymanie głodujących rodzin. Ani jednego Żyda nie przyjęto do pracy w kopalniach.

Niepokój panował w mieście. Po wielkich, najbardziej uroczystych świętach żydowskich — Nowego Roku i Sądneho Dnia w 1896 roku zaczęły się coraz częściej zbierać tu i ówdzie grupy bezrobotnych. Niektóre podchodziły do kopalni, tej największej, ogrodzonej wysokim drewnianym płotem i wstuchiwały się w rytmiczny stuk maszyn. Hłas ten grzmiał dla nich nieczym diabelski chichot. Mimo padających jesiennych deszczów i coraz chłodniejszych dni, bezrobotni Żydzi nie mogli usiedzieć w domu i patrzeć na grzejące się w byle jakich łachach, głodne dzieci. Wychodzili na ulicę i spotykali takich samych towarzyszy niedoli. W wymownym milczeniu i pytających spojrzaniach odgadywali wzajemnie swoje myśli. W wszystkich trapiły te same: chcemy pracy i chleba.

Uplýwał czas, wyczerpywała się stopniowo cierpliwość. Bezrobotni Żydzi nawoływali się coraz bardziej nerwowo; coraz częściej, choć z początku nieśmiało, padało hasło: na kopalnię! Zbliżała się sobota, już nie wiadomo która, gdy nie ma za co kupić nawet kromki chleba, jednej kromki dla dziecka. Za jakie grzechy, Boże! Jakże jeszcze nieszczęścia wymyślisz da nas?

Tak narzekali bezrobotni i z takimi pytaniami kierowali oczy ku czarnemu, zachmurzonemu niebu. Czy jesteś tam na górze? Jeśli tak, to dlaczego jesteś głuchy na nasze rozpaczliwe błagania?

Ku mostowi, w samym środku miasta, zbliżały się grupy nędznie wyglądających Żydów. Szli jak cienie. Szli, nie wiedząc dokąd, nie

wiedząc po co. Szli z Pańskiej, Kasarnianej, z Wolanki, Potoku. I nagle stało się coś, czego nikt nie oczekiwał. Ten, który zawsze zabawał ludzi żartami, ten Mojśze zwany Łęc, krzyknął: — Żydzi, na co czekamy, razem na kopalnię!!!

To był on, którego tłący koniec dotarł do ładunku dynamitu. Na kopalnię! Na kopalnię! Ruszyła masa ludzka.

— Chcemy pracy! Na kopalnię!

Temu spontanicznemu pochodowi, wznoszącemu po polsku i po żydowsku okrzyki: „Pracy i chleba!”, dziwili się i zechodnie, kręcili głowami...

— Z tego nic dobrego nie wyjdzie!

— Czy może być gorzej? — odpowiadały setki ust. Tym zajął całą szerokość jezdní. Padaly okrzyki: — Nasze dzieci umierają z głodu! Nasze rodziny marzną w domu! Pracę nam dajcie, pracę!

Młody człowiek wspiął się na barki towarzysza i wołał:

— Ludzie, bójcie się Boga! Tu nie nie wskóramy... Chodźmy do Erec Israel! Tam nasze miejsce!

Jego głos zagłuszyły krzyki:

— Zanim dojdziemy do Erec Israel, zdechniemy z głodu! Tu musi się znaleźć rozwiązanie, nie w Erec Israel! Zniszczyli nam życie, muszą nam dać pracę! Na kopalnię!

Sytuacja stawała się z chwili na chwilę bardziej dramatyczna.

Gdy ta nie zorganizowana, spontaniczna demonstracja dotarła do wysokiego kopalnianego płotu, od wewnątrz dziedzińca zamknięto bramę na żelazne rygle. Tym zatrzymał się i zażądał, aby dyrektor przyjął delegację. Żadnej odpowiedzi. Zachowanie tłumu stawało się coraz gwałtowniejsze, wręcz agresywne. Za płot, na dziedzińiec kopalni poleciały kamienie. Najpierw pojedyncze, potem coraz więcej... więcej... Lawina kamieni i cegieł. Ludzie niemal zdirczeli.

Nagle wewnątrz zapanowała cisza. Ustał stuk i warkot maszyn. Zza bramy doleciał głos po rusińsku:

— Czego chcecie?

— Chcemy, aby dyrektor przyjął delegację.

— Nie ma dyrektora.

— Nieprawda, jest! Chcemy dyrektora! Musi nas przyjąć!

Na miejsce Rusina zjawił się przy branie urzędnik i po niemiecku zagroził zandarmeni i wojskiem z Drohobycz.

— Róbcie co chcecie. Nasze rodziny są głodne... Nam już wszystko jedno, nie boimy się nikogo!

Tłum zaczął napierać na bramę.

— Hej, mocniej! Jeszcze, jeszcze raz! Jeszcze!

Pod naporem ludzkiej masy, brama rozwarła się z trzaskiem. Jak rozszalały żywioł runęli zdesperowani bezrobotni Żydzi na kopalnię. Uzbrojeni w pałki, drągi, deski, żelazne sztaby... Łamali po drodze co się dało. Z furą niszczyli urządzenia, maszyny, pompy... Z hłasu wybiły się okrzyki:

— Dajcie nam pracę! Jesteśmy głodni... Pracy!

Postać dyrektora i kilku urzędników mignęła w dali. Strach pędził ich ku wysokiemu zbiornikowi. Szybko, jak tylko mogli wspięli się po drabinie i za chwilę zniknęli w zbiorniku.

— Patrzcie go, bogate! — rozległy się drwiny. — Boi się nas, zwykłych Żydów!

Robotnicy kopalni, Rusini i Mazurzy, uzbroili się również w co popadło i ruszyli z krzykiem:

— Biegiem! Nauczmy tych Żydów!

W olbrzymiej hali maszyn doszło do krwawej bitki. Wobec przewagi demonstrantów nie mających nic do stracenia, robotnicy kopalni w popłochu uciekli i ukryli się. Wiem ktoś krzyknął:

— Ludzie! Wojsko! Dużo wojska z karabinami...

Nie było rady. Chaotycznie uciekali Żydzi, przez bramę, przez dziury w płocie, po wyrwanu żelaznych desek...

W hali maszyn, obok zniszczonych urządzeń i porwanych pasów transmisyjnych, na pokrwawionej podłodze leżał nieprzytomny Żyd w kożuchu, jakie nosili nocni stróż.

Ta jednorazowa, spontaniczna akcja objęła tylko nikłą część, zaledwie kilkuset żydowskich bezrobotnych.

★

Sprawa 6.000 żydowskich borysławskich bezrobotnych dotarła na II Kongres Syjonistyczny w Bazylei, lecz na wniosek delegata

organizacji niemieckiej została zajęta z porządku obrad, jako że Kongres nie powinien w ogóle zajmować się zagadnieniami społeczno-politycznymi, a problem borysławskich bezrobotnych jest par excellence problemem socjalno-politycznym.

W rok później (1899) wrócił do tej sprawy dr Theodor Herzl. W swoim przemówieniu opisał pożalowania godną, tragiczną sytuację borysławskich robotników oraz ich bezskuteczną walkę o pracę. Lecz tym razem przewodniczący sesji, londyński rabin, dr Mosze Gaster, przerwał wywody mówcy oświadczając, że problem ten — jak w ubiegłym roku — nie może być przedmiotem obrad Kongresu. Wówczas padł wniosek Mrs Gothel, żony ówczesnego prezydenta amerykańskich syjonistów, aby zorganizować dobrowolną zbiórkę pieniędzy wśród członków Kongresu. Wniosek zrealizowano. Zbiórka przyniosła „aż” tysiąc franków szwajcarskich i tym „wycykiem” sprawa została dla Kongresu załatwiona. Nie trzeba dodawać, że suma ta stanowiła kroplę w morzu potrzeb.

Na zlecenie londyńskiego czasopisma „Jewish World”, adwokat dr Szaul Rafał Landau zwiedził żydowskie skupiska we wschodniej Galicji i dłuższy czas zatrzymał się w Borysławiu, gdzie stwierdził rozpaczalną sytuację tysięcy bezrobotnych Żydów. Jego szeroko zakrojona działalność objęła między innymi łoża B'nai B'rith w Niemczech, a szczególnie na Górnym Śląsku, i przyniosła w rezultacie poważną sumę pieniędzy dla towarzystwa „Ahawat Zion”. Celem tej organizacji było osiedlanie Żydów w Erec Israel. Z Borysławia wysłano wówczas kilkanaście rodzin.

Za sprawą doktora Landaua, Żydowskie Towarzystwo Kolonizacyjne, założone w 1891 roku przez barona Hirscha, umożliwiło prawie 500 borysławskim rodzinom emigrację do Argentyny. Była to rzeczywiście efektywna pomoc, lecz niewystarczająca. Jeszcze trzy tysiące żydowskich robotników pozostało bez pracy.

Szczególną działalność rozwinęła fundacja barona Hirscha na polu oświatowym. W Borysławiu powstała w tym czasie szkoła imienia barona Hirscha, którą finansował. Co prawda istniejące już wtedy w mieście syjonistyczne organizacje zarzucały kierownictwu i nauczycielom tej szkoły brak ideowości żydowskiej i asymilantstwo, niemniej

spełniała ona bardzo pozytywną rolę w rozwoju oświaty i nauce zawodu. Poważne osiągnięcia w tej dziedzinie społeczność żydowska zawdzięcza nauczycielowi Tellerowi, żydowskiemu pisarzowi i poecie. W owym roku 1896, roku „żydowskiej rewolucji” pobierało naukę w szkole barona Hirscha w Borysławiu ponad 400 żydowskich dzieci, które otrzymywały tam równocześnie częściowe wyżywienie. Inne ubogie dzieci, choć ledwie od ziemi odrósł, zmuszone były pomagać rodzicom w zdobywaniu mniej niż skromnego utrzymania. Niczym małe zwierzątka wspinały się po wysypach³⁰, gdzie znajdowały grutki wosku, oblepione żwirtem i piaskiem. Razem z dziećmi zbierały na wysypach wosk kuczynierki³¹, jak nazwano — nie wiadomo dlaczego — starsze dziewczęta.

Domki nędzarzy upodobały się coraz bardziej do głodujących mieszkańców. Garbiły się i zapadały w matkę-ziemię, która kryjąc bogate skarby, stała się dla nich macochą.

- 1 Zachrono l'wracha — błogosławionej pamięci
- 2 Reb — dosłownie: pan. Dodaje się do nazwiska dla okazania szacunku
- 3 Minianim — liczba mnoga od minian. Minimum dziesięcioosobowa grupa dorosłych Żydów (w tym chłopcy po ukończeniu 13 roku życia) dopuszczona do odprawiania zbiorowej modlitwy
- 4 Baruch — Błogosławiony — w domyśle — bądź Panie
- 5 Baruch Haszen — Błogosławione niech będzie Imię (Boga)
- 6 Melamed — nauczyciel w chederze
- 7 Cheder — szkoła o charakterze religijnym, w której dzieci, prawie wyłącznie chłopcy, uczą się Pisma Świętego
- 8 Chimusz — Piecioksięg
- 9 Kadysz — modlitwa za umarłych. Tak też nazywają pierworodnych synów, którzy mają obowiązek odmawiania kadysz
- 10 Mezuz — zwitek pergaminu w oprawie, przybity do prawej strony drzwi każdego pomieszczenia. Zwitek zawiera werset z piątej Księgi Mojżeszowej. Pobożni Żydzi wchodząc lub wychodząc z domu przykładają do mezuzy końce palców i całują je. Zazwyczaj czyni się to tylko raz dziennie.
- 11 Tales — biała chusta ze specjalnej tkaniny w czarne pasy, używana przy odmawianiu porannej modlitwy
- 12 Tefilin — filakterie używane przy porannej modlitwie w powszednie dni. Jedną część umieszcza się nad czołem, drugą na lewym ramieniu za pomocą czarnych rzemyków, którymi owija się spiralnie ramię i środkowy palec lewej ręki

¹³ Lec — dosłownie: biazen, wesołek, żartowniś, kpiarz

¹⁴ Cadyk dosłownie: sprawiedliwy. Tak nazywa się wielkich rabinów

¹⁵ Opowieść o cudzie — por. *Madrosi żydowskie*

¹⁶ Mowa o leczniczej wodzie „Naftusia”

¹⁷ Chuchym fyn der ma nasztana — w Agadzie, legendzie o wyjściu Żydów z Egiptu, czytanej przed uroczystą kolacją zwaną sederem, w węgliku świateł wielkanocnych (pesach) występują cztery postaci: mądry (znaczy właśnie chuchym), zły, głupi i ten, który nie potrafi nawet zaptać. Ma nysztana — tak zaczynają się cztery pytania skierowane do ojca przez najmłodszego dziecka: „Czym różni się dzisiejsza noc od innych?”

¹⁸ Kidusz — modlitwa nad winem, uświęcająca sobotę lub święto

¹⁹ Parnasa — zarobek, dochód, utrzymanie

²⁰ *Madrosi żydowskie*

²¹ Bar mewa — uroczyste świętowanie urodziny chłopca, który w tym wieku osiąga dojrzałość religijną

²² Talmud — Księga Psalmów

²³ Talmud — dosłownie: nauczanie, nauka. Zbiór przypowieści i komentarzy do Pisma Świętego

²⁴ Midrasz — komentarz do Pisma Świętego, bogaty w przepisy religijne, obyczajowe, etyczne

²⁵ Rojfe — dosłownie: lekarz. Tak nazywano felcerów i fizyjerów, którzy trudnili się także stawianiem baniek i przykładaniem piławek dla odciążenia krwi

²⁶ *Ziemia bez Boga* — tytuł książki Koppa Holzmanna, w której autor opisuje hitlerowską okupację w Borysławiu

²⁷ Por. I. Hirschaut, *Żydowscy magnaci nafłowi*

²⁸ Erec Israel — Ziemia Izraela, Izrael

²⁹ Bnai Brith — najstarsza (powstała w 1843 roku w Nowym Jorku) i największa żydowska organizacja filantropijna.

³⁰ Wyspy — haldy usypane z ziemi, gliny po wytopieniu z nich wosku.

³¹ Kuczynierki — Stanisław Giza wspomina w swojej książce *Na ekranie życia* o kurniach „w których trzymano drob, świnię lub króliki. Nazywano te kurniki z ukraińska „kuczami”. Możliwe, że dziewczętom opiekującym się nimi „przyklepiono” przydomek „kuczynierki”. A może też dlatego, że domki, w których mieszkaly, wyglądały jak „kucze”

Bibliografia

- 1 Stanisław Giza: *Na ekranie życia*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1972
- 2 I. Hirschaut: *Jidyszje nafmagaten (Żydowscy magnaci nafłowi)*. Wyd. Centralny Związek Żydów Polskich w Argentynie, Buenos Aires, 1954
- 3 *Jewrejskaja Encyklopedia*, III tom, str. 827, wyd. 1916 (w języku rosyjskim)

Z PACHCIARZA DZIEDZIC

- 4 Jacob Kemner: *Kverschnit* (Przekrój). Wyd. (w języku jidysz) New York, 1947. Z tej książki wykorzystano rozdział 9 pt. „Tragiczny los 6000 żydowskich robotników kopalni wosku”
- 5 *Madrości żydowskie* — zebrał, tłumaczył i opracował Aleksander Drożdżyński, Wiedza Powszechna, Warszawa, 1961
- 6 Tadeusz Porcimbalski: *Wspomnienia nadjciarza*. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1978
- 7 Fiszel Sidor: *Trzy pokolenia żydowskich robotników naftowych*. Artykuł opublikowany w języku żydowskim w gazecie „Folks Stryme”, 11.XI.1956

Dyrektor, znany jako baron Samueli, siedzi przy biurku, zamazaną szmateczką przeciera monokl. Na jego pociągłej twarzy rysuje się wyraźnie poważne zająknięcie. Przed chwilą opuścili gabinet członkowie Zarządu Towarzystwa: Mozes Schreiber, Henryk Neuman i Ignacy Buchsbaum. Po dwugodzinnych naradach trudno im było podjąć rozsądną decyzję. Czas był gorący. Wyjątkowy — nawet jak na sierpień — upał i sytuacja polityczna, której wyrazem była zapowiedziana mobilizacja rezerwistów, wpływały deprymująco.

Dyrektor jeszcze raz przygląda się kopercie leżącej na biurku. Nawiedzają go posępne myśli. Kto wie, jak długo jeszcze będą przychodziły pisma pod adresem: Zarząd Dóbr Towarzystwa Spadkobierców Dawida Lindenbauma, Borysław, ulica Kościuszki 132... Kto wie, jak długo jeszcze Towarzystwo będzie istniało... Kto wie? Tysiące znaków zapytania...

Samueli podniósł słuchawkę telefoniczną i nakręcił numer 1159. Rozmowa z Mozesem Schreiberem nie trwała długo. Schreiber przyjął przemyslaną propozycję dyrektora. Postanowiono na list intendencji odpowiedzieć na razie wymijająco i ostateczną decyzję podjąć 1 września. Przecież to tylko parę dni.

★

Podkarpacka wieś Kropiwnik, jak wiele innych miejscowości tego regionu, leży nad Stryjem, rzeką wijącą się malowniczo u stóp

bieszczadzkich wzniesień, wpadającą do Dniestru. Nie bardzo daleko od Kropiwnika prowadzi przepiękny szlak do wsi Kruszelnica. Stąd miłośnicy turystyki — a od takich roito się tam zawsze — (mam na myśli nasze pokolenie pierwszych dzieciaków lat XX wieku) latem wspinali się na najwyższy szczyt Bieszczad, Paraszkę, a zimą, z tejże Paraszki zjeżdżali na nartach do Skolego, uroczej miejscowości letniskowej.

W połowie XIX wieku Kropiwnik był własnością pana Nahujowskiego z Nahujowic. Zamożny ów pan posiadał około 2000 hektarów ziemi. Część z nich była ziemią orną, ale dumą właściciela były gęste lasy, w których często polował z zaproszonymi gośćmi, amatorami dzikiej zwierzyny i dzikiego ptactwa. Mnóstwo ich było na tym terenie. Pan na Kropiwniku nie skąpił zaproszonym gościom, gdy po polowaniu zjeżdżali do dworu. Przy każdej takiej okazji nie omieszkali też pochwalić się swoją piękną kochanką, którą przywiózł z zagranicznych wojazów.

Prawą ręką dziedzica był bogobojny Żyd, Dawid Lindenbaum. Cieszył się pełnym zaufaniem dobrodzieja nie tylko jako pachciarz. Nie było poważniejszej sprawy handlowej, finansowej, a nawet często gęsto jakichś problemów osobistych, intymnych, aby Nahujowski nie zasięgał rad Dawidka jak go zawsze nazywał. Nie było wypadku, aby kiedykolwiek zawiodł się na swoim doradcy.

Ostatnio Nahujowski pozwolił sobie na poważniejszy wydatek dla swojej ukochanej, gdy bawił z nią za granicą. Teraz nie miał gotówki, potrzebnej mu na zakup pewnych urządzeń dla gospodarki, którą zamierzał zmodernizować. Równocześnie, od kilku tygodni myśli jego krążyły wokół wydarzeń w Borysławiu... Myślał, jak to ludzie bogacą się w krótkim czasie na oleju skalnym, wydobywanym z niegłębokich studzien. Nawet kropiwniczcy chłopci, którzy ciągną tam po zarobek, opowiadają niesamowite historie. Nahujowski postanowił posłać do Borysławia swego arendarza. Poleci mu dwie sprawy: sprzedaż drewna, które — jak słyszał — potrzebne jest do cembrowania studzien i sprawdzenie ewentualnej możliwości nabycia roponośnych terenów.

Lindenbaum bawił w Borysławiu dwa dni. Zdolał zasięgnąć dostatecznych informacji w obu sprawach. I nie tylko. Wykorzystał

konflikt, jaki powstał tam między dotychczasowymi dostawcami drewna, braćmi Luzerem i Mojsze Gartenbergami z Rybnika a miejscowymi przedsiębiorcami. Najbogatszym z nich był właściciel wielu studzien oleju skalnego i wosku ziemnego, Izrael Lieberman. Od dłuższego czasu upatrzył on sobie pewien teren w Ustanowicach. Właścicielem tego pola był zamożny gospodarz Andrzej Drozd. Lieberman i Drozd spotykali się już parokrotnie, ale za każdym razem rozchodzili się z niczym. Nie mogli pogodzić się co do ceny i innych warunków. Pewnego dnia środowisko przedsiębiorców zostało zaszokowane wiadomością, że bracia Gartenberg kupili u Andrzeja Drozda teren, tak bardzo upragniony przez Liebermana. Jego oburzenie nie miało granic. Zaprzysiągł zemścić się na Gartenbergach. I oto nadarzyła się sposobność.

Dawid Lindenbaum przyjechał do Borysławia właśnie wtedy, gdy konflikt ten był na ustach wielu ludzi. Sprzedanie drewna z kropiwnickich lasów nie napotkało na trudności. Mało tego, Izrael Lieberman zapewnił Lindenbaumą, że gotów jest zawrzeć umowę, na mocy której będzie stałym dostawcą drewna z Kropiwnika. Nakłonił też innych przedsiębiorców, aby zerwali kontakty z Gartenbergami i poszli jego śladem. Taka była na razie zemsta na „chłopcach” z Rybnika.

Pan Nahujowski z ciekawością i zadowoleniem słuchał relacji swego arendarza po jego powrocie z Borysławia. Jeśli zaś chodzi o kupno roponośnego terenu, Lindenbaum radził działać ostrożnie, nie pochopnie, bo bywa i tak, że kopiesz i kopiesz i... nic. Już niejedną się poparzył... Trzeba się dokładniej przyjrzeć temu całemu kramowi. Lepiej poczekać, aż miną wiosenne deszcze i spłyną pozimowe powodzie, które mogły studniom przyczynić sporo strat.

Na zakończenie rozmowy dziadzie zawiadomił Lindenbaumą, że za dwa dni przyjedzie do Kropiwnika pan na Borysławiu.

— Trzeba, Dawidku, przygotować wszystko, jak zawsze na polowanie.

Zapowiedziany gość przyjechał z dwoma ciurami — jak nazywał swoich podwładnych. Pan Karnicki był właścicielem Borysławia, którego obszar jest co najmniej trzykrotnie większy od Kropiwnika: wynosi około 6000 hektarów. Karnicki nie pomijał żadnej okazji, aby

polować i żadnej okazji, aby się zabawić. Był wesołego usposobienia i ten rys jego charakteru przysparzał mu wielu przyjaciół. Był ogólnie lubiany, zwłaszcza, że nigdy nie liczył się z groszem, ba nie liczył się z reńskimi... Fama głosiła, że miał za sobą bojową przeszłość. W powstaniu styczniowym dowodził podobno brawurowo podległą mu jednostką.

Konie pod jeźdźcami jechały lekkim kłusem. Gdy zatrzymali się, aby wybrać odpowiedni kierunek, Karnicki zapytał przyjaciela, jak daje sobie radę z gotówką.

— Widzisz, mam ja swego Dawidka... Mądry Żyd. Bez niego byłoby ciężko. Już mnie nie jeden raz z tarapatów wyciągał.

— A jak czuje się twoja bogini? Nie tęskni za wielkim światem? O, sie ist entzuekend!

— Ma u mnie wszystko. czego dusza zapragnie. W zimie wybieramy się znowu do Wiednia.

Polowanie trwało już ponad dwie godziny, gdy zupełnie niespodzianie niebo zaciągnęło się chmurami. Groziło deszczem, kto wie, czy nie burzą.

— No, trudno, trzeba wracać. A i tak prawdopodobnie zmokniemy.

Służba obu panów przytoczyła już do siodeł zdobywczy myśliwską. Ruszyli.

Nahujowski zaprosił przyjaciela, aby zajechał do dworu... na świetne wino... odpocznie... Karnicki odmówił. Może następnym razem.

— Przenocuję w Schodnicy. Mam nadzieję, że uda mi się tam wydebić odroczenie spłaty długu, a może dostanę paręset reńskich jeszcze...

Na roztaju, obok wysokiego drewnianego krzyża przyjaciele pożegnali się serdecznie, przyrzekając sobie ponowne spotkanie w krótkim czasie.

Mżył lekki deszyk. Nahujowski popędził konia, za nim podążyła służba. W miarę zbliżania się do dworu, myśli dziedzica coraz bardziej krążyły wokół młej niespodzianki, jaką sprawi swojej ukochanej wczesniejszym powrotem do domu. Obu chłopom pozwolił wstąpić do karczmy i ugościć się piwem na koszt pana.

Nahujowski zdziwiony był ciszą, jaka panowała we dworze. Przystanął i nashuchiwał. Z sypialni dochodził głos ukochanej.

„Boże”, pomyślał, „może zaszła błą?” Przyspieszył kroku, zanepokojony otworzył gwałtownie drzwi...

— Jezus, Maria!!! — Chwycił strzelbę, nacisnął dwa razy kurek. Jak oszalały wybiegł na dwór i pognął co tchu do karczmy. Dawid nigdy nie widział dziedzica tak rozpaczliwie wyglądającego. Nahujowski bez słowa pociągnął arendarza do mieszkalnej izby i ciężko dysząc, wyznał, że zabił swoją kochankę i tego drania lokaja.

— Muszę... muszę uciekać... już... już... Nie ma chwili do stracenia. Napiszę do ciebie... Nie mów nikomu skąd otrzymujesz listy... Daj mi pieniądze, ile masz...

W książce Tadeusza Potembalskiego *Wspomnienia nacięża* czytamy:

„Po dokonaniu tej zbrodni musiał uciec przed wymiarem sprawiedliwości. Do granicy węgierskiej było blisko, około 3 godzin konnej jazdy. Został więc cały majątek Lindenbaumowi, przekroczył granicę, a z Węgier udał się najpierw do Włoch, a następnie do Ameryki. Lindenbaum posyłał swemu panu pieniądze tak długo, aż okazało się, że wysłał równowartość Kropiwnika. Sąd drohobocki ocenił wartość majątku i Lindenbaum z pachciarza awansował na właściciela dóbr.”

Zawarliśmy niedawno znajomość z panem Karnickim, o którym wiemy, że aczkolwiek bogaty, siedzi stale w długach. Na zabawy i przyjemności trwoni grube pieniądze. Niezbyt dba o swoją posiadłość, przebywając stale w Wiedniu. Wieden uchodził wówczas za jeden z największych ośrodków świata w sferze sztuk, teatru, ale też w sferze bez troskłej rozrywki. Atmosfera lekkiej zabawy pozwalała naszymu bon vivantowi i właścicielowi bogatej wsi nie pamiętać o ciężących na nim długach. Aż... nadszedł czas, kiedy pan na Borystawiu musiał zwrócić się do nowego źródła o pożyczki. Karnicki dobrze pamiętał, co mu przyjaciel, były kropiwnicki dziedzic powiedział o Dawidzie Lindenbaumie, pamiętał doskonale: bez niego byłoby ciężko... już mnie nie jeden raz z tarapatów wyciągał... A więc, jak bida to do Żyda...

Pan Karnicki pofatygował się osobiście do nowego kropiwnickiego dziedzica. Wiedział, że nie na polowanie jedzie; przewidywał raczej trudności w rozmowie z Lindenbaumem, który będzie żądał Bóg wie jakich gwarancji.

Jakież było zdziwienie Karnickiego, gdy rozmowa z Dawidem Lindenbaumem potoczyła się gładko i — jak to wiele dziesiątków lat, niemal wiek później mówiono — przebiegała w atmosferze przyjaźni i wzajemnego zrozumienia. Borysławski dziedzic zgodził się podpisać umowę, na mocy której zobowiązuje się do spłacenia długu w określonych terminach. Jeden punkt umowy zawierał warunki, wynikające z niedotrzymania płatności.

Po kilku dniach Karnicki wyjechał do Wiednia uradowany, niechęć gotówką, którą wiozł ze sobą. A w Wiedniu — wiadomo, przyzwyczajone pieniądze stopniowo topniały. Nic więc dziwnego, że raz po raz przysyłał Lindenbaumowi nowe zobowiązania i prośby o pieniądze.

We wspomnieniach *najcięższego* Porembałskiego, o których była już mowa, czytamy: „Długi Karnickiego coraz bardziej rosty, a właściciel, przebywający stale w Wiedniu, żądał wciąż nowych sum pieniędzy. W rezultacie majątek jego przypadł prawie Lindenbaumowi.”

Pozwólmy sobie przytoczyć dosłownie następny akapit: „Wiercenia dokonywane były przeważnie na terenach Lindenbaumów i przedsiębiorstwa naftowe płaciły im 20% od wartości produkcji brutto. Innymi słowy, Lindenbaumowie mieli ropę naftową za darmo, ostatnio przed drugą wojną światową około 200 wagonów (2000 ton), czyli wartość 400 tysięcy zł miesięcznie. Prócz tego spadkobiercy Lindenbauma pobierali za zajęcie pod kopalnię powierzchni równowartość 0,3 kg pszenicy za każdy metr kwadratowy. Same lasy borysławskie miały ogromną wartość, a przecież Lindenbaum włącznie jego spadkobiercy, posiadali jeszcze inne majątki ziemskie i inne dochody oraz gazolinarnię w Hubiczach (w pobliżu Borysławia).”

Jako ciekawostka, którą można by zatytułować „jak wyglądał Borysław w okresie współczesnym Dawidowi Lindenbaumowi”, oczywiście w jego okresie pachciarskim w Kropiwniku, niechaj

posłużą fragmenty artykułu Józefa Dobiszewskiej-Śmigielskiej wydrukowanego w tygodniku „Kłosy” z 19 i 26 kwietnia 1873 (tysiąc osiemset siedemdziesiąt trzy!) Tytuł artykułu: *Miasto Drohobycz i jego okolice*. Przeczytajmy kilka fragmentów.

„W dziewięć mil w kierunku południowo zachodnim od Lwowa, w połowie drogi (w odległości czterech mil przeszło) między Stryem i Samborem, w dawnej Ziemi Przemyskiej leży nad rzeczką Tyśmienicą miasteczko, którego data powstania w mrocznej ukrywa się przeszłości. Podaj, fantazyj jest mnóstwo (...) Dojeżdża się do Borysławia, o milę od Drohobycza i tyleż prawie od Stebnika odległego, wcale niemile podrażnia ta woń nafty, która (...) chwytła zaraz wędrowca u wstępu (...). Przy mieszkalnych domach tu i ówdzie pokazuje się kobieta wyżółkła, trzymając za rękę lub tuląc do piersi dziecko bez uśmiechu i wesołości.”

Przerzućmy się teraz na encyklopedyczne dzieło pt. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* wydany w Warszawie nakładem Filipa Sulimierskiego i Władysława Walewskiego w roku 1880. W tomie pierwszym znajdziemy hasło „Borysław”.

„Borysław, wieś, pow. drohobycki, nad rzeczką Tyśmienicą, 343 metry nad powierz. morza. Kolej żelazna idzie z Drohobycza do Borysławia, jako gałąź kolei żelaznej nadnajskiej (11 kl. dług.); umyślnie tylko do Borysławia poprowadzona; w tej wsi bowiem znajdują się nadzwyczajnie obfite kopalnie nafty (...): w 1870 roku było w Borysławiu i pobliskich wsiach: Tustanowice, Wolanka, Mrząnica, Schodnica, Orów i Nahujowice 4338 szybów, które można powiedzieć, co dnia się mnożą. (...) W roku 1870 było w samym B. 10 dystalarni nafty, ilość tych co rok się zwiększa, a nafta borysławska rozchodzi się szeroko. Ludność rzym. kat. 1166, gr. kat. 660, wyrobników i sług 270, izrael. 3204, razem 5300 (...). W roku 1873 znajdowało się w tej kopalni 12.000 szybów; eksploatacyą nafty i wosku ziemnego zajmowało się 75 większych a 779 mniejszych przedsiębiorców, którzy zatrudniali 10.500 robotników. (...) Tak okryła się cała dolina borysławska, obok czynnych studzien, mnóstwem na pół zaasypanych jam i dołów zalanych wodą, których łączna coraz się powiększa. Tym samym sposobem wydobywa się wosk

ziemny, którego boryslawska kopalnia obecnie więcej wydaje niż oleju skalnego. (...) Z pokładów nasyconych ropą wydobywają się zabijające gazy. Dlatego używają wentylatorów czyli młynków do oczyszczania powietrza. (...) Pełno tu szachrajstwa i oszukaństwa; studnie podnoszą się i spadają w cenie, jak papiery na giełdzie, a nierozważni spekulanci, oszołomieni nadzieją dorobienia się skarbów, topią częstokroć na polach boryslawskich grosz, w pocie czoła przez lat wiele zapracowany”.

★

Zarząd Dóbr Towarzystwa Spadkobierców Dawida Lindenhau-
ma nie ustosunkował się do pisma intendentury w sierpniu 1939 roku,
ani później, ani NIGDY. W ciągu tygodnia od chwili otrzymania
listu wypadki potoczyły się byskawicznie. Członkowie Zarządu
Samueli, Buchsbaum, Neuman i Schreiber, jeśli się spotkali, to chyba
w schronie... A tam radzili już tylko nad tym, jak ująć cało z
rozpoczętej wojny.

Bibliografia

1. Józefa Dobiszewska-Śmigiejska, *Miasto Drohobycz i jego okolice*,
„Kłosy”, 19 i 26 kwietnia 1873
2. Tadeusz Porembalski, *Wspomnienia naftiarza*, PWN, Warszawa,
1978
3. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiań-*
skich, Warszawa, 1880

II. BORYSŁAW NASZEJ MŁODOŚCI

A TYŚMIENICA NADAL PŁYNIE

Co prawda — to prawda. Klondike w północno-zachodniej Kanadzie stała się rzeką sławniejszą, o wiele sławniejszą od niedużej rzeczki Tyśmienicy, która wody swe czerpie z podkarpackich strumieni i toczy je krętym korytarzem aż do Dniestru. Obie jednak, Klondike i Tyśmienica cieszyły się sławą złotodajnych rzek; z tą tylko różnicą, że złoto pokrywające powierzchnię borysławskiej rzeki, było czarne, czasem brunatne lub ciemnozielone, ale zawsze płynne. Jeśli po legendarnie kanadyjskie złoto ciągnęły z obu Ameryk, a może i z innych części świata — tłumy żądne wzbogacenia się, Tyśmienicę eksploatowali mieszkańcy jednego jedynego miasta, wyjącznie Żydzi. Kiedy się to zaczęło — trudno ustalić. W każdym razie żyjący do dziś potomkowie tych Żydów, liczący obecnie osiem dziesiątek lat (ad meja w'esrim!) od wczesnego dzieciństwa pamiętają, że ich ojcowie i dziadkowie trudnili się tym zawodem.

Wspomina Szmielek opowieści swego ojca Łebaka:

— Wtedy nie było w ogóle chodników, kiedy z twoim dziadkiem zaczęliśmy łebać ropę. A później, gdy nad rurami, długimi na kilka kilometrów, położyli drewniany trotuar — to już u nas wyglądało, jak miasto. Bywało, że te poprzeczne deski odrzuwały się i wtedy niejeden wpadał i był szczęśliwy, jeśli kończyło się bez trwałego kalectwa.

Nigdzie, gdziekolwiek dobywano i dobywa się ropę naftową, nigdzie poza Borysławiem, nie uprawiano tego dziwnego zawodu — łebaka. Łebacy wykorzystywali Tyśmienicę i jej dopływy, nazywane

przez mieszkańców Ponerłanką, Ropianką, Potokiem — łąwiąc to czarne złoto najpierw za pomocą starych, dziurawych garnków (woda wypływała przez te dziurki, ropa osiadała na dnie), a potem za pomocą trawiastego snopka przypominającego koński ogon.

Tyśmienica nie była głęboka. Jej wody (poza okresami roztopów wiosennych i jesiennych deszczów) nie sięgały nawet kolan, a mimo to odzienie łebaków przesiąknięte było ropą naftową.

Kuracjusze pobliskiego Truskawca, odwiedzający Borysław, z politowaniem patrzyli na tych nędznie wyglądających, brodatych Żydów tak ciężko pracujących. Prawda była inna. Swoją drogą — praca niezbyt przyjemna, brudna, ale zarobków łebakom mogli pozdrościć czysto i schludnie ubrani urzędnicy. Łebanie ropy naftowej przynosiło wcale pokąźny dochód. Niektórzy łebacy dorobili się majątków. Nie szczędzili posągów swoim córkom, a bywało, że „kupowali” zięciów przez umówienie im kilkuletnich studiów na wyższych uczelniach w kraju, lub — wymusił to numerus clausus — w Francji, Czechosłowacji, Włoszech, Belgii...

Najbardziej udoskonalone łebactwo stanowiły tak zwane łapaczki. Urządzenie polegało na tym, że nad rzeką budowano pomieszczenie, w którym zmyślnie wykorzystywano różnicę ciężaru gatunkowego ropy naftowej i wody. Drewniana deska stanowiła pewnego rodzaju tamę, pod którą woda, jako cięższa, przepływała, a ropa naftowa zatrzymywała się. Wewnątrz budynku pracowały kotły, w których podgrzewano ropę i odwadniano ją częściowo. Surowiec ten właściciele łapaczek sprzedawali przeważnie trzem prymitywnym rafineriom. Dwie z nich — „Lieberman i Marmelstein” oraz „Schutzman” — znajdowały się jedna naprzeciw drugiej, tuż za żydowskim cmentarzem, w drodze do Drohobycza. Trzecia umiejscowiła się nieco dalej. Nazywała się „Hubicka”.

Jedną z łapaczek powstała jako spółka dwunastu łebaków, przy ulicy Pańskiej, obok kopalni „Zgoda”. Ota zapamiętane nazwiska spółników: Jicchak Mojseze Tillemann, Fajwel Monat i jego dwaj synowie, Sruł Mojseze Josefberg, Mojseze Wolf Stein, Awrum Kalkstein, Szymon Altkorn, Zalman Reich.

W latach trzydziestych drohobyckie starostwo udzieliło koncesji na łapaczkę nazwaną TEKRLN, skrót od Towarzystwa eksploatacji

ropy i emisji naftowej. Złośliwi tłumaczyli ten skrót: Towarzystwo eksploatacji kradzionej ropy i nafty, w czym niewątpliwie tkwiła pewna doza prawdy. W każdym razie było to najpoważniejsze tego rodzaju przedsiębiorstwo, zlokalizowane niedaleko szybu „Szarlota”, obok kina „Grażyna”. Gdy spółka ta (Perlownic, Wyszynski i inni) zbankrutowała, przejął tapaczkę w dzierżawę Uszer Samuety, który właśnie wrócił ze sporym kapitałem z Sumatry, gdzie na podstawie kontraktu przepracował pięć lat w charakterze specjalisty w dziedzinie wiertnictwa naftowego.

Zarówno tapaczkę, jak i boryławszy łebacy — to jedyne w swoim rodzaju zjawisko, które miastu nadało specyficzny charakter.

Prawdziwym dobrodziejstwem dla gospodyn domowych były kule, sprzedawane przez niektórych łebaków. Była to mieszanina ropy i trocin, kupowanych w tartakach Kreisberga lub Gartenberga. Kule o średnicy 10 do 15 centymetrów służyły jako podpałka w piecu lub nawet jako paliwo w rodzin, które nie mogły sobie pozwolić na kupno węgla czy drewna.

Pewnego razu przy takiej „transakcji” wybuchła awantura. Był piątek. Na spokojnej zazwyczaj ulicy Kopalnianej zapakana Weissowa klóci się ze Strulem przewazanym L'chu Dojdy i jego towarzyszem Sznillem przewazanym Gawnik (któż w Boryławiu nie miał przewiska?). Łebacy ci przynieśli mniejsze kule, a żądali zapłaty jak za normalne. Awantura tym dziwniejsza, że Hinda Weiss cieszyła się opinią łagodnej i spokojnej kobiety. Dziwi się też cała rodzina Kahane, która wyległa z mieszkania i stanęła w obronie sąsiadki.

Hinda zdobywała swoją „parnusę” na straganie. Jej klientami były przeważnie dzieci, które kupowały sztolwertki², andruty, kulki czekoladowe i inne słodczyce. Stragan przylegał do wysokiego, drewnianego płotu, okalającego willę, w której mieszkał dyrektor kopalni Fiebert, tuż nad niedużym potoczkiem. Było południe i Hinda zwiłaja swój interes, aby zdążyć się przygotować do przywitania soboty. I wtedy właśnie napatoczył się znany w okolicy pijaczyna i awanturnik, przewzany Zielona Bekiesza (z powodu swego odwiecznego zielonego płaszcza). Odrzucił straganiarkę i sporo jej towaru wrzucił do wody.

Cóż więc dziwnego, że Hinda podenerwowana i zapiakana, zachowuje się inaczej niż zwykle. Nie pocieszyło jej nawet to, że zupełnie przypadkowo zjawił się Hersz Jasky, który siedzi właśnie na kopalnię „Edison”, gdzie pracował jako pomocnik kowalski. Hersz Jasky i jego kumple Fiszel Stefan i Eli Rischeles cieszyli się sławą tak zwanych wojły jyngen (trudno mi znaleźć odpowiednie polskie określenie; może: morowe chłopaki?) Biada śmiarkowi, który odważył się skrzywdzić Żyda, jeśli ktoś z tej trójki o tym się dowiedział. Nawet policja odnosiła się do nich z respektem.

Tym razem Hersz Jasky (nazywał się Leiner) poczęstował odpowiednio Zieloną Bekieszę, który chyba nieco wytrzeźwiał i z krwawiącym nosem pokuszył się tak szybko, jak mógł do domu.

Nie pocieszyło Weissowej nawet kilka złotych, które znalazła w kieszeni fartucha. Domysliła się, że Hersz Jasky te pieniądze włożył.

Tacy byli ci wojły jyngen. Wolny czas spędzali na moście. Oh, ten boryławski most! To było centrum miasta. Pod nim płynęły Tyśmienica, a na nim... Gdy chciano zwrócić komuś uwagę na trywialny sposób wyrażania się, mówiono: gadasz, jak z mostu. Brzezi rzeki pod mostem służyły nieraz za nocleg dla bezdomnych i tak zwanych barabów, czyli nędzarzy bez zawodu, którzy nie gardzili żadnym zarobkiem, nawet za wykonywanie roboty kolidującej z kodeksem karnym.

Od mostu w kierunku zachodnim zaczynała się ulica Pańska, przemianowana na Kościuski. Na wschód ciągnął się Trakt Drohobycki, zwany później ulicą Mickiewicza. Na północ ulica Ziełńskiego prowadziła na Wolankę, Tustanowice i dalej — do Truskawca. Na południe od mostu szło się na Potok, stąd na Banię Kotowską i Ratoczyn.

Rozległy był Boryław. Podobno pod względem powierzchni zajmował trzecie miejsce po Warszawie i Łodzi. Większa część obszaru — to był las szybów naftowych. Rytm ich pracy dawał o sobie znać okrągłą dobę. Nawet na ulicy Pańskiej, tuż przy chodnikach lub nieco za mieszkalnymi domami widniały szyldy z nazwami kopalń. Przypomnijmy sobie: „Kralup” (własność Himmlów), „Ropa” (własność Hermana Blocha), „Na Kleinerze” itd.

NIEZAPOMINAJKI ZNAD TYŚMIENICY

Świat łebaków zniknął
a Tyśmienica nadal płynie
nie uczyłem się nigdy miłości na pamięć
jednak bez przerwy powtarzam
szyby szyby szyby
hasple i liny
świdry cysterny maszyn
soczysta antyczna ziemia
człowieku piękniejszy niż wybuch

Autor powyższego, Juliusz Wit, podzielił w okresie Zagłady los
tych, których w swych wierszach opiewał — ludzi piękniejszych niż
wybuch.

Czy pamiętacie piosenkę: „W Borysławiu
grają, na Wolance słysząc...”

Sender Pypyk, Szloime Łapundyk, Duwyd Bojke, Mendel Fonia,
Łajb Bazar, Jankiel Pańczyk...oto zaledwie kilku Żydów, do których
przyklepiły się przewiska, czasem już we wczesnej młodości. Na całe
życie. Bywało, że wystarczy nieopatrzna wypowiedź, jakies słowko,
albo zachowanie się niezgodne z przyjętymi normami, a przewisko
niczym etykieta przylgnęło do imienia i...służyło za nazwisko. Na
przykład właściciel kuzni, Doerfler, znany był raczej jako Alter Kowal,
a jego sąsiada z okolicy Moczar — Maurera nazywano po prostu
Mechl Szister (Szewc). Czasem dostatecznym powodem obdarzenia
przewiskiem był kolor włosów; lekarz, dr Lichtgarn, znany był jako
der Rojte (Rudy) Doktor.

Fiszel Schlusselfeld-Sidor zadał sobie swego czasu nie lada trud —
prawdopodobnie w zamiarze opublikowania — zanotował kilkadzie-
siąt, a może nawet kilkaset przewisk borysławskich Żydów. Ogólnie
panowało przekonanie, że prawie nie było w mieście Żyda bez
przewiska (a było ich około siedemnastu tysięcy...tak, tak!). Ale to
chyba przesada.

★

Przyjezdny agent handlowy rozgląda się i wreszcie pyta:
— Gdzie mieszka Rosner?
— Tu nie ma takiego...
— To ten, co ma sklep z farbami.

— A, to Jankele Kejs (Ser)...

Na mecz piłki nożnej z miejscową „Kadimą” przyjeżdża do Borysławia lwowska „Hasmonea”. Jeden z gości pyta o cukiernię Oberlaendera.

— U nas są tylko trzy cukiernie: Linharda, Kaufberga, Kukumucha.

— A w której zbierają się sportowcy?

— No to mów pan Kukumnuc, a nie jakiś tam Oberlaender.

Do właściciela jednej z kawiarni przylgnęło przezwisko Szyje Goj. O nim krążyły w mieście takie oto gady:

Szyje Goj zamierza na święta kupić nowy machzor¹. W księgarni

zastaje przypadkowo Urn Icyka Friedlaendera, przewodniczącego Talmud-Tory² i znanego w mieście arcykpiarza. Gdy Szyje Goj wybiera modlitewnik, Friedlaender odzywa się:

— Te wszystkie książki są jeszcze zeszłoroczne.

— Jeśli tak — mówi właściciel kawiarni — to nie kupuję.

★

A oto Szyje Goj chwali się, że u niego w kawiarni gra orkiestra:

— Eine Damenkapelle von sechs Mann...

★

Innym razem dwóch gości denotuje się, że kelner do nich nie podchodzi. Na to Szyje Goj zwracając się ze złością do kelnerów:

— Siedzi dwóch zawieszonych gości (cwaj łazyge gest) i nie możecie ich obsłużyć?...

★

Rzadko kto znał nazwiska grupy *wojle jynge*, słynących ze swoich wyczynów, czasem kolidujących z prawem, a często udzielających pomocy ludziom ubogim i słabym. Każdy wiedział, że raczej lepiej nie zaczepiać Rojte Łajbysza, Fiszla Stefana i Hersza Jasky.

Jaka szkoda, że wtedy, gdy Borysław był NASZYM Borysławiem, w którym społeczność żydowska miała coś do powiedzenia — nie znalazł się nikt, kto notowałby obyczajowe obrázky, kto zapisywałby ważne i mniej ważne wydarzenia... Kto myślał, kto wierzył, że takiego Borysławia już nie będzie. Dzisiaj trzeba sobie przypominać: A pamiętasz?... To częste pytanie w przypadkowych spotkaniach. No i jak można, ratujemy wspomnienia o naszym mieście.

★

Całe miasto znało dzieje rodziny Goldhammer, która wślawiła się w wczesnych latach naftowego grodu. Mieszkali przy ulicy Zielnińskiego, tuż za miastem, w małym drewnianym domku. Gospodyni skarżyła się, że jakkolwiek by szorowała podłogę, ciągle pojawiają się na niej tłuste, ciemne plamy. Szczególnie ubolewała nad tym, że w piątki stara się zawsze bardziej niż w inne dni, aby w soboty deski blyszczwały czystością. Biedna kobiecina załamywała ręce i skarżyła się na strogi los, jakim Stwórca ją ukarał... Ale, Boże, za czyje grzechy?...

Stary Goldhammer opowiadał w bożnicy o kłopotach swojej połowicy. I... stało się. Zjawili się u niego w domu zainteresowani, potargowali się, setka w górę, setka w dół i transakcja została zawarta. Goldhammer z robotnika ledwie wiążącego koniec z końcem, stał się średniozamożnym Żydem. A jednak z zalem przypatrywał się, jak rozbiera się odziedziczoną po ojcu schedę.

W miejscu, gdzie jeszcze miesiąc temu Goldhammerowa czyniła nadludzkie wysiłki, aby zmyć plamy ropy naftowej, stanęła „Trójka”, która — jak się okazało — produkowała pokazne ilości czarnego złota.

★

Dwa, trzy lata przed wojną wydarzyło się w Borysławiu nieszcześnie. Młode dziewczyny umierały na gruźlicę. Jedną z pierwszych była Dońcia Freund, córka dyrektora koncernu naftowego „Małopoliska”, zgrabna, ładna panienka o jednym oku zielonym, a drugim

niebieskim. Następna była Dońcia Bachman, potem Rachelka Kupferberg i jej młodsza siostra. Na miasto padł strach. Rabin i postanowili odczytać zły urok. W tym celu należało urządzić ślub parze sierot o północy, na żydowskim cmentarzu i wyposażyć ją na koszt gminy żydowskiej. Ze strony chrześcijańskiej miały rozkołysać się dzwony kościelne i cerkiewne i zwołać wiernych na błagalne modły. Nie wiadomo, jak to wszystko przebiegało. W każdym razie młode dziewczyny przestały umierać na gruźlicę. Niestety kilka lat później wiele z nich rozstało się z życiem w Belcu, Oświęcimiu, czy w Boryslawiu pod rzeźnią.

★

Wielu Żydów w Boryslawiu, a wydaje mi się, że wszędzie w tak zwanych żydowskich miasteczkach, kierowało się w codziennym życiu swoistymi regułami, wpajanymi już w młodziutkie umysły przez melamedów w chederach. A oto niektóre z zakazów:

W poniedziałki i czwartki nie wolno ścinać włosów ani paznokci. W wychodku nie wolno używać żydowskiej gazety, ponieważ drukowana jest świętymi literami.

Na tle różnorodnych zakazów i nakazów powstawały nieraz śmieszne albo nawet konfliktowe sytuacje:

Przez pole zasłane śniegiem wraca do miasta kierownik kopalni nafty, Jakub Wahl. Jego wygląd nie zdradza żydowskiego pochodzenia. Oto z chatki wychodzi kobieta okutana ciepłą chustką i zwraca się do Wahla:

— Proszę pana, może pan wejdzie do mnie i podpali w naszym piecu. Nam Żydom nie wolno tego robić w sobotę.

Wahl spełnił prośbę kobiety i za to otrzymał kromkę chaty, nie zdradziwszy swego pochodzenia.

★

Po kolejnej przerwie w modłach jomkipurowych, pani aptekarzowa Offewa wraca do synagogi i pyta siedzącą obok kobietę:

- Przepraszam, co będziemy się teraz modlić?
- Siedem razy Łamnacejach.³
- Jezus Maria! Siedem razy Łamnacejach?!

★

W mieście znany był p. Buchsbaum, uchodzący za boryslawskiego Muenchhausena, a był rzeczywiście kawalerzem pierwszej rangi.

— Wchodzę do kuchni i co ja widzę? Nasz, ten duży kufer na kołach pędzi dookoła stołu, objając się o ściany. Wreszcie go zatrzymałem. Podnoszę pokrywę, a tu na mnie buchają kłęby pary. Wydobywały się one z dużej miski pełnej gorących pierogów, które moja połowica tam wstawiła. Musiałem jej wybaczyć, bo nie znała wynalazku Stephensona.

Innym razem na pytanie, w jakich okolicznościach stracił wskazujący palec lewej ręki, opowiada:

— W czasie wojny z Rosją stałem na warcie na samej granicy, przy wysokim pakowaniu drewnianym. Ludzie mówili, że tam, po drugiej stronie panują okropne mrozy. Aby się przekonać, jaka jest w Rosji temperatura, wystawiłem palec przez dziurę po soku. No i nieszczerście gotowe. Palec odpadł.

★

Taki był wielobarwny Boryslaw. Bił żywym pulsem swojego folkloru. Po wybuchu II wojny światowej zaczął coraz bardziej tracić swój charakter. Dzisiaj to jest zupełnie inne miasto, gdzie nie ma szybów naftowych, gdzie cmentarz żydowski zamieniono na stację benzynową, gdzie...

„No cóż... bza w oku...”

¹ Machzor — modlitewnik na uroczyste święta

² Talmud-Tora — szkoła Tory

³ Łamnacejach — do Zwycięzcy

BORYSŁAW NASZEJ MŁODOŚCI

Pociąg wlokący się z powiatowego grodu Drohobycza do naszego miasta wspina się, dysząc ciężko, pod górę. Parowóz ciągnie kilka zaledwie wagonów. „Jeżeli nocną przybliżysz się doń” — zostajesz oczarowany widokiem z okna wagonu: to chyba nic innego jak światła wielkiego miasta... Przybysz, który po raz pierwszy właśnie nocą przyjeżdża, odnosi wrażenie, że ta mnogość lamp pochodzi z wielopiętrowych budynków. Dzień obnaża prawdę. Na wzgórzu zalesionego Raticzyna wznoszą się setki szczybów naftowych, uzbromionych w tysiące żarówek, nieraz po kilkanaście na jednej wieży.

W naszych szczenięcych latach dziwny układ linii kolejowej sprawiał, że uważaliśmy nasze miasto za początek i koniec świata równocześnie. Stąd bowiem wyruszały pociągi z wagonami osobowymi i cysternami w daleką drogę, a gdy przybyszały przed budynek stacyjny, na którym widniał duży biały sztyl z czarnym, dumnym napisem BORYSŁAW — TUSTANOWICE... to był kres. Dalej pociąg już nie szedł.

BORYSŁAW. Ilećroć i gdziekolwiek mowa jest o tym mieście, nawet nie zawsze wśród ludzi pochodzących z tych podkarpackich okolic, pierwszy refleks: aha, to nafta. Tak jest. A zaczęła się ta naftowa epopeja jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku. Niektórzy przesałdani patrycyj miejscowi wysuwają hipotezę, że Borysław — to w ogóle pierwsze odkryte źródło ropy naftowej w świecie. W każdym razie, jeśli nawet tak nie jest, to nasze miasto wslawiło się dzięki „czarnemu złotu”.

W latach, w których nasze pokolenie dorastało, uczyło się, pracowało — Borysław był dla nas, jeśli nie pępkiem świata, to miastem przez nas kochanym. Jego wyspy, otaczające je gęsto zalesione wzgórza, rzeka Tyśmienica — były nam bliskie i drogie.

Miasto posiadało specyficzny folklor. Niewątpliwie spowodował to właśnie przemysł naftowy. Mieszkańcy, jak wszyscy na świecie, a jednak odmienni. Pod koniec istnienia naszego miasta (połowa 1941 roku) liczba ludności wynosiła około 50 tysięcy, z tego prawie 17 tysięcy Żydów. Większość z nich pracowała w przedsiębiorstwach naftowych i w kopalniach ozokerytu oraz w różnego rodzaju rzemiośle. Inni trudnili się handlem, jak zresztą wielu Polaków i Ukraińców.

Wspominaliśmy już o łebakach. Tej profesji poświęcili się niewątpliwie tylko Żydzi. Borysław obfitował w potoczki i rzeczulki, dopywy Tyśmienicy. Żaćzyć orzeźwiającej kąpieli w żadnej z nich nie można było. Na powierzchni tych wód pływały płyty ropy naftowej, pochodzącej z pękniętych rurociągów, ze zbiorników czy nawet szczybów, znajdujących się opodal na wzniesieniach. Często ropy zbierało się tyle, że zakrywała zupełnie zwierciadło wody. Wówczas łebacy mieli oczywiście bogaty połów. A łowili oni ropę w szczególny sposób. Kto i kiedy ten „patent” wynalazł — nie wiadomo. Z wysokich traw sporządzali rodzaj grubej miotły, podobnej do końskiego ogona. Jego górną część związaną mocno sznurkiem, trzymali w dłoni. Łebacy zaopatrzeni w to zwyczajne, acz wymyślne narzędzie oraz w dwa wiadra, zarzucali swoją „wędkę” na powierzchnię rzeki i po chwili wyciągali ją nasyconą ropą naftową. Przeczekawszy aż ścięknie woda, drugą ręką ściągali zsuszonym ruchem w dół „wędkę” zdobywcz do wiader. Napelnione czarnym złotem wiadra zawieszali na nosilkach zwanych w miejscowej gwarze koromysłami i odnosili na podwórka swoich mieszkań, gdzie powstał swoistego rodzaju przemysł polegający na produkcji kul z ropy naftowej i trocin, o czym już pisałem.

Inni łebacy, posiadacze beczkowsów, odwozili połów do małych rafinerii, którym sprzedawali go jako surowiec do prymitywnej kotłowej destylacji.

W owe czasy nad każdym zakątkiem miasta rozbrzmiewał charakterystyczny śpiew trzeciaków, to jest trzeciach, najniższej platyni pomocników wiertacza. Z koron szybów wołali śpiewnie: „Hej jam, hej jam goiów!” W ślad za tym śpiewem powtarzającym się co kilka minut, grały znów tłoki, koka, liny.

Przypominajmy sobie urywek wiersza *Posąg*, zamordowanego przez hitlerowców poety, piewcy Borysławia, Juliusza Wia:

ta ziemia aż drży od milosnych motorów
każdy najczulszy żywy nerw ziemi
naftową ropą oddycha
nie
nie oddycha
stuchajcie wyraźnie grzmi
płucami, które dech Karpat
zarliwie — różowo rozszerza
grzmi pulsującą rytmiczna praca
bezsennie tykający aparat
dzień dzwonem tnie

(...)

w ropą obficie oblanym marmurze

kuje twój olśniewający posąg

Wówczas, gdy w którejś tam klasie gimnazjum pisaliśmy klasówkę o rodzinnym mieście, w najśmielszych oczekiwaniach nie mogliśmy przewidzieć, że to miasto stanie się nam obce, że będziemy o nim myśleli ze strachem i zgrozą, że nigdy nie zapragniemy go zobaczyć.

Moje rodzinne miasto — to obecnie Borysław bez prawdziwych rodzinnych borysławian, bez tych „małachów”, jak drohobyczanie (nazywani przez nas „cebulnikami”) swych sąsiadów przezywali. Znikł ten swoisty żydowsko-polsko-ukraiński folklor. Wszak Żydzi stanowili 1/3 część ludności miasta. Gdzie oni? Tysiące zamordowanych i spalonych w piecach krematoryjnych Bełżca i wielu innych obozów zagłady, łącznie z Oświęcimiem, setki zabitych na placu przy miejskiej rzeźni. Akcje... akcje... pierwsza... druga... trzecia...! A ilu zginęło na frontach wojennych lub umarło w nędzy i głodzie na olbrzymich obszarach Związku Radzieckiego...

Chciałoby się ocalić w pamięci żydowską ulicę Borysławia. Nawet jeśli pozostało nas, rozdzielonych dziesiątkami tysięcy kilometrów, mała garstka, może tysiąc, może dwa tysiące.

Może to epitafium ku pamięci nie powstałoby, gdyby nie zbieg okoliczności.

Latem 1978 roku zjechało do Sztokholmu kilkoro byłych mieszkańców Borysławia. Przybyli z Polski, Kanady, Australii, Izraela, aby odwiedzić swoich ziomków, obecnie już obywateli Szwecji. Czyż można się dziwić, że na spotkaniach po dziesięciu, dwudziestu i więcej latach, puszczono wodze wspomnieniom?

Ci, co przeszli okupację w Borysławiu przypominali kolejne akcje... Pierwszą — dzieło ukraińskich nacjonalistów, na początku lipca 1941 roku. W „dniu Banderi” zabito około 200 Żydów. W drugiej Niemcy zastrzelili w okolicznych lasach około 600 Żydów. Trzecia odbyła się w pierwszej połowie sierpnia 1942 roku. Niemcy wywieźli wtedy do obozu zagłady w Bełżcu około 5000 osób. Było tych akcji bodaj dwanaście. Ostatnią hitlerowcy urządzili na pożegnanie, kilka dni przed swoją ucieką z Borysławia. Niezależnie od tych masowych akcji, padły setki ofiar pojedynczo, zamęczonych i zagłodzonych. „Wszystkimi ulicami ciągnęły tłumy ku cmentarzom. Makabryczny humor nazwał je tramwajem borysławskim”. (Marian Jachimowicz *Borysław — Zagłębie poetyckie*, wspomnienie opublikowane w miesięczniku „Twórczość”, kwiecień 1958)

W czasie tych polowań na Żydów nie mało Polaków i Ukraińców dorobiło się pokątnych majątków. Znaleźli się jednak i szlachetni. Oto małżeństwo Grzegorzyczków uratowało 14 Żydów. Jadwiga Markowska, borysławska działaczka PPS, przeżyła okupację w Warszawie i tam organizowała dla Żydów kryjówki i dostawę żywności. Stanisław Dziedzic za pomoc udzielaną Żydom został wraz z nimi rozstrzelany pod rzeźnią.

Te koszarne opowieści były przeplatane wspomnieniami z lat przedwojennych, gdy niektórzy z nas byli członkami Haszomer Haeiz² czy innych organizacji, zarówno syjonistycznych, jak i lewicowych, gdy działały żydowskie związki zawodowe. Przypominano sobie klub sportowy „Kadimah”, który w swych różnych sekcjach odegrał nie tylko wybitną rolę na polu wychowania fizycznego, lecz również jako organizator imprez kulturalnych,

między innymi w Domu Żydowskim, obok szkoły hebrajskiej. W tymże Domu Żydowskim działało amatorskie koło dramatyczne im. Anskiego. Założyciel koła, Dunio Schiff, do końca życia w gronie telawiskich boryslawian wspominał z łezką w oku jego występy.

Byłoby grubym niedopatrzeniem pominąć oświatowo-kulturalną działalność Biblioteki Żydowskiej, liczącej wiele tysięcy tomów i tysiące abonentów, wśród nich sporo nie-Żydów. W latach 1939-41, gdy była już Biblioteką Miejską, jej młodociany kierownik „zatopiony w literaturze i marzeniu o teatrze” (M. Jachimowicz *Boryslaw — Zagłębie poetyckie*) był miłe widzianym towarzyszem nieoficjalnych spotkań boryslawsko-drohobyckiej bohemy. W tym gronie poważną rolę odegrali: Maciek Zwilich (Fleischer), Bruno Schulz i Juliusz Wit, których śmierci winni są ukraińscy i niemieccy oprawcy.

O Maćku Zwilichu należy wspomnieć jako o świetnym artyście malarzu. W czasie „pierwszych Sowietów” — jak nazywaliśmy okres od września 1939 do czerwca 1941 — uczył w gimnazjum rysunków i wyłuskiwał talenty. Jednym z jego dobrze zapowiadających się uczniów był Baruch (Buzio) Wahl, zabity przez gestapowca.

Bardzo często przewijały się w naszych rozmowach wspomnienia o Podwórzu. Cóż to takiego? Mieszkańcy domów otaczających kopalnię „Na Kleinerze” błogosławili dzień w którym zakończył się żywot szybu naftowego. Ustały wyziewy pary z kotłów oraz syki i zgazyły urzążeń kopalnianych. Z tej przykryej dla Icyka Kleinera (zginął w pierwszej akcji) sytuacji skorzystała młodzież, zarówno jego dzieci, jak i sąsiadki i ich koledzy szkolni. Na tak zwane odtąd Podwórze (na które czasem mówiono Podwórz) ciągnęli chłopcy i dziewczęta. A tam kancelaria nieczynnej kopalni zamieniła się w salę, w których wieczorami śpiewano, prowadzono poważniejsze dyskusje, a od czasu do czasu niektóre kwice szmrowe¹ miały pogadanki. Któż z bywalców Podwórza, pozostających przy życiu, rozproszonych po wielu krajach, które wówczas znali tylko z mapy, nie pamięta i nie wspomina z sentymentem owych wieczorów...

A dowcipne historyjki i anegdoty, sypane jak z rękawa przez uroczego Alberta Schlesingera... A rymowane „wycinanki” z dowcipną pointą, interesująco przedstawione przez Tuńcia Schiffa², strątego bywalcia Podwórza...

Dużo zainteresowanie budziły wysiłki Tadeusza Zuckera, gdy urządzał seanse spirytystyczne. Inteligentnym dyskutantem okazał się Marek Rattner, który potem zginął na wojnie. Niezwykle oczytany, jak na ucznia gimnazjalnego, porwał się na napisanie powieści o naszym mieście. Należałem do koła jego intymnych przyjaciół, którzy z dużym zainteresowaniem i dumą ze swego kolegi przeczytali rękopis.

Wiernym przyjacielem braci podwórkowej był Hesio Perlman. Bardzo ceniony w gimnazjum przez nauczycieli pozwalał sobie nieraz na ekstrawagancję. Gdy byliśmy już w maturalnej klasie, Hesio wyraził się w klasówce (nie pamiętam, w jakim kontekście): „.... ja, Maria Stuart i Jan Kazimierz”. To wystarczyło, aby polonista doprowadzić do szata:

— Tobie, Perlman, śledzie sprzedawać, a nie do gimnazjum chodzić!

Hesio już wtedy przewyższał tego nauczyciela inteligencją i oczytaniem. Bezpośrednio po maturze, a może rok później, rodzina Perlmanów wywędrowała do Palestyny. Tu Hesio ukończył studia i po kilku latach stał się wykładowcą na Uniwersytecie Jerozolimskim. Według krążącej wówczas wersji, jaka dotarła do Borysławia, zginął podczas nalotu. Wiele lat później w przypadkowym spotkaniu w Krakowie, dr Michał Friedlaender, który uczył nas w boryslawskim gimnazjum języka niemieckiego i historii powszechnej wspominał Hesia ze łzami w oczach: — On byłby na pewno wielkim uczonym.

Po doktorze Friedlaenderze zamordowanym przez hitlerowców w Brodach, pozostała mi broszurka o Romain Rollandzie, którą dr Friedlaender napisał pod pseudonimem Al Steve. Jak świadczy ex libris — broszurka stanowiła własność Mariana Bauera, który okupację przeżył w Borysławiu, gdzie stracił żonę, rodziców i kilkoro rodzeństwa. Marian umarł kilka lat temu w Izraelu.

Jednym z mieszkańców Podwórza był Milek Russ. Gdy w Tel Awiwie powstał komitet boryslawski „Do not forget”, jemu powierzono funkcję sekretarza. Przed kilku laty wstrząsnęła nami makabryczna wieść, że Milek został w czasie wycieczki w Schemnie zastrzelony przez Araba.

Jest rzecz naturalną, że tam, gdzie często spotykają się dziewczęta i chłopcy — powstają przyjaźnie się pary, a po czasie — przyjaźń zamienia się w miłość. I nic dziwnego, że Podwórze skojarzyło pary w małżeństwa. Niektóre z nich, mieszkające w Izraelu, spotykają się od czasu do czasu na tak zwanych powórkach, czyli wspomnieniowych rozmowach.

— A pamiętasz?...

W rozmowach rodaków przewinęły się setki imion i nazwisk. Oglądamy albumy ze zdjęciami, które się zachowały u osiadłych w Sztokholmie przyjaciół. Oto dwie siostry: Ruchka Gartenhaus i Fanka Bleiberg (z domu Fichman), zastrzelone pod rzeźnią. Ich los podzieliła Dinka Rapp, jedna z najładniejszych dziewcząt Borysławia. Mogła ująć z życiem, gdyby zgodziła się na niedwuznaczną propozycję hitlerowskiego oficera. W odpowiedzi plunęła mu w twarz, za co obdarował ją serią z automatu.

Z fotografii „Kadimy” patrzą na nas Szymek Rand, Kuba Weitz (wyrzucony z gimnazjum z wilczyim biletem — studia ukończył za granicą), Hertz Schmer (przegrał wprawdzie okupację w rodzinnym mieście, lecz umarł w Warszawie), Hertz Schaller (przed wojną ukończył studia medyczne, w czasie wrzesniowej ucieczki z większą grupą kolegów dostał skrętu kiszki i zmarł. Jego pogrzeb odbył się w Borysławiu tuż przed wejściem hitlerowców do miasta).

Na szkolnej fotografii widzimy Lonka Sametę. I on był lekarzem. W PRL został generałem i szefem służby zdrowia wojska polskiego. Nikt z nas zebranych na przyjacielskim spotkaniu w Sztokholmie nie odzywa się. Wertujemy kartki albumów. Seria fotografii z Kazachstanu. W grupie, oparty na łasce stoi Mundek Weitz. Pracował w tamtejszym przemysle naftowym jako wiertacz. Przed swą śmiercią w Australii, dokąd zawędrował po wojnie, często do nas pisał. Obok Mundka siedzi Betka, moja siostra. Po powrocie do Borysławia zginęła tragicznie 3 grudnia 1945 roku. Jej śmierć to jeszcze jedna mogiła na szczątkach miejscowego cmentarza żydowskiego.

Albumy leżą na regałach obok setek książek. Są wśród nich dwie o naszym mieście czasów gehenny: *Ziemia bez Boga* i *Jesli Ciebie zapomnę*. Ich autor, Koppel Holzman, po ciężkiej i długotrwałej

chorobie, której nabawił się w czasie okupacji, umarł w połowie lat siedemdziesiątych we Wiedniu.

Borysławianie nie posiadają Księgi Jizkor. Pisaną pamiętkę o tym mieście mogą stanowić książki Koppła Holzmana i częściowo — wydana w Bremie po niemiecku — książka Renaty Reinke *Antworte, Mensch!*

¹ Akcja — tak Żydzi w czasie okupacji nazywali pogrom, łapanie, wywózkę do hitlerowskich obozów zagłady.

² Haszomer Hacair — Młody Straznik, organizacja młodzieżowa. Na członka tej organizacji mówiono szomer.

³ Kwuca szomrowa — oddział, grupa. Kwuce nosiły często nazwy wzięte ze świata zwierzęcego: dwora — pszczoła, szaul — lis.

⁴ Tuncio Schiff — patrz tekst: *Z pieśnią poszedł między ludzi*.

⁵ Księga Jizkor — Księga Pamięci.

Pole Schorra stało się ni stąd, ni zowąd widownią zażartych wojen między chłopcami z Borysławia i Wołanki. Zaczęły się w pewną sobotę i odłąd w ów dzień, każdego tygodnia, toczyły się boje. Działo się to w czasie pierwszej wojny światowej, gdy miastem zawładnęli Moskale — jak nazywano rosyjskie wojska, wysłane na rozkaz cara Mikołaja II przeciw armiom jego cesarsko-królewskiej mości Franciszka Józefa I.

Jaka była przyczyna walk i o co wojowali chłopcy — trudno dociec. Bili się nie na żarty. Kamienie i kawały cegieł leciały w obie strony „frontu”, a co niektórzy, bardziej zapalczywi miotali rozbite flaszki, a nawet poręczne żelazne przedmioty, co nie było już bronią konwencjonalną. No cóż. „Wojowników” nie obowiązywały konwencje haskie, głoszące — między innymi — również humanitaryzację wojen. Śmieszne, prawda? A może i cyniczne... Czy w samym pojściu, w samym wyrażu w o j n a może się zmieścić wyobrażenie h u m a n i t a r z m u... Nierządco wracali „bohaterowie” do domu jako inwalidzi, a tam — jak to w domu — nie obeszło się bez krzykliwych wymówek, a czasem i sutych cięgów.

Czasami boje przenosiły się na tak zwane wysypy. (Jak już wspominałem, były to hałdy kamieni, żwiru, ziemi i ilu, wywiezione z kopalni ozokerytu, po wytopieniu z nich wosku ziemnego).

W inne dni, oprócz sobót, odbywały się na polu Schorra najrozmajstsze gry i zabawy. Na wiosnę i w lecie roilo się tam od dzieci i młodzieży. Oto dziewięcio- i dziesięcioletni grają w rozpowszechnioną grę — czajchy.¹ Inne dzieci układają przy pomocy starszych kolegów kloce i belki i — po chwili — huśtawka gotowa. A oto grupa chłopców, już nastolatów, kopie szmiankę, która na razie zastępuje im piłkę nożną. Szmianka była to zazwyczaj pończocha wycchana szmatami i uformowana w kształt kuli za pomocą nici lub szpagatu. Zabawa ta zyskiwała z dnia na dzień więcej zwolenników. Już dwie drużyny z zapalem ćwiczą i celują „piłką” w bramkę przeciwnika. Bramkę stanowiły po prostu dwa większe kamienie ułożone w odległości siedem i pół kroku jeden od drugiego, odmierzonej przez najwyższego gracza.

Już nie mówiono „pole Schorra” lecz „boisko”. Co z tego? W każdą sobotę toczyła się wojna borysławsko-wolaniecka.

Aż pewnego razu... bojowy i mocny w barach „generał” Blum Eisenstein, nazywany „królem wojny”, którego opanovała gorączka piłkarska, zmobilizował swoich borysławskich podkomendnych i dał przeciwnikom taki wyścisk, że wymusił na wolanieckim „dowódcy”, zwanym Mojse Mendl Hulaj, kapitulację. Pokonany musiał złożyć uroczyste przyrzeczenie wobec bojowców obu stron, że kilkuletniej wojny nadszedł kres. Zawarto pokój. Odtąd pole bitew przekształciło się naprawdę w boisko sportowe. Niepisana umowa zawierała klauzulę, na mocy której dotychczasowi antagoniści będą mogli na tym terenie wyżywać się sportowo i tylko sportowo. I tak się też w końcu stało. Zanim jednak nastąpiło pojednanie...

W pewną pogodną sobotę toczyły się na polu wyjątkowo zażarte walki. Kamienie leciały w jedną i drugą stronę niczym pociski ciężkiego karabinu maszynowego. Jakby spod ziemi wyrósł między obiema „armiami” wysoki, barczysty kozak i głośno krzyczał po rosyjsku, nawołując prawdopodobnie chłopców do zaprzestania bojów. Nie zwracając uwagi na apel kozaka, chłopcy nadal rzucali kamieniami, a kilku z nich zaśpiewało popularną wówczas piosenkę po ukraińsku: „Car Nikołaj dał manifest, pisał żołdaty na Karpaty, job jcho maty”. Kozak jakby się wściekł. Biegał, krzyczał i ... nagle runął na ziemię, jak długi, chwyciwszy oburącz głowę, z której spadał czapa. Wśród chłopców zapanovała konsternacja, ba... ogarnął ich nieopisany strach, gdy zobaczyli krew ciekącą ze skroni kozaka. Nawet najbardziej bojowi rozpięzchli się na wszystkie strony.

Bóg raczy wiedzieć, jak okropnie odpokutowaliby, nie tyle chłopcy, co ich rodzice za tragiczną śmierć kozaka, który trafiony nie lada pociskiem w skroń, zakończył swój bohaterski żywot nie na polu chwały, ale na polu Schorra. Kosztowało wiele trudu i zabiegów, aby wojskowy komendant miasta dał się ubłagać i umorzył dochodzenie. Za ten gest łaski, komendant, przedstawiciel jęwo przewoschoditielstwa, otrzymał skórzany płaszcz podbity futrem. Szyty na miarę za pieniądze co zamożniejszych boryslawskich Żydów.

Zdarzył się ten wypadek na krótko zanim wyparto rosyjskie wojska z Boryslawia. Żołnierze armii austro-węgierskiej wkroczyli do miasta ze śpiewem „Gott erhalte, Gott beschutze unsen Kaiser, unser Land”..., wspierały ich pulki cesarza Wilhelma II, zapewniając świat swoją dufną pieśnią, że „Deutschland, Deutschland über alles...” A miasto było wtedy spowite w kilkunastogodzinną noc. Moskale, wycofując się, podpalili kilka wież wieżniczych i zbiorniki ropy naftowej. Ciemne, gęste kłęby dymu przysłoniły niebo.

Trzy lub cztery lata po tych historycznych wydarzeniach, ukoronowanych wersalskim traktatem pokojowym, walki między Boryslawem a Wolanką trwały nadal. Trzeba było dopiero owego gentlemen agreement, zawartego między Blumem Eisensteinem a Mojżeszem Mendlem Hulajem, aby wzajemna nienawiść, niczym nie uzasadniona, ustąpiła koleżeńskiemu stosunkom. W całym tym okresie piłkarze nie tracili czasu. Szmaciankę zastąpiły krowie pęcherze, zdobywane bez trudu w sąsiadującej z polem Schorra rzeźni miejskiej.

Aż pewnego dnia na „boisku” — sensacja. Hebik Heimberg zjawiał się z najprawdziwszą, skórzaną piłką!

— Moje szczęście nie miało granic — wspomina Hebik — gdy jako upominek urodzinowy dostałem od rodziców prawdziwy futbol, nawet z pompką. Lepszego prezentu nie mogli wymyślić.

I ta hebikowa piłka stała się — jak należy przypuszczać — załącznikiem oficjalnie zorganizowanej drużyny SKS ŚWIT (Studencki Klub Sportowy). Klub ten zrzeszał w zasadzie młodzież gimnazjalną (uczniów gimnazjum nazywano wówczas studentami). Garneli się do Świtu również nie studenci. W pierwszym okresie należało do klubu

kilku nie-Żydów (Dzieciolowski, bracia Jamro i inni). Po pewnym czasie ustalili się wyłącznie żydowski skład drużyny. Członkowie SKS ŚWIT rekrutowali się z różnych warstw społecznych. Ojcowie niektórych zajmowali kierownicze stanowiska w przemyśle naftowym, inni pracowali jako robotnicy, jeszcze inni byli kupcami, urzędnikami, rzemieślnikami, lekarzami. Wśród chłopców, niezależnie od pochodzenia, panowała koleżeńska harmonia, zawiązywały się trwałe przyjaźnie.

Do pierwszych graczy SKS ŚWIT należeli (w porządku alfabetycznym): Chaim Aberbach, Marian Bauer, Lipa Buchwalter, Ulek Dienstag, Blum Eisenstein, Munio Hauser, Hebik Heimberg, Srulek Littman, Józek Luks, Hertz Schaller, Hertz Schmer, Munio Seidman, Adolf Wagner, Kuba Weitz. O każdym z nich rozdziały pisać można, a byłaby to interesująca lektura o czterech lekarzach, czterech inżynierach i innych wysoko wykwalifikowanych pracownikach. Resztki naszego pokolenia ziomków, pozostałe przy życiu po kataklizmie, liczące sobie obecnie ponad sześć, a nawet ponad siedem dekad, znają i pamiętają te nazwiska i doskonale wiedzą, o k o m u, a raczej kto był kim.

Prezesem klubu został Manek Schaller (starszy brat Hertza), zajmujący eksponowane stanowisko w hierarchii urzędniczej przedsiębiorstw przemysłu naftowego.

Minęły trzy, a może cztery lata, gdy na wniosek Bluma Eisensteina klub zmienił nazwę na Żydowskie Towarzystwo Sportowe HAKOACH. Dzięki usilnym staraniom i wpływowi Manka Schallera, ZTS HAKOACH przeniósł swą działalność na błonia Lindenbaumów, właścicieli terenów ropodajnych Boryslawia. Odtąd na tych błoniach, rozciągających się w sąsiedztwie Bani Kotowskiej, odbywały się zawody i treningi piłki nożnej. Z biegiem czasu stały się one widowiską rozgrywek nie tylko futbolowych.

Podobno Lindenbaum nie mógł sobie z początku wybaczyć, że pozwolił kopać piłkę w sobotę. Swego szlachetnego gestu jednak nie cofnął. Zresztą obserwując uciechę chłopców, zajmujących się sportem tak żarliwie, pozwolił dość szybko uspokoić się wyrzutom swego religijnego sumienia.

Pole Schorra nadal odgrywało rolę, dodac należy: chlubną rolę — boiska sportowego. Pamięta ono narodziny takich żydowskich klubów jak Moriah, Hagibor, Fortuna, Hasmonea i innych. Byli to swego rodzaju sportowe przedszkola, które po pewnym czasie, zdobywszy sportowe szlify, zasiliły ŻTS HAKOACH, a później różne sekcje ŻKS KADIMAH nowym, młodym narybkiem. Z nich wywodzi się późniejsi współtwórcy sukcesów obu czołowych, żydowskich klubów sportowych Borysławia. Byli to bracia Ciulo i Motl Ginsburgowie, Duwko Gartenhaus, Broniek Jaeger, Maks Kirochmal, Szlomo Wagnan, Izio Wegner, który zarząony w maksymalnym stopniu bakiylem sportu, poświęcił się kulturze fizycznej, również pod względem teoretycznym i naukowym. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, zajmował w swoim, zdobytym na studiach zawodzie eksponowane stanowisko w Polsce, a potem w Izraelu. Z innych wychowanków „Przedszkoli sportowych” zasługują na wzmiankę Hesio Backenroth, Benio Feldinger, Kulo Meisels, Dolek Rosenschein, Misio Sperber. Przyjęcie do „Hakoachu” lub „Kadimy” uważali młodzi adepci sportu za zaszczyt i awans.

Poważnie wznowił „Kadimę” Szymek Rand. Był nie tylko zawodowym piłkarzem, ale — po przekoleciu w Hrebenowie — wrócił jako dyplomowany instruktor sekcji lekkoatletycznej.

Szymek Rand dał się poznać społeczności izraelskiej nie lada wyczynem, chociaż nie sportowym. Było to 22 czerwca 1980 roku. W wieczornej audycji radiowej chadaszot? — krótka wzmianka: dzięki mieszkańcowi Hajfy, Szymonowi Randowi, uratowano życie dziesiątków ludzi, zażywających kąpiei słonecznej na plaży Bat Galim w Hajfie.

A było tak: na plażę weszło trzech Arabów. Szymkowi wydali się od razu podejrzani, postanowili więc bacznie ich śledzić. I... nie omylił się. „Goście” po zakopaniu w piasku teczki i termosu (co nie uszło uwagi Randa) zbliżali się do wyjścia. Wtedy Szymek ostrzegł ludzi, aby się natychmiast oddalili od tego miejsca, sam zaś pobiegł za Arabami i z pomocą swego towarzysza zatrzymał ich. Wezwana policja stwierdziła słuszność podejrzeń. Ładunki wybuchowe zdążyła rozbroić i równocześnie „zaopiekować się” sprawcami.

Bywało, że w młodych latach Szymek Rand dokonywał w rodzinnym Borysławiu bohaterских wyczynów na stadionie ukochanego klubu „Kadimah”. I dlatego w wywiadzie udzielonym dziennikarzom stwierdza: „Jeżeli udało mi się przeżyć okres okupacji hitlerowskiej, uratować żonę i uniknąć losu tysięcy ziomków, mam to do zawdzięczenia hartowi i sile zdobytym w ŻKS „Kadimah”.

Żydowski klub sportowy „Kadimah” — oto kolejne, i jak się okazało, ostateczne wcielenie tego klubu, który rozpoczął karierę jako Studencki Klub Sportowy „Świt”.

Zarząd TKS „Hakoach” nie szczędził wysiłków i działań sprawnie, wytyczając sobie cel organizowania sekcji wielu dyscyplin sportowych i troski o ich ciągły rozwój. Zarząd tworzyli (w porządku alfabetycznym): Elio Bander, Kuba Bauer, Moszko Burg, Szymek Burg, Blum Eisenstein, Hebik Heimberg, Hertz Schaller, Mańek Schaller, Hertz Schmer, Adolf Wegner, Kuba Weitz. Różnice wieku między poszczególnymi członkami zarządu nie stanowiły przeszkody w pracy. Najstarszym, pracującym już na poważnym stanowisku, był Mańek Schaller, większość zaś pozostałych uczęszczała jeszcze do gimnazjum lub innych szkół. Np. Kuba Weitz był wówczas uczniem szóstej klasy gimnazjalnej.

W drużynie piłki nożnej znany był jako świetny środkowy napastnik. Wśród kolegów szkolnych i klubowych cieszył się dużą sympatią. Wzrostem przewyższał rówieśników.

Oto pewnego razu, a było to kilka tygodni przed końcem roku szkolnego, został wywołany przez nauczyciela matematyki, Michała Gładysza, do odpowiedzi. Stoi przed tablicą i czarną jej taflę zapełnia cyframi i innymi znakami matematycznymi, rozwiązując równanie drugiego stopnia. W pewnym momencie zatrzymuje się, aby zastanowić się nad dalszym ciągiem. Nauczyciel wstaje z krzesła i podchodzi bliżej do Kuby. Uśmiech wykrzywia jego usta, co nadaje jego ospowatej twarzy wyraz złośliwej ironii.

— Nu, to nie boisko futbolowe, ha?

Po chwili dodaje: — Gdzie twoja jidysze kepele?

Rumieniec oblał twarz Kuby. Walka wewnętrzna trwała ułamek sekundy. Nerve nie wytrzymały. Rzucił kredę na podłogę i mocno uderzył w twarz nie lubianego przez młodzież profesora.

Kuba został po pewnym czasie posiadaczem tzw. wileczego biletu, co oznaczało, że żadna szkoła w Polsce nie przyjmie go jako ucznia. „Kadimah” straciła jednego z najlepszych graczy, który po dalszą naukę wyjechał za granicę. Z klubem pozostał w kontakcie, choć tylko listowym. Będąc już inżynierem, napisał w jednym z listów, że owe młodzieńcze lata spędzone na stadionie „Kadimy”, należą do jego najpiękniejszych wspomnień o mieście rodzinnym.

Po nieodżałowanej i przedwczesnej śmierci Manka Schallera, opiekę nad klubem objął nowy zarząd z prezesem doktorem Michałem Meiselsem, prokurentem naftowej firmy „Petrolea” na czele. W skład zarządu weszli działacze, którzy od powstania klubu wykonywali różne prace społeczne, zależnie od zainteresowania taką czy inną dziedziną sportu. Byli to: Samek Backenroth, Elio Bloch, Szymek Burg, Dunio Gertler (wieczny skarbnik), Józek Oberlander, Izio Wegner (poza innymi funkcjami — był doradcą w wielu dyscyplinach sportowych), Wendlinger (prokurent firmy „Premier”), Turnschein. Zarząd poświęcał wiele czasu i troski poszczególnym sekcjom i graczom. Potrafił ocenić wysiłek pojedynczych zawodników i harmonijnie zgrać zespół. Panował wówczas zwyczaj, że po zwycięskim meczu piłki nożnej, zarząd fundował graczom sutą kolację. Nie daj, Boże, mecz przegrać. Dunio Gertler szalał i niemal z pianą na ustach wołał: — Gówno wam dam, a nie kolację!

Dzięki doktorowi Meiselowi, całemu zarządowi i wiernym, oddanym kibicom klubu, jakim było wielu wśród poważnych obywateli miasta, przystąpiono do rozbudowy ośrodka sportowego i wkrótce nastąpiło na błoniach Lindenbaumów otwarcie stadionu. Nie lada wydarzenie dla Borysławia, a zwłaszcza dla żydowskiej społeczności. Pierwszy stadion sportowy w mieście, należący do Żydowskiego Klubu Sportowego „Kadimah”. Prawda, niebyleżby okazały, niebyleżby doskonałe, ale... pierwszy w naftowym grodzie.

Pewne względy nakazują wspomnieć o człowieku, nie będącym członkiem klubu i nie będącym Żydem, a z klubem mocno związanym. Mowa o Stefku Górniaku. Jemu powierzono opiekę nad stadionem, konserwację i troskę o to, aby w jakąś jesienią, a tym bardziej zimową noc, ubodzy sąsiedni mieszkańcy nie rozegrali na opał drewnianego płotu. Stefko wykonywał polecane zadania z

niezwykłą troskliwością. Dzięki jego zabiegom nie można było stadionowi niczego zarzucić. Byłoby niewybaczalnym przeoczeniem pominąć milczeniem bohaterskiego zachowania się tego cygańskiego syna podczas okupacji hitlerowskiej. Związany uczuciowo z „Kadimą”, w pełni świadom niebezpieczeństwa i śmiertelnego ryzyka, uratował życie kilkunastu członkom klubu wraz z rodzinami. Wśród uratowanych był również Szymek Rand.

Stadion rozbudowywał się coraz bardziej w miarę jak powstawały nowe sekcje: gimnastyczna, lekkoatletyczna, narciarska, koszykówki, siatkówki, tenisa i ping-ponga. Trzonem klubu pozostała sekcja piłki nożnej, do której garnęło się coraz więcej młodzieży. Stadion „Kadimy” stał się centralnym ośrodkiem, do którego śpieszyła żydowska młodzież Borysławia.

W tym okresie klub przystąpił do Polskiego Związku Piłki Nożnej. Rozpoczęły się z powodzeniem rozgrywki o mistrzostwo, kolejno w klasie C i B. Do klasy A drużyna dotarła z następującymi graczami (łącznie z rezerwowymi): Berger, Duwko Gartenhaus, Ciullo i Motł Ginsbergowie, Grabow, Broniek Jaeger, Maks Kreisberg, Maks Krochmal, Szamo Okerman, Izio Parnes, Manes Pfeferbaum, Szymek Rand, Szlomo Wagnan, Hesio Wechselberg, Izio Wegner.

Spółród zawodników, którzy — między innymi — przeszli wszystkie etapy rozwojowe drużyny w zwycięskich bojach od klasy C (rozgrywki o wejście do ligi okręgowej przerwał wybuch II wojny światowej), zasługują na szczególne wyróżnienie Szamo Okerman i Hesio Wechselberg. Swoją techniką i ogólnym poziomem gry dorównywali zawodnikom ligi państwowej. Zapisali się oni złotymi zgłoskami w historii sekcji piłki nożnej ŻKS „Kadimah”.

Wielu z wymienionych nie ograniczyło się u tylko do piłki nożnej, uprawiając również inne dyscypliny sportowe. Szymek Rand, jak już wspominałem, był instruktorem sekcji lekkoatletycznej. Sekcja narciarska miała swego instruktora w osobie Izia Wegnera. Sekcją gimnastyczną kierowali dwaj instruktorzy: Heblk Heimberg i Izio Wegner. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych narciarstwo należało, przynajmniej w Borysławiu, do sportów elitarnych (dość kosztowne ze względu na sprzęt i odzież). Niemniej jednak Izio Wegner zorganizował sekcję narciarską, której był dyplomowanym

instruktorem. W sekcji tej wyróżniali się Gecek Friedland, Herbert Lanter, Zenek Sobel i Mordechaj Weiss (znany był jako Marek Eidman). Należeli też oni do sekcji gimnastycznej.

Szczególnie zapalonym sportowcem był Gecek Friedland. Był chłopcem niezwyklej urody i siły woli, co tylko rzadko cechuje ludzi w tym wieku. W czasie okupacji hitlerowskiej był jednym z nielicznych, którzy marzyli o broni, aby móc zrobić z niej użytek, gdy zajdzie potrzeba walki z Niemcami. Nabycie broni kosztowało go wiele wyrzeczeń i trudu. Z beczenną zdobyczą wracał do swej kryjówki w lesie. Ogarnęło go takie zmęczenie, że postanowił nieco odpocząć na miękkim mchu, zanim wejdzie do schowka i... zasnął. Obudziło go wściekłe ujadanie psów. Nie starczyło czasu na skorzystanie z broni. I tak dał się Gecek zaskoczyć Niemcom.

Wróćmy do „Kadimy”.

W sekcji ping-pongowej zbierał laury Chaskiel Gitter, równocześnie jeden z lepszych futbolistów. Trzeba podkreślić, że kierownictwo klubu propagowało wszechstronny rozwój kultury fizycznej członków. Oto, co sprawiło, że gimnastycy grali w piłkę, że piłkarze uprawiali lekką atletykę, że narciarze zajmowali się innymi dyscyplinami sportu. W takiej sytuacji było możliwe, że po wyjeździe bramkarza Ciula Ginsberga do Palestyny, jego miejsce zajęli kolejno Józek Ullenberg, a potem Gecek Friedland.

W porze zimowej ćwiczenia gimnastyczne odbywały się w Domu Żydowskim przy ulicy Standa. Pod kierownictwem instruktorów Wegnera i Heimberga powstało w 1932 roku kilka ćwiczebnych grup: piłkarzy — dla zaprawy zimowej, gimnastyki dla kobiet, dla młodzieży męskiej oraz dla młodocianych chłopców.

Wśród członków ŻKS „Kadimah” było wielu uczniów gimnazjalnych, mimo że przepisy szkolne zabraniały im należenia do jakiegokolwiek organizacji pozaszkolnej, nawet sportowej. Ta okoliczność przysparzała wiele kłopotów zarówno klubowi jak i gimnazjalistom, rozmiłowanym w kopaniu piłki i uprawianiu innych dyscyplin sportowych.

Oto drużyna piłki nożnej przygotowuje się do meczu z miejscowym „Strzelcem”. Taki mecz mobilizuje kibiców obu drużyn, zarówno Żydów, jak i Polaków. Wśród publiczności zjawia się profesor Jan

Chociej, polonista, sympatyk drużyny „Strzelec”, a nie darzący sympatią Żydów. Na domiar złego nadchodzi też dyrektor gimnazjum Tadeusz Remer. Nic więc dziwnego, że Izio Wegner w strachu boi się wyjść na boisko, gdzie niektórzy gracze „Kadimy” już trenują. Izio zdaje sobie sprawę, że egzamin dojrzałości na karku, a więc... Do szatni wchodzi śpiesznym krokiem przez klubów doktor Meisels. Uda mu się uspokoić Izia ważnym argumentem, że w drużynie przeciwnika znajdują się dwaj uczniowie gimnazjum, z których jeden spowinowacony jest z Chociejem. Strach przeszedł, choć prawdę powiedział — nie całkiem. Izio Wegner gra w obronie. Mecz zakończył się zwycięstwem „Kadimy” 1:0.

Kadimah — znaczy naprzód! Słowo to okazało się nie tylko nazwą, ale i hasłem, i psychologicznym bodźcem do działania członków klubu w walce o sukcesy. Bywało, że dla dobrego imienia klubu, gracze nieraz narażali swoje zdrowie, ba, nawet życie.

Oto dwa przykłady poświęcenia i dramatycznych walk w zawodach piłkarskich o mistrzostwo w klasie A.

Do Strýia odległego od Borysławia o około 40 kilometrów, piłkarze jechali autobusem. Z daleka majaczyły już co wyższe zabudowania miasta: pozostało jeszcze wszystkie pięć kilometrów, gdy pojazd zatrzymał się nieoczekiwanie.

— Och, motor nawalił — postawił diagnozę szofer. Chwila konsternacji. Twarze kadimowców wyrażają zakłopotanie. Decyzja: na mecz trzeba zdążyć za wszelką cenę! Inaczej, zgodnie z przepisami PZPN, spóźniająca się drużyna przegrywa tak zwanym walkowerem 0:3. A więc błyskawiczna zmiana cywilnych ubrań na sportowe i... biegiem na boisko. Kilku dziesięciu młodych kibiców nie pozwalała się zdystansować i bieganie za piłkarzami. Trzeba przecież dopingować swoich chłopców! Zadyszani, zzieleni przybiegli gracze na boisko przed upływem przepisowego czasu. Prośby skierowane do kierownictwa przeciwnika, którym był ŻKS „Dror”, o zgodę na przesunięcie początku meczu o kilka minut, spotkały się z odmową.

Pierwsze chwile spotkania były bardzo trudne. „Dror” wykorzystywał zmęczenie kadimowców i pierwszą połowę meczu wygrał stosunkiem 3:1. Kilku minutowa przerwa pozwoliła borysławianom przewziąć zmęczenie, przynajmniej częściowo. Mecz zakończył się

zwycięstwem borysławskiej drużyny ZKS „Kadimah” nad stryjskim ZKS „Droń” w stosunku 5:3. Znaczy to, że w drugiej połowie meczu gospodarzom nie udało się strzelić ani jednej bramki. Rewanżowe spotkanie tych drużyn odbyło się w Borysławiu. ZKS „Kadimah” rozgromiła ZKS „Droń” stosunkiem 11:1.

Drugi przykład ma zupełnie inną wymowę:

Zawody z lwowskim „Białym Orłem” przebiegały w wyjątkowo burzliwej atmosferze. Zamarszynowska publiczność przyjęła kadimowców wrogimi, antysemickimi okrzykami, co oczywiście pomogło deprymującemu gości. Lwowianie grali brutalnie, ale mimo to gra była wyrównana (jeśli wziąć pod uwagę ilość strzelonych bramek) przy stroniczych — zawsze na korzyść gospodarzy — orzecheniach sędziego. Dopiero po tragicznym incydencie w którym Ciulo Ginsberg, bramkarz, po ofiarnej obronie kopnięty w głowę przez białoorłowca, doznał wstrząsu mózgu, sytuacja uległa zmianie. Ciula odwieziono do szpitala, a miejsce w bramce zajął (pierwszy raz w swej piłkarskiej karierze) Maks Kreisberg.

Przewidując następstwa ewentualnej wygranej, drużyna „Kadimy” zwołała tempo i mecz przegrała stosunkiem bramek 2:3. Zamarszynowscy „bohaterzy” nie zadowolili się „zwycięstwem” swojej drużyny. Wyjeżdżających borysławian zegnali gradem kamieni rzucających na autobus. Na szczęście skończyło się „tylko” na rozbiściu wszystkich szyb. W ten sposób wyraża się „sportowe” zachowanie, gdy skrajny nacjonalizm dochodzi do głosu. Protesty „Kadimy” skierowanie do Polskiego Związku Piłki Nożnej nie odniosły skutku.

Dowody poświęcenia członków Kadimy dla swego klubu można mnożyć.

Niezależnie od rozgrywek o mistrzostwo i o wejście do ligi okręgowej, piłkarze ZKS „Kadimah” stawiali dzielnie opór nawet drużynom ligi państwowej (oczywiście w zawodach towarzyskich). Sportowymi widowiskami na dobrym poziomie były spotkania z lwowskimi ligowcami jak „Pogoń”, „Czarni”, „Lechia” i „Hasmonea”. Ku radości swoich kibiców, mierzyła się „Kadimah” ambitnie i z honorem z takimi klubami jak wiedeńska „Hakoach” (dwukrotnie), praska „DFC” i węgierska „Booskaj”, które wówczas

zaliczali się do piłkarskich potęg Europy. W roku 1933 „Kadimah” gościła tel-awiwską drużynę „Hapoel”.

Miał ZKS „Kadimah” swoich niezawodnych, wiernych kibiców wśród rówieśników, ale i w starszym pokoleniu. Nie było chyba w Borysławiu Żyda, który nie emocjonowałby się rozgrywkami swego klubu. Kibice wybierali się razem z drużyną i na mecze wyjazdowe. Przykład: mecz ZKS „Droń” w Stryju. Jeśli zabrakło miejsca w autobusie, nie żalowali pieniędzy i jechali takśówkami. Jak dalece „Kadimah” cieszyła się popularnością nawet u starszego pokolenia, świadczy atak serca Motla Frischa, jakiego doznał ten poważny człowiek, gdy na jednym meczu zapowiadała się klęska ulubionego klubu.

Typem bezgranicznie oddanego kibica był Nahum Murlakow, który uciekł z Rosji, gdy wybuchła rewolucja i zawędrował do Borysławia. Niedługo trwało, a zyskał sławę wysoko kwalifikowanego kotlarza, co w przemyśle naftowym jest specjalnością bardzo cenioną. Jego przyjemne usposobienie i niezwykle poczucie humoru przysporzyły mu wielu przyjaciół, również wśród młodzieży. I on także zapalał sympatią do „Kadimy”. Żadnego meczu tej drużyny nie opuszczał. Po jego wyglądzie odgadniano wynik zawodów. Twarz Murlakowa z wąsem podkreconym do góry wyrażała zwycięstwo; gdy zaś wasy były opuszczone ku dołowi, twarz „mówiła” z głębokim smutkiem o przegranej „Kadimy”.

Do zapalonych sympatyków, ba — entuzjastów „Kadimy” należeli poważni ludzie starszej generacji, jak Natan Koch, Josafy Fleischer, właściciel tartaku Jakub Roth i wielu innych. Na meczach rozgrywanych przez „Kadimę”, zwłaszcza gdy w grę wchodziły zawody o mistrzostwo, można było na trybunach widzieć właścicieli i dyrektorów przedsiębiorstw naftowych obok robotników i młodzieży, oklaskujących poszczególne graczy „Kadimy”.

Oprócz drużyny piłkarskiej poważne postępy robiły również inne sekcje. Sprawdzianem pomysłowego rozwoju sekcji gimnastycznej, był popis zorganizowany w zimie 1934 roku w Domu Żydowskim. Przygotowali tę imprezę instruktorzy Hebik Heimberg i Izio Wegner. Pełne poparcie i wydatną pomoc uzyskali u kierowników sekcji, Samka Backenrotha i Szymka Burga.

Po generalnej próbie odpady wszelkie obawy o ewentualne niepowodzenie. Ale... w sekcji gimnastycznej — jak zresztą i w innych — uczestniczyli uczniowie gimnazjum, co było sprzeczne — jak wiadomo, z kodeksem szkolnym. Ta okoliczność miała teraz „zagrać”.

Afiszę rozlepione w mieście zawiadamiały gdzie i kiedy odbędzie się popis. Nic więc dziwnego, że o imprezie kadimowskiej dowiedział się nauczyciel gimnastyki Weinert. Zjawił się na sali na chwilę przed rozpoczęciem popisu. Co prawda odpowiadał uprzejmie, z usmięchem na ukiłony swych uczniów, ale wśród tych, którzy mieli wystąpić zapanował niepokój. Po pewnych wahaniach kierownictwo klubu podjęło decyzję: nie wolno narażać młodocianych gimnastyków, Herberta Lantera i Zenka Sobla, na przykrości, a kto wie — może nawet na usunięcie z gimnazjum. Na szczęście nie było na sali nauczycieli z drohobyckiego gimnazjum, do którego uczęszczała część młodzieży borysławskiej, jak na przykład Mordechaj Weiss (Eidman) i Fryc Kudisch. Niski wzrost Fryca nie przeszkadzał mu w dokonywaniu cudów w skokach przez konia, czym wywołał burzę oklasków. Zachwył licznie zgromadzonej publiczności budził najmłodszy gimnastyk, członkowie organizacji „Haszomer Hacair”:

Milek Bloch (Wegner) i Mundzio Resplet jako wykonawcy salt.

Wśród młodzieży panował duch szlachetnej walki. Bodźcem była ambicja, aby dać z siebie maksimum wysiłku i możliwie najbardziej zbliżyć się do poziomu kolegów, którym została odebrana możliwość popisania się. Zastużony aplauz otrzymali Mordechaj Weiss, Wolk Oher, Maks Kleinman, zaś z grupy dziecięcej — Mendzio Doerfler i Henek Wegner.

Chlubą gimnastycznej sekcji dziewcząt były: Chewka Eidman, Sunia Kleiner, Rutka Feldinger, siostry Ruchka i Fanka Fichman, Hela Wagnan, Alka Henefeld, Cesia Backenroth.

Popis gimnastyczny wywołał kolosalny wzrost sympatii borysławskiego społeczeństwa dla ZKS „Kadimah”. Klub zyskał opinię nie tylko — jak dotychczas — ośrodka, w którym młodzież mogła się wyszumić, ale teraz widziano w nim bardzo ważny czynnik wychowawczy, działający poza domem i poza szkołą.

W lecie tego samego — 1934 — roku na murach domów, na płotach, w witrzynach sklepowych pojawiły się duże afisze, powiadające wielkimi literami o nowej imprezie: DNIU ŻYDOWSKIEGO SPORTU.

Impreza ta, organizowana w Borysławiu po raz pierwszy, przebiegała w uroczystej atmosferze. Dostarczyła ona wiele emocji publiczności, która zajęła wszystkie miejsca na trybunach. Sprawna organizacja i świetne przygotowanie uczestników zmusiły publiczność do ciągłego oklaskiwania występujących: Szymka Randa — w skoku wzwyż, w biegu na 120 metrów i w rzucie oszczepem; Izia Wegnera — w skoku wzwyż, w rzucie dyskiem i w pchnięciu kulą. Dziełnie starał się współzawodniczyć z nimi pracownik przemysłu naftowego z sąsiadującej z Borysławiem Schodnicy — Weiser.

Z dziewcząt wyróżniły się: Chewka Eidman — w biegu na 60 metrów, Wiktoria Astman — w skokach, Rutka Feldinger — w skokach, Ruchka Fichman — w rzucie dyskiem. W siatkówce popisały się brawurowo Milka Engelberg i siostry Fink, Wiśka i Różka.

Do sukcesu tego wielkiego święta ZKS „Kadimah” przyczynili się wielo Samek Backenroth, Szymek Burg i Mordechaj Weiss, którzy okazali skuteczną pomoc w przygotowaniach wszystkich koniecznych urządzeń, jak bieżnia, sektory do skoków i rzutów, boiska siatkówki i koszykówki oraz kortu tenisowego. Na karcie królował jako instruktor Janek Begleiter, pamiętny trener piłkarzy i gimnastyków w latach 1931 i 1932.

Sprawdziła się jeszcze raz opinia o fanatycznej wprost sympatii społeczeństwa dla „Kadimy” — w całości, w całej działalności klubu, a nie tylko dla drużyny piłki nożnej.

O siostrach Fink wspomina ich koleżanka:

„Było ich trzy, wszystkie na swój sposób urocze. Stella miała buzię lalki. Nie mogłam się naciwić, że chłopcy jej nie zauważają. Nie mogłam się naciwić, że można tak znakomicie, tak bełkocząc odpowiadać na każde pytanie nauczycieli gimnazjalnych, jak ona to robiła. Była spokojna, dobrze ułożona. Pod względem temperamentu, była przeciwieństwem obu młodszych sióstr. Wiśka była szatanem, gejerem. Potrafiła łączyć radość życia i zamyślenia sportowe z wykonywaniem wszystkich obowiązków uczniowskich. Najmłod-

szą, Róża, czarująca dziewczyna, pod względem usposobienia
podobna do Wiśki i jak ona — aktywna sportsmenka”.

Tyle wspomnienia.

Polski poeta Marian Jachimowicz — wzniosł siostrą Fink oraz
ich ojcu taki oto pomnik:

Lecą
Listy bez słów
Mówią samą barwą

Słońcem
Cieniem

I ona
Ta dziewczyna z Niemiec
którą okupacja dogoniła w Polsce
też pisała listy

Wiersze
do nikąd

A Fink prosił mnie
abym kiedyś złożył wiązaną kwiatów
na kretowiskach poza rzeźnią

Gdzie
wśród ośmiuset
zasypiano w dole i jego już ostatnią
córkę

Myslał
że i on kiedyś zostanie wśród kretowisk

Ale zabrano go spośród nas
...„Artycyków”
wraz z resztą obozu po gecie

I
pod oknami biura
odbyła się ostatnia deflada

u śmiech nietych
do nas
w oknie

Parada
eskorowanych przez ludzi w hełmach
i samochody z wycelowanymi lufami
przeciw ucieczce

Deflada do Oświęcimia
zakończona
dymem z komina

Więc
gdzież mam złożyć kwiaty
kiedy ugora za rzeźnią zostały oddzielone
granicą

a dym z Oświęcimia

wiatr włoży
po niebie ziemi i historii?
(*Prosiłeś o kwiaty*, „Żelazne studnie”, Wydawnictwo Literackie,
Kraków, 1972)

W okresie zimowym, oprócz zajęć zajęć w Domu Żydowskim i w
lokalach klubowych działała sekcja narciarska. Powstała ona, gdy w
1933 roku Izio Wegner wrócił z Sianek, gdzie uczestniczył w
szkoleniowym obozie dla instruktorów narciarskich, zorganizowa-
nym przez Sportowe Zrzeszenie „Makkabi” — w ramach Polskiego
Związku Narciarskiego. W zimowe niedziele i inne świąteczne dni,

sekcja narciarska „Kadimy” urządziła wypad turystyczny na piękne, zalesione tereny narciarskie: Schodnicki Dział, Ciuchowy Dział, Orów i inne. Na tych wycieczkach mogli się wyżyć zarówno początkujący miłośnicy sportu „na deskach”, jak i wytrawni narciarze. Przyłączali się do tych eskapad narciarze nie zrzeszeni w „Kadimie”.

Podczas otwarcia zbudowanego na Dziale Schodnickim schroniska „Kadimah”, z udziałem żydowskiej społeczności Borysławia i Schodnicy, co samo przez się było uroczystą imprezą, zorganizowano interesującą grę tak zwaną pogoń za lisem. Wzięli w niej udział: Mordechaj Weiss, Zenek Sobel, Gecek Friedland, Herbert Lantner oraz Izio Wegner.

Zupełnie zrozumiałe, że najbardziej aktywną sekcją „Kadimy” w okresie zimy była właśnie narciarska.

O tej porze roku odżywały w pełni właśnie lokale klubowe. Siedziła pierwszego z nich mieściła się obok tak zwanej rogatki. Oddal ją do dyspozycji „Kadimy” handlarz starego żelazniwa czyli szmelcu, w którym nierzadko znajdowały się i pełnowartościowe rury, żerdzie, a nawet bardzo skomplikowane narzędzia dla przemysłu naftowego. Handlarz ten znany był pod przezwiskiem Ajzyk Małach. Będąc zapalonym kibicem „Kadimy”, wybuchał swojemu synowi Mechałe częste wybryki i niechęć do nauki, tylko dlatego, że był aktywnym członkiem „Kadimy”.

W tym lokalu właśnie oprócz zajęć o charakterze sportowym, odbywały się odczyty, referaty i dyskusje na tematy kulturalne, sportowe, a również i polityczne, organizowane przez sekcję studentów. Tu ścierały się poglądy nurtów lewicowego i prawicowego. W dyskusjach brali udział późniejsi lekarze: Poldek Wuerzbarg, Hertz Schaller i wówczas jeszcze studenci — Rubin Feryszka, Kulo Meisels oraz inni.

Działalność „lokalowa” przeniosła się z biegiem czasu na główną ulicę miasta, zwaną wówczas Pańską (później — Kościuski) do pomieszczeń oddanych do dyspozycji klubu przez Ieka Blocha, którego dzieci Millek i Donia byli członkami „Kadimy”.

Poza wymienionymi lokalami, „Kadimah” korzystała bardzo często z sali Domu Żydowskiego, w których odbywały się zajęcia i w

których organizowano wiele imprez. Tam odbywały się wieczory taneczne, ba — nawet bale i rauty w okresie karnawału. Duża sala była na tych imprezach z reguły pełna. Przy dźwiękach studenckiej orkiestry, pod auspicjami wodzireja, nieocenionego Samka Backenrotha, zabawy nie kończyły się nigdy przed świtem. Towarzystwo na tych zabawach było bardzo zróżnicowane pod względem pozycji społecznej, od robotników do studentów i dyrektorów kopalń i kupców. Ta różnorodność gości nie przeszkadzała znakomitemu nastrojowi, jaki zawsze panował na sali. Oczywiście, na każdej zabawie obecny był prezes klubu dr Michał Meisels. Będąc dobrze sytuowanym, nie żałował poważnych sum na cele społeczne i w dużej mierze wspierał finansowo swoją „Kadimę”.

Innym przejawem kulturalnego życia ŻKS „Kadimah” były koncerty sekcji studenckiej, która z powodzeniem — nawet poza Borysławiem — występowała z poważnym programem, wykonując utwory Chopina, Griega, Brahmsa, Haendla. W zespole muzycznym brali udział: skrzypce — Józek Malz, Awrumko Seifert, Dolek Lichtgarn, Adolf Wegner, Hebik Heimberg, flet — Józek Luks, fortepian — Lonek Hauser. W razie potrzeby orkiestrę zasilił zawodowcy: trębacz z firmy „Silva Plana”, drohobycki wiolonczelista Hartenberg oraz kontrabasista z orkiestry Kloisa.

★

Rósł Żydowski Klub Sportowy „Kadimah”, wchłaniając co roku młody narybek ze wspomnianych przedszkoli sportowych. I tak było do wybuchu II wojny światowej. Jeszcze kilka dni przed ową pierwszą wrześniową niedzielą, w której „Kadimah” miała rozegrać jakiś ważny mecz — na „gieldzie sportowej” toczyły się rozmowy na temat tego spotkania.

Gielda sportowa? Cóż to takiego?

Powstała w samym centrum Borysławia. Siedziłą jej były schody. Pięć stopni tych schodów ciągnęło się na całą szerokość cukierni o pretensjonalnej nazwie „Corso”. Na tych schodach odbywały się gwarne, na całą ulicę, rozmowy i spory... kto kogo? W dni deszczowe i w porze zimowej, gielda przenosiła się do wnętrza cukierni, gdzie do dyskusji włączył się jej właściciel Józek Oberlander (dla swego niskiego wzrostu zwany Kukumuc), gorący zwolennik „Kadimy”.

Tu więc śpieszyli kibice, aby omawiać najbliższe spotkanie sportowe. Nie odeszło się bez hazardu. Jeśli giełda... to i zakłady, zazwyczaj o czekoladę „Danusia”, lub o lody tutti frutti, oczywiście kupowane w cukierni „Corso”. Rej wodził fryzjer Koch, ze względu na kolor włosów Rudkiem zwany. Ostatnie słowo należało też z reguły do niego. On też zamykał dyskusję: „Kadimah” musi wygrać!

Obok wielu nazwisk żydowskich sportowców Borysława, ich kibiców, tych, co zginęli w epoce pieców krematoryjnych i komór gazowych, co przepadli na frontach drugiej wojny światowej i tych, co odeszli porwani przez przemijający czas, należałoby umieścić sakramentalne bhp.

- 1 Czajchy — dziecięca gra zręcznościowa polegająca na podrzucaniu i łapaniu małych kamyczków
- 2 Chadaszot — wiadomości
- 3 Jidyse kepele — żydowska głowa
- 4 Zamartynów — dzielnica Lwowa

III. MY ŻYDZI BORYSŁAWSKY

Debra, Łoziny, Nowy Świat, Moczary — synonimy biedoty, nędzy, zacołania i przesądów. Przejawy postępu młodego pokolenia, choćby najbardziej nikłe, spotykały się w tych dzielnicach Borysławia często z oburzeniem, graniczącym niemal z wykłęciem.

Po obu stronach rzeki Tysmienicy rozłożyły się pod Debrą chałupki przez bezlitosny czas garbione. Łatwo do nich wejść przez okna, kilka centymetrów nad ziemią, ale na parapetach okien nie ma mezuzy... więc wtedy nie wolno... Dachy tych chałupek pokrywały płyty starej papy, deszczulki, arkusze blachy, co nie przeszkadzało deszczom wlewać się do wnętrza i zapełniać wodą miska, garnków, wiader i wszelkich innych urządzeń.

Pod Debrą znajdowała się łaźnia miejska oraz mykwa (łaźnia rytualna). Zajmowała ona najbardziej okazały budynek, na którego piętrze urzędował kahał, czyli zarząd żydowskiej gminy wyznaniowej z jedynym w dzielnicy telefonem. Numer 1672 starali się Żydzi zapamiętać, a nuż trzeba będzie... nigdy nie wiadomo.

Mieszkali pod Debrą wyrobnicy, z których przeważną część stanowili „phuczarze”, trudniący się przemysłem wosku, wydobywanego w sąsiedniej kopalni. Mieli oni nawet własną bożnicę („Chewra Wszers”).

Nie zawsze było w domu dość jedła, ale każdy posiadał „księgozbiór”. Na codzień — sidur i chumasz, na święta — machzor, na pesach — hagada, no i książeczka psalmów — thilim. Modlitewniki te służyły równocześnie jako podręczniki dla dzieci uczęszczających do chederu.

W takiej atmosferze urodził się i dorastał Mordechaj Langerman. Od trzeciego roku życia uczył się w chederze. Gdy skończył sześć lat, ojciec zapisał go do szkoły ludowej przy ulicy Pańskiej, niedaleko domu. Ojciec pracował jako stróż nocny na kopalni nafty i w rozmowach z towarzyszami pracy, takimi biedakami jak on, doszedł do wniosku, że idą inne czasy, kiedy trzeba synowi inną przyszłość gotować, a nie tę spod Deby. Protesty matki, którą w okolicy nazywano Chaję rebeycn — nie pomogły. Bardziej niż inne kobiety przestrzegała nakazów i zakazów Pisma Świętego, stąd przydomek. Motaty przynosił do domu podręczniki i książki, które w matce budziły strach przed jeszcze większą biedą.

— Przecież te litery nie są w ogóle podobne do alef-bejs...

Jako student wracał Mordechaj na wakacje do domu i zaoszczędzonymi pieniędzmi, zarobionymi korepetycjami, starał się uzyć nieco do rodziców. Spłacał długie zaciągające w kramiku Heni Malky, która prowadziła „handel towarów mieszanych” — pozał się Boże co to był za handel... beczulka kiszonej kapusty; kilka paczek cykorii, pół worka maki, trochę drożdży, cukierków — cały kram.

Ubolewał Markus Langerman, ów — ongiś mały Motaty — nad smutną atmosferą rodzinnego otoczenia, gdzie mieszkańcy w swej większości byli analfabetami, gdzie panowały przesady i zabobony, gdzie lekarzem był fizyjer Pynie Rojfe. Stawał on bańki, przykładał pi Jawki, babkowymi liśćmi leczył opuchliny i skaleczenia.

Markus Langerman ukochał pomyślnie studia o własnych siłach i w rodzinnym Borysławiu otrzymał posadę profesora w polskim gimnazjum prywatnym. Uczył młodzież żydowską religii. Często na przerwach można go było spotkać przechadzającego się z księdzem katechetą, Adamem Chlebińskim, który uczył religii rzymsko-katolickiej. Ksiądz Chlebiński był człowiekiem wielkiego serca, przyjacielem i obrońcą młodzieży (gdą zaszła konieczność) bez względu na wyznanie. Chyba i dymy, jakie uniosły się po spalaniu obu gimnazjalnych duszpasterzy w hitlerowskim krematorium, gdzieś się w stworach połączyły.

★

U piekarni K. urza odnawia mieszkanie malarz pokojowy Strauss z synem Bumkiem. Wiosenny przedpesachowy dzień. Przez otwarte

okna wdzierają się tony fortepianu. Bumek zwalnia tempo pracy i słucha muzyki. Upomnienie ojca wyrzywa go jakby ze snu, szpachla wypada mu z ręki.

Po nocy, w czasie której nie odstępowały go fortepianowe dźwięki, wrócił z ojcem do przerwanej wieczorem pracy. Bumek szpachluje i gwizdże usłyszany wczoraj motyw utworu. Pracuje myśląc o tym, aby powtórzyła się wczorajsza muzyczna przygoda.

Niespodziewanie otwierają się drzwi, ukazuje się w nich kobieta; zwraca się do Bumka:

— Skąd pan zna ten utwór, który pan gwizdże?

— Wczoraj usłyszałem go, ktoś grał na fortepianie.

— Wcześniej pan nie znał tego utworu? To koncert fortepianowy g-moll Feliksa Mendelssohna.

— Nie, nie znałem. Albo co?

— Ten chłopak ma absolutny słuch” — pomyślała pianistka.

— Proszę dziś wieczorem o 8 do mnie przyjść. Nazywam się Themanówna i mieszkam tuż za ścianą w tym domu.

Bumek skorzystał z zaproszenia, pewien, że otrzyma zamówienie na malowanie mieszkania. Zastał tam znanego w mieście skrzypka. Józefa Malza. Gdy wracał do siebie po rozmowie z obojgiem i wysłuchaniu ich duetu, wydawało mu się, że unoszą go skrzydła.

Nigdy dotąd nie wpadł w tak gwałtowny sposób do domu, co rodziców zdziwiło.

— Tata! Mama! Będę się uczył grać na skrzypcach — mówił zdyszany — u Malza, bezpłacie!

Na wypożyczonym instrumencie ćwiczył codziennie wiele godzin. Coraz bliższe stawały mu się gamy, pasáže, etudy. Zadziwiające postępy ucznia kwiłował Malz żartobliwie:

— Cóż dziwnego? Przecież Strauss!

Dzisiaj trudno ustalić, ile czasu upłynęło od owego euforycznego uniesienia Bumka. Oto siedzi przy naładowanej lampie i zapędnia arkusz pięciolini znakami nutowymi, wydając ręką takt. A słowa... słowa tłoczą się same i Bumek pisze tęskne, liryczne tango.

W pewien piątkowy wieczór Bumek wraca do domu nie w humorze. Zawiodła go dziewczyna. Śniada i pisze, nuty i słowa.

„U wszystkich sąsiadów już szabas, ja nie zapalę świec w tę noc tak złą...”*

Piosenka stała się w mieście przebojem. W inny piątkowy wieczór Bumek wyszedł ze skrzypcami z domu i... już nie wrócił. Był rok 1942.

★

Moczary... sam dźwięk budzi zgrozę, wywołując w pamięci baśnie i ballady o grzęzawiskach, do których topielce wciągają przypadkowych przechodniów, jakby mszcząc się za swoją zawiedzioną miłość.

A jednak w okolicy Moczar mieszkało sporo ludzi. Tu rozbrzmiewały metaliczne dźwięki z kuźni, której właścicielem był Hersz Alter Doefler, zwany Alter Kowal. W sąsiedztwie miał swój warsztat szewski Maurer, znany jako Mechl Szister. Ciężko pracował na chleb dla licznej rodziny. Rzadko kiedy było tego chleba wystarczająco. A miał Maurer syna, Josia, którego mełamed w chederze chwalił, że robi postępy, że ładnie śpiewa. Na święto purimowe był Josio najbardziej pomyslowym przebierańcem.

Gdy w mieście powstał żydowski klub dramatyczny, Josio był już dorosłym chłopcem i z miejsca stał się aktywnym członkiem tego zespołu.

W połowie lat dwudziestych zawiązała do Borysławia „Wileńska Trupa”. Reżyser jej, Meisels, zaangażował Josia jako statystę. I to zadecydowało o przyszłej jego karierze: scena! Dzięki uporczywej pracy nad sobą i ambicji, zajął jedno z czołowych miejsc w klubie dramatycznym im. Anskiego. Josio stał się ulubieńcem miłośników żydowskiej sztuki scenicznej. W tym okresie porwał on borysławską publiczność tytułową rolę w sztuce Gordina *Der wylder mensz*. Piosenka, którą śpiewał, rozbrzmiewała w każdym żydowskim domu:

Czyż jestem z kamienia zrodzony?

Czy nie matka rodziła mnie?

Czy świat ten jest tylko dla mądrych stworzony...

Boże mój, zlituj się...

(Tłum. z żyd. L.H.)

Do Borysławia przyjechał wówczas były członek „Habimy”, Zygmunta Lew, który organizował we Lwowie żydowski zespół teatralny. Josio Maurer uległ namowom Lwa i wyjechał do Lwowa, skąd po kilku tygodniach wrócił do Borysławia, aby w 1927 roku wymigować do Argentyny. W Buenos Aires zrobił karierę jako wybitny artysta i działacz teatralny, piastując stanowisko sekretarza, a następnie przewodniczącego Związku Aktorów Żydowskich. Występował jako aktor w kinomatu filmach i teatrach (również nie-żydowskich).

W roku 1963 przyjechał z rodziną do Izraela, gdzie brał czynny udział w życiu teatralnym. Pięć lat później porwała go bezlitosna śmierć.

★

Dolek Seifert i jego młodszy brat Awrumko byli synami wolanieckiego fryzjera, zwanego Berl Rojfe. Wykonywał on z powodzeniem niektóre zabiegi lekarskie, łącznie z usuwaniem bolących zębów. Słynął w mieście jako najlepszy felczer. Zdolności ojca przypadły w dziedzictwie — choć w skrajnie odmiennych warunkach — synom. Sąsiedzi zazdrościli: jakie on ma szczęście!

Dolek objawił w dzieciństwie talent malarski, który w ciągu lat rozwijał. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych. Jego obrazy zdobyły ściany mieszkań dobrze sytuowanych przemysłowców i amatorów malarstwa.

Po powrocie z Zakopanego, gdzie jego obrazy odniosły sukces na wystawie, został Dolek Seifert zaproszony przez Karola Katza, współwłaściciela fabryki narzędzi wiertniczych „Nadel-Katz”, który zaproponował mu stypendium na studia w Paryżu. Czy młody artysta z prowincjonalnego miasta mógł marzyć o większym szczęściu?

Awrumko widział swoje powołanie w grze na skrzypcach. Mieszkanie rodziców było tak małe, że ćwiczyć mógł dopiero wieczorem, po zamknięciu ojcowskiego zakładu fryzjerskiego. Awrumko o korzyściach z zaproszenia zamożniejszych sąsiadów, którzy udzielali mu gościnny na kilkugodzinne nawet ćwiczenia.

I tak mijały lata, a talent muzyczny fryzjerskiego syna budził podziw profesorów krakowskiego Konserwatorium. W latach trzy-

dziestych, aż do wybuchu drugiej wojny światowej, pracował Awrumko w tej uczelni jako asystent w klasie skrzypiec.

Miasto szczytło się tymi dwoma wysoce utalentowanymi synami, którzy w epoce okrutnego ludobójstwa podzieliili los milionów współwyznawców.

★

Dyplom magistra filologii klasycznej zdobył Izak Sternbach na Uniwersytecie Jagiellońskim. Utrzymywała go na studiach matka ze swych mniej niż skromnych zasobów. Po powrocie do Borysławia stał się w krótkim czasie znanym dziwakiem, z powodu czego nie mógł otrzymać posady. Chodząc po ulicach mówił do siebie, często po łacinie lub grecku. Uliczne łobuzy pastwiły się nad nim, on zaś reagował wołaniem: „hodie mihi, cras tibi”, dziś mnie jutro tobie, co wywoływało wybuchy śmiechu.

Dziełem życia Izaka Sternbacha było przetłumaczenie mickiewiczańskiej epopei *Pan Tadeusz* na język łaciński. Wydawcy niestety nie znalazł. Nie przepisał też rękopisu, lecz posłał go do Warykanu, do papieża Piusa XI, który w latach 1918-1921 piastował godność nuncjusza apostolskiego w Polsce. Podobno Izak otrzymał list z podziękowaniem i medal.

Tłumacz zginął w jednej z pierwszych akcji w czasie okupacji hitlerowskiej. Możliwe, że rękopis Sternbacha znajduje się do dnia dzisiejszego w bibliotece watykańskiej.

IN AETERNAM MEMORIAM!

Bunnek Strauss

TANGO SZABAS

Choć u wszystkich sąsiadów już Szabas
I wszystkie okna migocą i lśnią,
Choć dawno zmrok szary już zapadł,
Ja nie zapalę świec w tę noc tak złą.

Nie obejmę płomienia rękami,
Błogosławić nie będę tych świc,
Bo opuszczona i zdradzona
Cóż mam rzec?

REFREN

Ciebie tylko kocham, ciebie tylko pragnę
Choć zrozumieć wcale nie chcesz mnie,
Za twój uśmiech miły
Wszystkie złota brzyły
Oddam, bo nad życie kocham cię.

Na wspomnienie szczęścia serce płacze,
Dawniej przecież było tak inaczej.
Ciebie tylko kocham, przyjdź i patrz,
jak kocham,
Wróć mi moje szczęście, wróć...

W WIEKU PRZEDMATURALNYM — JUŻ WYNALAZCĄ

W nastroju euforii zawiadomiłem rodziców telegramem, że studia ich syna zostały uwiecznione dyplomem. Na tablicy ogłoszeń w Uczelni adresy wolnych posad. Zaczęła się wędrówka...

— A carte de travail pan posiada?

Miałem tylko carte d'étudiant.

Był rok 1932. Prezydent Francji został zamordowany przez bułgarskiego „zielonego” komunistę Gorgulofa. Skutek: zaostrenie zakazu zatrudniania obcokrajowców, nie posiadających karty pracy.

Od przedmieść miasta, gdzie zachwalałem bieliznę damską, poprzez setki schodów i mieszkań, w których reklamowałem gatunek węgla na zimę, dotarłem do jednego z paryskich kolejowych dworców towarowych, gdzie pracowałem jako „chasseur” (ładowacz) worków i skrzyń do wagonów. Wyszło jednak na jaw, że jestem nielegalnym etranżerem. Wróciłem do rodzinnego Borysławia. Z dyplomem. Zdawałem sobie sprawę, że światowy kryzys ekonomiczny dotarł i tutaj.

Trafiły się tu i ówdzie korepetycje. Starczyło na papierosy. Dowiedziałem się, że w firmie „Vacuum Oil Company” potrzebny jest inżynier chemik. Przyjął mnie główny inżynier.

— Niestety, nie dysponujemy wakatem.

— Panie inżynierze, niech to będzie stróżówka, robota z łopatą...

— Czy mógłbym patrzeć, jak mój kolega tak ciężko pracuje?

Wreszcie po dwóch latach udało się. Protekcyjnie. Na kopalni „Kellog II” zacząłem pracować jako trzeciak, to znaczy trzeci

pomocnik wiertacza. W ciągu ośmiu godzin dziennie na koronie szybu umocowywałem „sztangę”, śpiewając głośno „HEEJ, jam gotów”. Sygnał, że majster może upuścić instrument do otworu wiertniczego. I tak mniej więcej co dziesięć minut.

Pewnego dnia majster (tak nazywano wiertacza) woła:

— Te, indziner, weźcie te głowice i zaniescie do warsztatu Ringla. Ciężkie to choleńce, ale musiałem. I tak zaczęła się moja znajomość z inżynierem Maurycem Ringlerem.

Pozwoliłem sobie nakreślić ówczesną atmosferę w sytuacji, kiedy grupy młodych ludzi z dyplomami wyższych uczelni różnych fakultetów odbywały wielogodzinne spacery ulicą Pańską. Może ktoś poczęstuje papierosem... A może jakaś robota się znajdzie...

W warsztatach Ringlera wre praca. Była to jedna z niewielu placówek, w które kryzys nie uderzył. Klientami jej były wielkie firmy naftowe jak „Fanto”, „Małopolska”, „Vacuum Oil Company”, „Silva Plana”, a także mniejsze przedsiębiorstwa, które zdołały się utrzymać na powierzchni.

W mechanicznych warsztatach Ringlera dokonuje się nie tylko remontów różnych części urządzeń, ale realizuje się wciąż nowe projekty różnorodnych mechanizmów. Dominującym dźwiękiem w hali jest charakterystyczny zgrzyt metaliczny wszelakiego rodzaju obrabiarek: tokarek, szlifierek, wiertarek i innych maszyn. Nieustanny ruch. Właściciel i równocześnie kierownik zakładów chodzi od jednej maszyny do drugiej z notuszem w ręce i sprawdza parametry wykonywanych części.

Podczas, gdy wiele zakładów pracy zwalnia część pracowników, w warsztatach mechanicznych inżyniera Ringlera zatrudnia się wciąż młodych ludzi, którzy zdobywają bardzo cenny zawód. Pamiętam niektóre nazwiska:

— Zmarły około 20 lat temu Łajbko (Arie) Henefeld, który przyjechał w trzydziestych latach do Izraela (wówczas Palestyny), założył w Hercliji istniejącą do dziś fabrykę dźwignów, produkowanych na eksport.

— Szymek Nadler, którego warsztaty mechaniczne w Ramat Ganie, cieszą się zaskazującą popularnością.

— Herman Glaser, który w czasie II wojny światowej przebywał w Kazachstanie, gdzie pracował w warsztatach mechanicznych, obsługujących przemysł naftowy, został po kilku tygodniach mianowany majstrem. W latach pięćdziesiątych przyjechał do Izraela i w Kiriat Gat założył prosperujący warsztat mechaniczny.

— Józef Samuelli, z powodu sanu zdrowia już na przedwczesnej emeryturze — ceniony fachowiec w warsztatach w Afuli. Mieszka w Nazarecie, gdzie mówi o nim, że wszystko potrafi.

I wielu, wielu innych, którzy dobry „fach” zawdzięczają nauce i praktyce u inżyniera Ringlera.

Sam Maurycy Ringler lubił od wczesnej młodości majsterkować. Już jako osiemnastoletni chłopak dał o sobie znać jako wynalazca noża do cięcia rur. Wynalazek zrobił karierę, gdy firma „Premier” (późniejszy koncern „Małopolska”) oceniła go wysoko po wypróbowaniu.

Niedługo potem Borysław usłyszał ponownie o młodym wynalazcy. Jego drugim dziełem była k o r o n a o d p i n a l a bardzo cenny instrument w przemyśle naftowym. A potem... wiele innych. Wśród nich urządzenia bardzo popularne, tzw. r a k, służący do wydobywania rur z szybu, gdy przestał „dawać” ropę.

Zainteresowanie wynalazkami Maurycego Ringlera wzrasta nie tylko w Polsce. I nie tylko w Europie. Nawet w Stanach Zjednoczonych i w Związku Radzieckim znajdują się w rejestrze patentów.

Najgorsza w skutkach awaria w przemyśle naftowym na całym świecie to tzw. zagwożdżenie szybu. Znaczy to, że w czasie wiercenia urwała się lina wraz ze świderem i... stało się. W różnych krajach próbowano różnymi sposobami odepkać czyli odgwoździć szyb. Przeważnie nie udawało się. Często ten zabieg trwa całe lata, oczywiście, jeśli towarzystwo jest bogate, a szyb na to zastępuje.

Nie jeden miesiąc śleczął inżynier Ringler nad nowymi rūsunkami i projektami, aby znaleźć sposób ożywienia szybu, nie pozwolić na śmierć ropodajnego szybu na amen. Wreszcie... E u r e k a !

Mija kilka lat i kilka udanych zabiegów. Uśmiercone szyby znatrywchwiają. Wieści o sukcesach Maurycego Ringlera dotarły do ministerstwa przemysłu naftowego ZSRR. Trzeba nadmienić, że

SAGA RODU SCHIFFÓW

Borysław był wówczas od września 1939 roku miastem radzieckim. Główny inżynier trustu naftowego przynosi Ringlerowi list od ministra z prośbą o przybycie do Moskwy celem omówienia sposobu uratowania zagrożonego szybu w pewnym zagłębiu. Jak się okazało — specjaliści radzieccy nie dali sobie z tym rady. Nie bédziemy wchodzić w szczegóły. Inżynier Ringler z małżonką zostali pięknie unonorowani. Wynagrodzenie za odgwożdżenie szybu wyniosło tyle, ile wynosiła tak zwana premia stalowa. A więc dużo.

Za czasów okupacji hitlerowskiej Niemcy liczyli się z wiedzą i zdolnościami Ringlera. Od władz okupacyjnych otrzymał „listy żelazny” chroniący go przed przesładowaniami. W swoich warsztatach zatrudnia coraz więcej Żydów. Za jego sprawą na rękawach zatrudnionych pracowników widnieje litera „R” (Ruestungsindustrie), co znaczy przemysł zbrojeniowy.

W roku 1957 nasz rodak przybywa z rodziną do Izraela. Tutaj wprawdzie z ropą naftową niezbyt bogato, ale i za wodą trzeba walczyć. Chociaż zdaniem naszego rodaka złoża naftowe znajdują się i tutaj.

W Aszkelonie, przy pomocy finansowej rządu powstaje zakład, właściwie fabryka narzędzi wiertniczych. Produkcja, a także opracowywanie projektów i remonty.

M. RINGLE R inżynier mechaniki naftowej — Dyrektor fabryki urządzeń wiertniczych, Aszkelon

Oto wizytówka utalentowanego wynalazcy, autora około pięćdziesięciu patentów, łącznie w wielu krajach.

„Czerwiec 1977 — to data narodzin tej książki. Z największą przyjemnością ofiarowuję ją (...) ziomkowi Leopoldowi Heldowi wraz z serdecznym pozdrowieniem — Melech Schiff. Montreal, lipiec 1980”

Losi Borysław (po polsku *Utracony Borysław*) — to tytuł książki cennej jako dokument, okraszony fotografiami rodzinnymi, zawierającej mnogość i różnorodność wspomnień. Trudno się oderwać od tej lektury. Na ponad 160 stronicach prowadzi nas autor po zaułkach i zakątkach dzielnic ubóstwa, zamieszkanych prawie wyłącznie przez rodziny żydowskie, a zapomnianych przez Boga i ludzi. Czytamy o smutku i niedoli, a czasem, choć z rzadka, pozwalamy sobie na niby-uśmiech. Na wstępie książki naniosł Schiff mapę miasta: ulice i place, nie zapomniawszy o Tyśmienicy. Rzekła ta z jednej strony stanowiła źródło, z którego łebacy czerpali swoją ciężką i trudną „partnasa”, a z drugiej — w czasie wiosennych roztopów, gdy woda nie mieściła się w korycie, rozlewała się na tereny mieszkalne, na nędzne domki i chaty.

Jednym z nieliczonych, do których los się uśmiechnął, był Melech Schiff. Miał 32 lata, gdy wyemigrował do Kanady. 50 lat później napisał: „To największy dar, gdy człowiek zachował w pamięci przeszłość i może ją przekazać potomności”.

Ojciec nazywał się Icyc Seeman¹. Pracował jako nocny stróż w kopalni nafty, której właścicielami byli zamożni Żydzi, Suchestow i Schreier. Bywało nieraz, że pozostawał na służbie dwie „szychy”,

aby tylko jeszcze kilka groszy zarobić. Od czasu do czasu udawało mu się „złować” nieco ropy naftowej w Tyśmienicy, a w tartaku — dostać trochę trocin. Mieszał oba te komponenty i robił z nich kule, które sprzedawał jako podpałkę w piecach. Miał swoją klientelę wśród gospodyń domowych. Czasami przynosił na koromysłach dwa duże wiadra wody, zaczerpniętej w dole kopalnianym, bardzo bogatej w sól. Po odparowaniu tej wody pozostawała w misce czysta, biała sól, którą sprzedawał chłopom w okolicznych wsiach: Popiele, Bania Kotowska, Ratoczyn itp. Wszystkie te zarobki wzięte razem, nie wystarczyły na wyżywienie licznej rodziny. Matka Surele obdarzyła swego męża siedmiorgiem dzieci. „Taka — mawiała — jest wola Boża”. A więc trzy córki i czterech synów. Ósme dziecko, chłopak, był słabowity i żył tylko trzy i pół roku.

Surele cieszyła się dużym szacunkiem i popularnością wśród sąsiadów. Była zawsze i wszędzie tam, gdzie potrzebna była pomoc. Znali ją ludzie z Łozin, spod Debrzy, z Nowego Światu, z Dolnego Potoku. Z całego obszaru nędzy i ubóstwa. Zawsze znajdowała czas, aby pomodlić się za zdrowie tego czy innego sąsiada. Znali ją również rabin, których nagabywała i zmuszała do interwencji u Stwórcy. Gdy ich modły nie skutkowały, udawała się na cmentarz i błagała nieżyjących już rabinów o wstawienie u Wszelamocnego.

„Dzisiaj widzę wszystko jasno, co się zdarzyło 70 lat wcześniej. Widzę nędzę i brud, choroby i wsty, głód i porwane odzienie”. Tak pisze autor już w sędziwym wieku.

Na stronicach *Lost Boryslaw* spotykamy Meilecha jako żołnierza CK armii austro-węgierskiej w czasie pierwszej wojny światowej. Będziemy z nim przechodzili na umówione spotkanie z Rajzelem Leiner lub z Bruchą Bander. Meilech wdycha, gdy wspomina „szkołę tańców salonowych” Moty Kuszer, aranżującego białego mazura, lansjera i kadryla z humorem i śmiesznym, niezbyt poprawnym polskim językiem. Starszy brat Meilecha, Lipa wciąga go do „Vorwaerts Verein”. Tu, w lokalu widzi po raz pierwszy wiszące na ścianie portrety Karola Marksa i Ferdynanda Lassalle’a. Bohaterami tamtych czasów, a więc i jego, byli Róża Luksemburg i Karol Liebknecht.

Zawodu nauczył się w warsztatach stolarskich Jankla Gerstena, Nisima Reifa i u innych.

A potem... potem będziemy z autorem książki w Kanadzie. Do Kanady ściągnęła go najstarsza z rodzeństwa, siostra Matylda, która w 1912 roku wyemigrowała do Ameryki.

Przed wybuchem II wojny światowej udało się wspólnie, Matyldzie i Meilechowi sprowadzić do Kanady rodziców, a nieco później jeszcze dwie siostry.

Jego szczęście nie miało granic. Ziściło się marzenie jego życia. Cieszył się, że — chociaż na stare lata — rodzice nie będą odczuwali braku czegośkolwiek. Jeśli im jednak czegoś zabrakło — to tylko piasego mleka. Rodzice nie żyją wiecznie. Ojciec zmarł w 1942 roku, matka w roku 1957.

W roku 1975 „stuknęło” 50 lat kanadyjskiego życia. Meilech Schiff zasiada za biurkiem i pisze list:

„Mr Pierre Elliot Trudeau Prime Minister Ottawa”.

W liście tym Meilech wyraża głęboką wdzięczność Kanadzie za to, że już od pierwszego dnia pobytu na ziemi kanadyjskiej zaznał wiele dobrego od ludzi, przeważnie nawet nieznajomych, co pozwoliło mu założyć rodzinę, urządzić sobie życie, uruchomić fabryczkę mebli oraz wychować trzech synów, z których jeden jest prawnikiem, drugi profesorem w college’u, a trzeci doktorem medycyny. „Obecnie, od 12 lat jestem na emeryturze, otrzymuję pensję, która umożliwia życie na odpowiednim poziomie”.

W końcowym akapicie listu czytamy: „Oh, Canada?, gdybym był rzeźbiarzem, stworzyłbym najpiękniejszy i najwyższy pomnik Kanadzie; gdybym był poetą, napisałbym najwspanialszy poemat o Kanadzie”. Ostatnie słowa listu brzmią: „Kanado, kocham cię miłością, jaką młodzieniec darzy swoją umiłowaną”.

W lutym 1975 Meilech Schiff otrzymuje list:

„Dear Mr Schiff, Uczucia, jakie Pan żywi dla Kanady, podziela bardzo wielu z nas, lecz są one rzadko deklarowane. (...) Wielu ludzi przybyło tutaj, jak i Pan, z różnych krajów, aby sobie i dzieciom zapewnić lepsze życie. Kanadyjczycy — imigranci i w kraju urodzeni — wspólnie zbudowali tę Kanadę, która budzi w nas tyle uczuć. Nie musi Pan tworzyć dzieła sztuki, jak obraz czy poemat na część

Kanady. Bardziej znaczący jest fakt, że w przeciągu pół wieku uczestniczył Pan w badawie Kanady takiej, jaka ona jest.

Z przyjemnością przeczytałem Pański list; bardzo dziękuję.

E. Trudeau¹

W październiku 1983 roku odwiedziliśmy w Montrealu rodzinę Schiffów. Tak się złożyło, że zastaliśmy u nich sąsiadów, pochodzących z Borysławia: Cesię Backenroth-Schneider i jej męża Kalmana. Nic więc dziwnego, że potoczyła się rozmowa o naszym mieście rodzinnym. Brała w niej żywy udział żona Melecha — Ma-sza, choć wlinianka „zaraziła się Borysławiem” — jak twierdzi jej mąż. Gospodarz wzięł mnie pod ramię i poprowadził do gabinetu, w którym, jak informuje, powstała książka *Losi Borysław*. Z uśmiechem zapewnił, że za cztery lata skończy następną, również o mieście nad Tysmienicą. Zwrócił naszą uwagę na ścianę, na której widnieją trzy listy oprowione w ładne ramki, są to dwa wspomniane wyżej i trzeci, który wywołał niezwykle wrażenie. Melech sam był mocno zdziwiony, gdy zobaczył oficjalny blankiet premiera, a na nim serdeczne życzenia z okazji dziewięćdziesiątych urodzin. Podpisany E. Trudeau.³

Nie zdziwiłem się, gdy na obliczu Melecha odczytałem wyraz dumny.

¹ W owe czasy rzadko który Żyd żenił się „sądownie”. Zjawiskiem powszechnym były śluby rabinackie. W konsekwencji dzieci otrzymywały nazwiska panieńskie matki.

² Tak zaczyna się kanadyjski hymn państwowy.

³ Melech Schiff zmarł 13 maja 1987 roku w wieku 94 lat.

Miłość Icka Millera: KSIĄŻKI

No place like home — tytuł telewizyjnej komedijki — skojarzył mi się z nurtem myśli Icka Millera sprzed dziesięciu lat. Żegnając się ze mną po przechadzce powiedział: — No, pora do domu.

Dwa dni później zadzwonił: — Nie czuję się w sosie, może wpadniesz do mnie.

Wziąłem ze sobą, aby mu zwrócić, dwa ostatnie numery „Kultury”. Prenumerował ją z Paryża po przyjeździe do Izraela. Wspiąłem się na czwarte piętro z zadyszką. Zanim nacisnąłem guzik dzwonka, stałem trochę, aby nieco odsapnąć. Usiłowałem sobie przypomnieć czy około 50 lat temu sapałem tak samo zdobywając Howelę (było nie było 2 tysiące metrów z hakiem).

Usiedliśmy przy niskim stoliku, zasłanym książkami. Icyk nawiązał do przedwczorajszej rozmowy i wrócił do zdania „pora do domu”.

— Ileż to razy powtarzałem „do domu”. I coraz to było inne miejsce... I po przeżyciach ostatnich lat... To już nie „ynzer hajm”!

W każdej rozmowie, od kiedy zachorował, Icyk wracał do wspomnień... o tym domu, gdzie ojciec, Mordechaj Miller, trudnił się w lecie murarką na budowach, a zimą woził lep z kopalni wosku na wyspy. Z trzech sióstr, najstarsza zachorowała. Nie pomogły lekarstwa ani modły rodziców. Gruźlica okazała się silniejsza. Matka, Fajge Myndl, aby pomóc w parnusz, jęła się igły i razem z pozostałymi dwiema córkami, przyjmowała bieliznę do poprawek i łatania. Zwano je w sąsiedztwie „draj najinturns”² (z tytułu wiersza I.

L. Pereca). I tak latoło się to życie. Nic dziwnego, że w wieku niespełna 12 lat, najstarszy z trzech braci, Icyk najął się do pracy jako goniec w firmie naftowej „Premier”.

Znajomość z Ickiem Millerem zawartem w latach dwudziestych na terenie Żydowskiego Związku Zawodowego Pracowników Budowlanych. Do lokalu Związku przychodziła lewicowa i lewicująca młodzież żydowska Borysławia — bez względu na zawód. Wieczory dyskusyjne przyciągały młodych ludzi. Od czasu do czasu widziano tam również, rzykających wiele, kilku uczniów miejscowego gimnazjum. Wśród nich byli Marek Rattner, Belo Gartenberg i ja.

Icyk Miller był już wtedy elektromonterem w drohobyckiej rafinerii nafty „Galicja”. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widział go bez książki, a spotykaliśmy się nierzadko. Chciał i umiał obcować z książkami. Nigdy nie był ich syty.

A z książką zdarzało się rozmaicie... powodowała też przykrości, nawet bardzo poważne. Widzimy Ickę dyktującego przy tablicy rozdzielczej. Zamiast pilnować liczników, zapomniał o całym świecie, czytając Segalowicza *Lata romantyczne* w żydowskim oryginale. Niespodziewanie wszedł inżynier. Icyk usprawiedliwiał się. Jego inteligencja i przytomność umysłu uratowały go od zwolnienia z pracy: — Nie miałem czasu rano, aby się pomodlić, a więc teraz... Inżynier spojrzął na książkę, zobaczył nieznane mu litery i uśmiechnął się: — A uważajcie, Miller, bo... — pogroził dobrodusznie palcem.

★

Był sobotni, deszczowy wieczór, co nie odstraszyło bywalców lokalu Związku. Zapelnili się młodymi ludźmi, którzy chcieli usłyszeć odczyt Millera: „*Martin Eden* — przykład dla nas”.

Kto tej książki nie przeczytał uboższy jest o wielkie przeżyćcie — zaczął Icyk swym ochrypłym głosem.

— Jack London przedstawił swego bohatera jako człowieka z marginesu społecznego, który wspinał się z uporem na coraz wyższy szczebel wiedzy. Im więcej książek czytał, tym więcej ich łaknął.

Po krótkim streszczeniu książki, Miller podkreślił, że choć *Martin Eden* to książka, którą się czyta jednym tchem, trzeba w niej odróżnić to, z czym zgadzamy się z autorem od tego, czego nie aprobowujemy,

jako klasowo nam obce. Na pewno zgadzamy się z Londonem, jeśli mowa o bezpardonowej walce nauki z przesądami i religią.

Jakaż dyskusja rozwinęła się po referacji! Trwała do późnych godzin.

Paradoksy — jak mówią — chodzą po ludziach... Właśnie ten, o którym mówiono, że „kocha się w książkach”, padł od czasu do czasu ich ofiarą. Było to przed 1 maja... Nocą wpadli do mieszkania tajniacy. W poszukiwaniu podejrzanych materiałów przewrócili wszystko do góry nogami. Z żartobliwością b-stii rzucili się na książkę, leżącą na podłodze obok leżanki Ickę. Z tym „dowodem winy” zabrali Ickę i zaprowadzili na posterunek policji. Komisarz wiał od szpicla książkę i głośno przeczytał po niemiecku: Bucharin und Preobraszenski *ABC des Kommunismus*. Z pianą na ustach krzyknął: „Dam ja ci abecadło, do zet nie dojdziecie!”

W artykule *Trzy pokolenia żydowskich robotników naftowych*, który ukazał się w języku jidysz w warszawskiej „Folks Sztymie” (11 września 1956) Fiszle Sidor wymienia Ickę Millera jako przedstawiciela trzeciego pokolenia: „Icyk Miller wiał swoje dążenia i aspiracje z walką klasy robotniczej, ze zwycięstwem socjalizmu (...) Wielokrotnie arestowany, siedział w więzieniach Borysławia, Drohobycza, Sambora”.

W czerwcu 1941 roku dzielił los tysięcy Żydów: ewakuował się do ZSRR. Młodsze sześć lat brata, Moszka, zagnało aż do stolicy Kazachstanu, Ahma-Ata. Długo poszukiwali siebie bracia. Szczesliwym zbiegiem okoliczności Moszko dowiedział się, że Icyk znajduje się w stolicy Baskirii, Ufie. Starania o ściągnięcie brata zostały uwieńczone powodzeniem. W Ahma-Ata Icyk zastał, jak się wyraził, „mikroskopijny kawałek Borysławia”, brata, Szmilka Kneppla, Jonka Kleinera, Milka Russa z żoną, Kreisberga, Hesia Kenera. Wszyscy pracowali w przedsiębiorstwach ewakuowanych z zagrożonych terenów. W roku 1945 cały ten „mikroskopijny Borysław” wyjechał do Polski. Wieźli z sobą duży bagaż doświadczeń fachowych i dużo doświadczenia życiowego.

W Walbrzychu widywałem często Ickę. Pracował w Hucie „Karl” jako wysoko kwalifikowany elektryk. Swoje zainteresowania natury społecznej i kulturalnej zaspokajał w ramach Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów.

Mijały lata, po których spotkał się... w Tel Awiwie. Był to rok 1969. Kilka dni po przyjeździe Icyk przyszedł do nas.

— Nie do wiary — zaczął — po prostu trudno zrozumieć. Powiedziałem im wszystko, całą prawdę. Nie ukrywałem niczego, ani w ankiecie, ani w rozmowach..., że byłem komunistą, członkiem PZPR, siedziałem za działalność komunistyczną... Byłem przekonany, że nie dostanę ani pracy, ani mieszkania... Wyobrażacie sobie — pracuję w swoim zawodzie i to w przemyśle zbrojeniowym. Rozumiecie?

Pracował z oddaniem. Inaczej nie umiał... Aż po 11 latach... pierwszy zawał serca. Po trzech tygodniach wrócił ze szpitala i w wieku 72 lat rozpoczął, jak się wyraził, „emerycką wegetację”. Postanowił tę „wegetację” spędzić w domu starców. Nie chciał być ciężarem dla brata i jego rodziny.

W Ramat Awiwie, w budynku na rogu ulic Brodeckiego i Einsteina zamieszkał na trzecim piętrze. Ilekroć odwiedzałem go, skarżył się, że współlokator nie pozwalała mu wieczorami świecić lampy, chce spać — Biorę więc książkę i zjeżdżam windą na dół, do sali. Ale tu gasną zbyt wcześnie światła. Zostaje mi zbyt wiele czasu na rozmyślanie...

Kolejny, tym razem najsilniejszy atak serca. Karetka pogotowia zabrała nieprzytomnego... Na stoleku nocnym zostały okulary, tomik poezji Eliasza Rajzmana *Modlitwa wilka*, długopis i kartka zapisanego papieru, rozsypane na niej pastylki nitrogliceryny.

Przepisany wiersz Rajzmana *Mój dzień*:

Przy twoim wezgłowie
stoi
jak świeca pośmiertna
mrok...
Opadasz nisko, zachodzisz,
by drugi poranek
mógł zaświtać na twoim miejscu.
Jasny
taki jak

Abby zakończyć — nie starczyło już... serca.

¹ Ynzer hajm — nasz dom

² Draj najturs — trzy szwaczki

Z pieśnią poszedł między ludzi „była pomocą przy czynnościach Jego”

— Tobie, Schiff, mniej wierszykami się zajmować, a więcej na lekcji geometrii uważać...

Było to bodaj w trzeciej lub czwartej klasie borysławskiego gimnazjum, gdy nauczyciel matematyki „pan profesor” Rolski zwrócił się z uśmiechem do dobrego zresztą ucznia. O Tuńciu było bowiem wiadomo, że „zajmuje się” poezją. Grzeszył nawet czasem udanymi rymami. Jemu przypisywano autorstwo krążącego wśród młodzieży wierszyka:

Mądry Pitagoras twierdzi,
że matematyka śmierdzi,
pan Rolski wręcz dowodzi,
że to nie nie szkodzi.

Jego sława wierszoklepty zaczęła się od takiego wydarzenia: Polonista, profesor Woyton napisał kredą na tablicy trzy tematy klasówki do wyboru. Tuńcio wybrał temat trzeci, tak zwany wolny: „Krajobraz zimowy”. W zakończeniu napisał ex improviso:

Na pola leżał, na sioła leżał
puszysty sinobiały śnieg.

Im więcej wczytywał się w strofy wielkich poetów, tym bardziej rościło jego zainteresowanie i umiłowanie poezji. Próbuje swoich możliwości na tym polu. Wysyła swoje wiersze do literackich pism; w odpowiedzi otrzymuje zachętę do dalszej pracy i coraz częściej drukowane fragmenty swych wierszy. Rozpierała go duma, gdy ktoś z branży powiedział, że ma dobre pióro. Tuńcio odpart: „To prawdziwy Pelikan” i uśmiechnął się, zadowolony z udanego żartu.

W gimnazjalnym periodyku „Nasze Życie”, w numerze listopadowym z 1925 roku ukazał się wiersz *Kamień w Uryczu*¹, podpisany U.M. Schiff. Jego liryczną prozę czyta się jak dojrzłą metaforyczną poezję:

„I poszła pieśń między ludzi. Była rzeczywistą pomocą człowieka przy czynnościach jego. Strudzonemu robotnikowi głaskała miękko dłonią spoczone czoło, dziecko z objęć matki oddawała w objęcia słodkiego snu, ludzi do czynów wielkich a wzniosłych zagrzewała i bohaterów z nich czyniła... Była ulgą i ucieczką ze wszelkich strapień i smutków — odtwórczynią była ucząc czystych i jak stał silnych, które do Boga zanosła... I szła pieśń skroś siódł spalonych, pobojowisk trupami pokrytych i głuchych cmentarzy żołnierskich — ale taka smutna, żalonna — żałobna. Zbierała te skargi i przed tron Wiekuiś tego zanosła...”

Jest to fragment *Legendy o Pieśni*, wydrukowanej w „Naszym Życiu”.

Nic dziwnego, że tak zwane ciało (grono nauczycieli) prorokowało: „Uszer Mordechaj Schiff będzie niewątpliwie poetą” Kto wie... gdyby kontynuował. No, ale przepowiednia się nie ziszcza. Na drodze stały inne zainteresowania, bardziej prozaiczne, bardziej romantyczne. A także i wątpliwości. „Nigdy nie dorównam mistrzom słowa. A być miennotą, to nie, a więc — po co?” Oczywiście, że nie zarzucił „wierszowania”, ale były to tylko drobne, żartobliwe, rymowane wycinanki, jak je nazywał. Czytał je przy śmiechu i aplauzie kolegów w byłej kancelarii nieczynnego szybu kopalni nafty „Na Kleinerze”.

Coraz częściej używał pióra dla felietonów i korespondencji prasowych. Publikowały je różne pisma, a przede wszystkim „Głos Drohobycko-Borysławski” i „Chwila”, lwowski dziennik o zabarwieniu syjonistycznym. Tuńcio podpisuje się M. Aszer... konspiracyjnie. Ta „konspiracja” oraz aktywna przynależność do Organizacji Ogólnych Syjonistów kolidowały jednak ze statusem ucznia gimnazjalnego. W konsekwencji Schiff został relegowany z gimnazjum.

Maturo zdawał jako ekstern w roku 1929. Studia rozpoczął rok później na wydziale humanistycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

W okresie studiów wzmagają się jego aktywność polityczna w Organizacji Ogólnych Syjonistów. Więcej czasu poświęca organizowaniu rolniczej farmy na Sygniówce, która służyła jako hachszara³ dla chalców⁴ przygotowujących się do wyjazdu do Palestyny.

Studiów Tuńcio Schiff nie ukończył. W roku 1932 i on wyjechał do Palestyny. Z pionierskim zapalem pracuje najpierw jako robotnik na budowach w Rechowot i Haifę. Nie stroni też od roboty partyjnej i w krótkim czasie daje o sobie znać jako dobry organizator. Zostaje sekretarzem Związku Robotników Ogólnych Syjonistów. Razem z doktorem E. Efronem bierze czynny udział w żmudnej pracy tworzącego się Zjednoczenia Kasy Chorych.

Schiff jest w swoim żywiole. Bierze na siebie obowiązki wiceprzewodniczącego Telawskiego oddziału partii Ogólnych Syjonistów. Przewodniczącym był dr Boger (Bugraszow). Tuńcio reprezentuje ogólnie

światową centralę Chalców w Sochnucie⁵. Z ramienia tej instytucji wyjeżdża z początkiem 1939 roku do Polski w misji organizowania nielegalnej aliji⁶. W tym celu, przy pomocy Jakowa Grynberga i Mosze Kohla, mobilizuje potrzebne fundusze.

W zachowanych wycinkach gazetowych tego okresu czytamy: „Jak już relacjonowaliśmy, bawi we Lwowie przedstawiciel Irgunu⁷ Robotników Ogólnosyjonistycznych w Palestynie p. Mordechaj Schiff (...) Na posiedzeniu egzekutywy Krajowej Organizacji Syjonistycznej, złożył sprawozdanie o sytuacji jiszuru⁸ palestyńskiego w ruchu robotników ogólnosyjonistycznych.” („Chwila”, 23 lutego 1939.)

„Onegdaj przybył do Krakowa delegat Irgunu robotniczego ogólnosyjonistycznego w Palestynie, Tow. Mordechaj Schiff (...) Tow. Schiff, który jest czołową osobistością ogólnosyjonistycznego ruchu robotniczego w Palestynie, zabawi szereg dni w naszej dzielnicy, gdzie wygłosi referaty.” („Nowy Dziennik”).

Wielką niespodzianką dla nas, mieszkających wówczas od kilku lat w podwawelskim grodzie, były odwiedziny Tuńcia. Mimo intensywnych zajęć, potrafił wykrócić dzioneł, aby spotkać się z dawnym przyjacielem. Przywitaliśmy się serdecznie. Pytaniom i „a proposom” nie było końca. Zahaczyliśmy o owe lata, „gdy młode pachole”...

— A co z twoim Pelikanem? — zapytałem.
Tuńcio uśmiechnął się, jakby chciał sobie coś przypomnieć.

— To było dawno... bajki prastary początek... świat baśni...

Po chwili dodał: — Było to dawno. Teraz miwam inne „*Sny o potędze*”.

Zrozumiełszy się. Wszak — mimo różniących nas poglądów politycznych — pozostaliśmy przyjaciółmi, jakimi byliśmy na ławie szkolnej.

Od tego czasu minęło bez mała 30 lat, gdy spotkaliśmy się ponownie po naszym przyjeździe do Izraela, w październiku 1968 roku. Schiff pracował wówczas jako dyrektor „*Mifde Ezrach*”, przedsiębiorstwa budowy osiedli dla olim¹⁰. Piastował też urząd sędziego grodzkiego w Tel Awiwie. Nominację otrzymał od ówczesnego ministra sprawiedliwości Rozena.

Wspomnienie o Tuńciu nie będzie pełne, jeśli nie podkreślimy podziwu godnej Jego żywotności i angażowania się w najbardziej pracochłonne funkcje. Będąc dyrektorem instytucji i sędzią, pełnił równocześnie w roku 1968 godność prezydenta Izraela, a w międzyczasie Lishkat Bonim Chofszim — „*Hermion*”.

Nasze przyzywanie było równie serdeczne jak w odległej przeszłości. Rozglądałem się po ładnym, acz skromnym mieszkaniu. W oczy rzucały się regały z setkami książek. Zbliżyliśmy się do księgozbioru. Gospodarz wskazał na cztery półki:

— To sama poezja. Widzisz... jest i Tuwim twój, a ongiś i mój ulubiony poeta... Zdziwisz się — ciągnął Tuńcio — inni „wzięli” mnie bez reszty... Oto znakomici... Nathan Alterman, Chaim Nachman Bialik, Uri Cwi Grinberg, Abraham Szlonski... Całymi dniami mogłbym nie tylko czytać, ale wsłuchiwać się w piękno ich strof.

W roku 1977 Schiff postanowił przejść na zasłużoną emeryturę. Żył jeszcze tylko 9 lat, w tym sześć ostatnich dzieł między dom i szpital.

Odszedł w lipcu 1986 roku. Został ból i żal, które przyjaciele dzielił z żoną Reginą i całą rodziną.

¹ Pelikan — przed II wojną światową najlepsze wieczne pióro
² „*Kamień w Uryczu*” — olbrzymie skały i pieczary; cel wycieczek młodzieży z miasta

³ Hachszara — gospodarstwo rolne przygotowujące młodzież żydowską do wyjazdu do Palestyny.

⁴ Było takich kilka w różnych okolicach Polski.

⁵ Właściwie: chalucim. Szaluchy odbywający praktykę na hachszarze przed wyjazdem do Palestyny. Obejmowała ona także naukę języka. Nie musieli jej odbywać starsi emigranci.

⁶ Sochnut — organizacja żydowska

⁷ Alija — imigracja. Większe oznaczano nazwami. (Np. alijs roku 1956 określano jako „*Gomulkowską*”; roku 1968 — jako „*Moczarowską*”).

⁸ Irgun — organizacja, zrzeszenie.

⁹ Jiszuw — kraj osiedlenia

¹⁰ *Było to dawno*, wiersz Leopolda Staffa ze zbioru „*Sny o potędze*”, Warszawa, 1901

¹¹ Olim — imigranci

EDMUND SEMIL

Z nekrologu w „Życiu Warszawy” dowiedzieliśmy się, że 15 marca 1975 roku zmarł w wieku 85 lat Edmund Semil. W tym żałobnym komunikacie przeczytaliśmy, że zmarły był pedagogiem, dyplomata i dziennikarzem, że był kawalerem wielu wysokich odznaczeń polskich, radzieckich, węgierskich oraz francuskich palm akademickich. W dziesiątą rocznicę śmierci naszego niezapomnianego nauczyciela w borysławskim gimnazjum koedukacyjno-humanistycznym, snujemy wspomnienia, związane z jego pedagogiczną działalnością. Właściwie wówczas, gdy jako uczniowie VI, VII, VIII klas słuchaliśmy jego wykładów na lekcyjach języków niemieckiego czy francuskiego — był dla nas osobistością zagadkową.

Stanisław Giza w swojej autobiograficznej książce *Na ekranie życia* (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1972) pisze o Edmundzie Semilu: „Była to dla nas postać bardzo tajemnicza. Nikt nie mógł się dowiedzieć gdzie i co przedtem robił (...). Był człowiekiem wyrozumiałym dla naszych szczeniych wybryków. Przez to stał się szybko naszym przyjacielem (...). Całej prawdy o Semilu dowiedzieliśmy się dopiero po II wojnie światowej. Okazało się, że podczas Rewolucji Październikowej pracował w polskim departamencie w jednym z komisariatów, po czym wyjechał na Węgry, gdzie wziął udział w rewolucji Beli Kuna. Po powrocie do kraju (...) poświęcił się pracy pedagogicznej z wielkim pożytkiem dla młodzieży”.

W książce Augusta Grodzickiego *W teatrze życia* (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1984) znajdujemy nieduży akapit poświęcony jego kilku zaledwie latom spędzonym w Borysławiu.

„Gimnazjum, w którym przebyłem pierwszą i drugą klasę, pozostawiło niktę ślady w pamięci. Najlepiej zapamiętałem Edmunda Semila. Wymagający, ale jowialny, miły brodac, uczył, francuskiego, zawdzięczam mu mocne podstawy gramatyczne tego języka (...). Po wojnie (...) był w służbie dyplomatycznej, a potem parą się dziennikarstwem radiowym i piarstwem historyczno-politycznym...”

W Warszawie Edmund Semil, pracując już tylko na zwolnionych obrotach, zapraszał nas jako byłych swoich uczniów, na filizankę herbaty i „na beczkę wspomnień borysławskich”. Po bądź co bądź czterdziestu latach pamiętał nazwiska swoich uczniów, a szczególnie tych, którzy bywali u niego w borysławskim mieszkaniu. Za każdym spotkaniem przypominał sobie coraz więcej, a często wspominał nieżyjących Marka Rattnera, Hesia Perlmana, Arona Tassisa, Dorę i Klarę Federbusch, Kubę Bauera, Tusię Bauer i innych. A potem jakby zapadał w trans i powtarzał: „Tyle pięknych żyć”.

Niektórzy nauczyciele naszego gimnazjum odegrali niechwaleną rolę w stosunku do młodzieży należącej do Haszomer Haca'ir. Statut szkolny mianowicie zakazywał uczestniczenia w organizacjach pozaszkolnych. Przeciwnieństwem tych nauczycieli był Edmund Semil. Moze i dlatego, że — choć skrajnie zasymilowany — odzywało się w nim jednak, w jakimś stopniu, pokrewieństwo z Żydami.

DOLKA

Z listu Wilka Strassera z 13 września 1987 roku:

„(...) Ostatnio stał się uboższy o kilku przyjaciół. Zmarli Bolek Śliwiński i Roman Granas. Przedwczoraj — ogromnie bolesny pogrzeb najbliższej nam Dolki Kleiner-Taubman. Przy grobie na żydowskim cmentarzu w Szlocholinie rzucaliśmy grudki ziemi na trumnie. I tak żegnaliśmy na zawsze kochanego, serdecznego, dzielnego Człowieka...”

Od 8 września, po otrzymaniu telefonicznej, okropnej wieści, czynię usilne starania, aby napisać wspomnienie o Dolce. Porwałem już sporo arkuszy. Nie chcę, aby to było coś w rodzaju kalendarium czy ankiety personalnej.

Poznanie Dolki zaczęło się w gimnazjum. Pogłębianie natomiast tej znajomości dopiero w latach szmrowych, gdy mogliśmy poznać Jej charakter, osobowość. Należała do najaktywniejszych członków miejscowej organizacji Haszomer Hacair. Tyle śpiewu, tyle problemów pogadań, dyskusji, tyle wycieczek — jak to nazywała — w podkarpacki krajobraz — nie było w żadnej innej kwacy. „Jeśli coś robimy, to całym sercem, prawdziwie po szmrowemu” — oto jej zawołanie. (Kilka lat później hasło to zmieni „nieważne”).

Na wakacjach przed rokiem maturalnym podjęła decyzję, która zaważyła na całym jej losie: dość edukacji szkolnej, aktualny cel — Palestyna. Wyjeżdża do Zielonej na haczszarę. Kilka tygodni później, z plecakiem i walizką, udaje się z nieliczną grupą młodzieży w niełatwą drogę.

Po kilku miesiącach pierwszy list do przyjaciół w Borysławiu. „Nie ma na świecie tak pięknego wschodu i zachodu słońca... Ciężko pracujemy, ale jest czas na czytanie, na śpiewy i hore. Jak wiele satysfakcji z pionierskiej pracy przy budowie żydowskiej Ojczyzny!”

List ten krążył wśród bliźszych i dalszych przyjaciół. Był to młodzi. Podziwialiśmy Dolkę. Udzielała nam się jej romantyczna natura. I teraz, po upływie dziesiątków lat, zachowaliśmy w pamięci wycieczki z Dolką na Horodyszcz, czy Dział Werch i owe śpiewy i hore do upadłego.

Dwa lub trzy lata później... Wiadomość, jak grom z jasnego nieba — wiadomość: Dolka aresztowana przez policję mandatową. List z kibucu wyjaśnia: działalność komunistyczna.

Po upływie roku została deportowana do Polski. Tu nie przestaje działać. Od czasu do czasu „odwiedza” areszty, aż „wpada”. Na domiar złego — w ciąży. Wyrok: 8 lat.

Władze więzienne, mimo starań obrony, wyrażają zgodę tylko na jednoroczny pobyt dziecka w więzieniu.

Los przygotował dla Dolki nowy cios. Jej rodzice odmawiają przyjęcia nieobeznanego wnuka i wyrzekają się „wyrodne” córki, odbywają nawet siedmiodniową pokutę, jak po zmarłym członku rodziny. Jednorocznym Jurkiem zaopiekowali się młodsi brat Dolki — Jonko i jego żona Hela.

Niedługo przed wybuchem drugiej wojny światowej, Dolka zostaje zwolniona po odbyciu pełnego wyroku. Kilka tygodni spędza z synem w podkarpackiej miejscowości letniskowej Hrebenowie.

A potem... euforia! Czerwona Armia w mieście. Ludzie krytykują a Dolka: — To objawy przejściowe, przecież wojna... Jeszcze trochę, a zobaczycie, jak dobrze będzie.

Okres ten wspominaliśmy w latach 1941-1945 będąc w Kazachstanie, gdzie tyle czasu trwał już ustrój sowiecki. Dolka borykała się z trudnościami. Męża, Szlome Taubmana zmobilizowano, gdy zaczęła się wojna niemiecko-radziecka. Mimo żalosnych warunków, mimo częstych braków podstawowych produktów żywnościowych — nie zakałała się. Wierzyła niezachwianie w przyszłość.

Po kilku latach pobytu w Polsce, w połowie lat 50-tych, doznaje szoku. Jej ideologiczny gmach zarysowuje się. Tworzą się w nim

coraz szersze szczytliny. Nie podejmuję dyskusji. Pracuję, jak zwykle. Jej jedynym celem jest wychowanie syna i córki, urodzonej w Wąbrzychu w 1947 roku.

Ciekie są dla Dolki lata żydowskiego exodusu z Polski. Maryla wyjechała na studia do Sztokholmu. Z Jurkiem są kłopoty wyglądające groźnie. Nie może uzyskać pozwolenia na wyjazd do Holandii. Podejrzewają go o przekazanie poufnych dokumentów Holandii. Wreszcie wszyscy o się wyjaśniło, okazało się, że za granicę firma. Wreszcie wszyszt o się wyjaśniło, okazało się, że to była antysemicka prowokacja. Doika też mogła wyjechać, władze szwedzkie pozwoliły jej się połączyć z córką.

Niedawno spotkałismy się z Dolką w Izraelu, dokąd często przyjeżdżała, zapraszana przez przyjaciół. Łatwo udało się stwierdzić, że pozbyła się ostrych kantów swej ideologii, złagodziły się. Żyła życiem wnuków. Niestety była już chora.

Jeszcze z listu Wilka Strassera:

„W kaplicy żydowskiego cmentarza było około 50 osób. Przy trumnie cztery olbrzymie świece. Trumna zasłana wieńcami i wiązaniami kwiatów. Na twarzach obecnych głęboki żal pożegnania na zawsze. Mała grupka rodziny odbierała wyrazy współczucia: siostra Sumia z mężem Olkiem (przyjechali z USA), Jurek z żoną Lidią (przyjechali z Holandii), Maryla z mężem Peterem i jego rodzicami”. Jak wielki żal, że w listach do przyjaciół w Sztokholmie nie załączy się pozdrowień i uścisków dla drogiej nam Dolki.

PRZEŻYĆ SVOJE WNUKI — TO STRASZNE

Tylko i jedynie babcie potrafią zrozumieć subtelne uczucie jakim Chana Brunnergraber darzy swego wnuka. Opuszczając rodziną wieś, nie tała, że ze złoatym sercem będzie za nim tęsknić. Mało tego. Unosiła ze sobą troskę o przyszłość chłopaka, najstarszego dziecka swojej córki.

Urodził się w roku 1863 w małej wsi koło galicyjskiego miasteczka — Podbuża. Rodzice wiedli życie dużo mniej niż skromne. I oto — sytuacja ulega znacznej poprawie, gdy babcia Chana zaczęła wspierać rodzinę materialnie. Dzięki tej pomocy Lipe mógł uczęszczać, choć tylko krótki czas, do jesybotu¹ w miasteczku. Lipe wyróżniał się w swoim otoczeniu zarówno inteligencją, jak i żądzą wiedzy.

Od wyjazdu Chany do Borysławia minęło już kilka lat. Nie zapomniała babcia o umiłowanym wnuku. W piątki, gdy przed zmuokiem zapalała świece, wznosiła modły.

— Boże Abrahamu, Boże Izaaka, Boże Jakuba, trzymaj swą prawieć nad nim...

Interes babci zaczął coraz lepiej prosperować. Pojechała na wieś, aby razem z rodziną spędzić święta Rosz Haszana² i Jom Kippur³. Do Borysławia wracała z Lipą, 17-letnim wnukiem. Był to okres szybkiego rozwoju nowego i na razie jedynego w świecie zagłębia bogatego w ropę naftową, a przede wszystkim w ozokeryt, czyli wosk ziemny.

Chana Brunnergraber, kobieta przedsiębiorcza i energiczna, kupiła swego czasu u miejscowego chłopca nieduży kawałek ziemi, który

okazał się terenem bogatym w ozokeryt. A jej wnuk wykazał dostateczną samodzielną — i ku niezadowoleniu babci! — przyjął w kopalni wosku pracę furmana. Wywoził więc z innymi furmanami tak zwany lep. Była to mieszanina kamieni, piasku i resztek wosku, czyli pozostałości po wytopieniu surowca z wydobywanego z ziemi urrebku. Furmani wywozili ów lep na pola sąsiadujące z kopalnią. A ciągnęły się te pola setki metrów. I tak powstały tak zwane wysypy, które po latach stały się nieodłącznym fragmentem borysławskiego krajobrazu.

Przedsiębiorczość Lipy Schutzmanna dała o sobie wkrótce znać. Pracował ciężko i dużo, zgodnie z postanowieniem, z jakim opuszczał wieś: zarabiać możliwie dużo. Poznało się na nim kierownictwo kopalni i powierzyło mu stanowisko bardziej odpowiedzialne.

Minął rok, a może dwa lata minęły. Lipie zyskał sobie opinię człowieka inteligentnego i zdolnego. A że był wysokim, przystojnym młodzieńcem, miejscowe dziewczyny zerknęły na niego z sympatią. Miał duży wybór, ale ożenił się raczej z rozsądku niż z miłości, tym bardziej, że wybrance towarzyszył pokazywany posąg.

Odtąd zaczęła się właściwa kariera Lipy Schutzmanna jako człowieka interesu. Dysponując pieniędzmi, mając odpowiednie rozeznanie w miejscowych stosunkach, rynku pracy i handlu terenami ropo- i woskonośnymi, staje się wkrótce znanym w Borysławiu przedsiębiorcą. Zaczął się interesować osiągnięciami technicznymi w innych krajach. Doszedł do przekonania że trzeba znać obce języki. Uczył się więc angielskiego i niemieckiego. Znajomość tych języków ułatwiła mu aktywny udział w konferencjach międzynarodowych.

Borysław odgrywa coraz większą rolę w świecie przemysłu. A wraz z miastem rośnie popularność Schutzmanna. Poważni ludzie liczą się ze zdaniem tego młodego Żyda z polskim sumiastym wąsem. Daleko poza Borysławiem stają się znane przedsiębiorstwa, kopalnie ropy, destylatornie, rafinerie, warsztaty mechaniczne, nad którymi widnieją duże szyldy: SCHUTZMAN I SPÓŁKA.

I na polu działalności społecznej zyskuje sobie Lipie Schutzman odpowiedni rozgłos. Pod jego patronatem powstają szkoły zawodowe, ochronki dla sierot. Jego fundusze zasilają syjonistyczną organizację kobiet WIZO, łoży pokazyne sumy na cele opieki społecznej

w borysławskim kahał. Był on, jeśli nie jedynym, to jednym z niewielu miejscowych przemysłowców, którzy wspierali ubogich. Ciekawostka: Schutzman polecił swemu kasjerowi, aby w piątki po południu rozdawał jałmużnę ubogim, zarówno Żydom, jak i chrześcijanom.

W jego życiu był okres, kiedy piastował urząd burmistrza w Borysławiu.

Jak dalece cieszył się Lipie Schutzman autorytetem i zaufaniem kół przemysłowych, świadczy fakt, że niejednokrotnie reprezentował Polskę na międzynarodowych kongresach naftowych.

W roku 1928 wybrał się do Palestyny. Oglądał kraj oczyma biznesmena i doszedł do wniosku, że na razie nie pora na większe tutaj inwestycje... zobaczmy za jakie dziesięć lat... A równocześnie wyraził życzenie, aby po śmierci został pochowany właśnie w Palestynie.

Z godności (poza burmistrzostwem), jakie Schutzman piastował, wymienimy tylko kilka:

- prezes Izby Handlowo-Przemysłowej,
- wiceprezes Towarzystwa Polski Ekspert Naftowy (PEN),
- wiceprezes Krajowego Towarzystwa Naftowego (KTN).

W roku 1938 odbyło się we Lwowie uroczyste planarne posiedzenie KTN, na którym wręczono Lipie Schutzmanowi list pochwalny następującej treści:

„Prezydium i Wydział Krajowego Towarzystwa Naftowego we Lwowie składa niniejszym Życzenia Panu Lipie Schutzmanowi, wiceprezowski Krajowego Towarzystwa Naftowego z okazji Jego pięćdziesięciolecia pracy zawodowej w przemyśle naftowym.

W czasie przeszło półwiekowej działalności, potrafił P. Wiceprezes Schutzman stworzyć, ze skromnych bardzo początków warsztat pracy, oddając w ten sposób całemu przemysłowi poważne usługi. Jako dzielny wiertnik nie oszczędził pracy i wysiłków pionierskich, ufając zawsze w przyszłość przemysłu naftowego. Jako dobry obywatel rozwijał żywą działalność społeczną.

Rozumiejąc wartość i doniosłość współpracy w życiu gospodarczym, potrafili P. Wiceprezes Schutzman godzić sprzeczne niekiedy

dążności poszczególnych ugupowań przemysłu — to też dziś, gdy obchodzi swój jubileusz, życzy Mu cały bez wyjątku przemysł:

SZCZĘŚĆ BOŻE

w dalszej owocnej pracy!

Lwów, dnia 9 grudnia 1938 r.”

Następują trzy podpisy, niestety, nieczytelne.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej, został udekorowany

Złotym Krzyżem Zasługi. Liczył wówczas 75 lat.

Niedługo potem nastąpiła katastrofa. Schutzman znajdował się wtedy we Lwowie. Władze radzieckie pozwały go mieszkania. Następnych sześć lat spędził na zesłaniu, nad rzeką Irtysz w kazachstańskim, semipałatyńskim obwodzie. Schorowany po przejsiach, zarabiał w jakimś kółchozie jako szewc. Do Polski udało mu się wrócić w roku 1946. Zamieszkał w Gdańsku-Wrzeszczu.

Jeden z jego wnuków, dowiedziawszy się o powrocie dziadka, przyjechał z Pragi. Bywało, że Schutzman tracił przytomność, ale swego wnuka poznał. Był to jedyny wnuk, który nie zginął w światowym kataklizmie. Lipe Schutzman rozplakał się i szepsem powiedział:

— Jakże wielkie musiały być moje grzechy, że przeżyłem wnuków... To straszne!

Nie przemilczmy, że nikt w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie zaitroszczył się o to, aby zwrócić uwagę tak zwanych czynników na schorowanego i złamanego przejściami starca, któremu kraj nad Wisłą ma jednak tyle do zawdzięczenia.

Lipe Schutzman umarł w roku 1949, przeżywszy 85 lat.

Prośba Lipy Schutzmiana, aby na wieczny spoczynek pochowano go w Izraelu — nie została chyba spełniona. W żadnych źródłach nie znalazłem o tym wzmianki.

¹ Jeszybot — średnia lub wyższa szkoła religijna

² Rosz Ha-Szana — Święto Nowego Roku

³ Jom Kippur — Dzień Pojednania

IV. AZKARA

O PAMIĘCI I NIEZWYKŁEJ KSIĘDZE

Aby nie wybuchła trzecia wojna światowa, trzeba nie zapominać o drugiej.

Eli Wiesel

Gdy noworodek opuszcza łono rodzicielki, krzykiem daje znać, że żyje. Dziecko płacze, bo Anioł Zapomnienia uderzył je w górną wargę. Popularna w Borysławiu akuszerka, pani Liebesman dowodzi, że to najoczywistsza prawda: „A skąd wzięły się ten pionowy rowek w wardze tuż pod nosem?” Eii Rywke, dy hube, jak ją powszechnie nazywano — twierdzi, że ten bolesny „zabieg” Anioła — to nic innego, jak rodzaj zastrzyku, aby dziecko musiało zapamiętać wszystko, co dotąd widziało, słyszało, czuło.

Legenda... bajka... Chcicie to wierzyć, chcecie, nie wierzyć...

A potem zaczyna się istnienie, życie z dobrymi i niedobrymi odczuciami.

Są komórki w naszym mózgu wyspecjalizowane w pamiętaniu. Ktoś pamięta więcej, ktoś mniej. Kto inny walczy ze sobą, aby zapamiętać, bo pamiętanie nasuwa nieraz wspomnienia przykre, ba, bolesne...

Z Saratogi, miasta w USA w pobliżu San Francisco, przyjechał w roku 1966 do Bremy (RFN) 43-letni inżynier, aby złożyć zeznania w procesie przeciw Hildebrandowi, katowi Drohobycza i Borysławia w czasie okupacji hitlerowskiej.

W niezwyklej księdze (bo to nie jest zwykła książka) *Antworte, Mensch!* napisanej przez Renate Reinke, zapoznajemy się z dokładnymi relacjami z tego procesu, a wśród nich z co najmniej dziwnym zjawiskiem ANTY pamiętania tych czterech lat, podczas których

poniosło śmierć ponad 10-tysięcy Żydów, to jest 75% społeczności żydowskiej miasta. Wspomniany inżynier z Saratogi oświadcza w rozmowie z autorką: „W Izraelu żyją Żydzi w dużym skupisku, rozmawiają ciągle jeszcze o przeszłości i dlatego trwa ona nieprzerwanie. W Stanach Zjednoczonych jest zupełnie inaczej. Tam nie ma miejsca na to... I tak powinno być.”

Pogląd borysławskiego Amerykanina (Renate Reinke nie wymienia nazwisk świadków) jest tym bardziej zaskakujący, że miał 18 lat, gdy — jak zeznaje przed sądem — pomagał swemu wujkowi w grzebaniu na żydowskim cmentarzu zmasakrowanych żydowskich ofiar pogromu, urządzonego przez Ukraińców tuż po wkroczeniu hitlerowskich hord do Borysławia. Świadek wspomina przyjaciół i krewnych wywiezionych do obozów koncentracyjnych, wspomina ową środę, 19 lipca 1944 roku, godzinę południową. Na specjalnie zarządzonego pokazowym apelu Hildebrand oświadczył, że z powodu zdarzających się ucieczek chce, aby mieszkańcy obozu widzieli na własne oczy, co takich Żydów czeka. Na jego rozkaz zostali na oczach stojących na apelu rozstrzelani przyjaciele inżyniera: Mendzio Derfler i Haberman z ojcem.

Tylko człowiek bez krzty uczucia może twierdzić, że za dużo wspomina się ofiary brudnej nocy, która dla Borysławia trwała cztery lata. Uroczyste izraelskie spotkanie AZKARA są sprawdzianem pamięci o okresie zagłady. I nieprawda, że w Ameryce nie ma na to miejsca. Ziomkostwo drohobycko-borysławskie w Nowym Jorku wydało w maju 1985 roku *Krótką historię Żydów Drohobycza i Borysławia* (w języku angielskim), w której stwierdza się, że rokrocznie odbywają się zebrania o charakterze Azkara, przed wzniesionym tam pomnikiem pamięci. A więc jest w Ameryce miejsce...

Opuszczenie rodzinnego miasta nie jest równoznaczne z chęcią zapomnienia o nim. Wręcz przeciwnie. Wciąż hotubimy pamięć o jego ludziach z tamtych czasów, o Bibliotece Żydowskiej, której księgozbiór mogłyby pozazdrościć biblioteki uniwersyteckie, o ZKS Kadimah, którego rola wychowawcza (nie tylko sportowa) cieszyła się uznaniem żydowskiej społeczności miasta, o moście nad

JEDENASTE: NIE ZAPOMNIJ!

Tysmienia, w której lebaczy, jedyni na świecie, zajmowali się wyławianiem z wody płałów czarnego złota, pamiętamy... pamiętamy...

Ania Dichter pisze z Nowego Jorku w liście „o Borysławiu, który jest tak bliski naszemu sercu”.

AZKARA znaczy: wspomnienie pośmiertne, uczczenie pamięci. Uczcijmy i teraz pamięć tych, których nam zbrodniczo wyrwali, których niehumanitarnej śmierci zapomnieć nie można... nie wolno. Uczcijmy również pamięć ziomków, co odeszli od nas już po wojnie, a rozsiadanych niemal na całym globie ziemskim, nie pochowanych na borysławskim cmentarzu żydowskim, który obchodziłby setną rocznicę istnienia, gdyby jego „żywoć” nie został przetrwany w 1959 roku, gdy tylko mała garstka żydowskich autochtonów przebywała jeszcze w Borysławiu.

Odpadamy po kolei

jak liście

coraz więcej wyrw

na zieleni żałobna chusta

Telefony przyjaciół milkną

kilku cyfrowe liczby w zero

kartka

pokrywa się śniegiem

Listy

na które nie odpiszesz

Odpadamy po kolei jak liście

z drzewa niewiecznego

Wiensz Alicji Patey-Grabowskiej („Literatura”, 4.V. 1978)

Z zeznań inżyniera z Saratogi: „W Izraelu żyją Żydzi w dużym skupisku, rozmawiają ciągle jeszcze o przeszłości i dlatego trwa ona nieprzerwanie. W Stanach Zjednoczonych jest zupełnie inaczej. Tam nie ma miejsca na to...! tak powinno być”.

Z listu Mundzia Krochmala (Nowy Jork, 30 listopada 1980 roku): „Dziś specjalnie jestem myślami w Borysławiu, bo dziś jest rocznica drugiej akcji, w której straciłem tyłk o ojca, matkę, siostrę i brata. Pamiętam dokładnie dzień, kiedy wyszliśmy z kryjówek, a Ukraińcy mówili: — Co? Tyłu Żydów zostało!”

Myśleli, że zostanie tylko jeden Żyd na świecie i będą go pokazywać w cyrku.

Profesor Horbulewicz mnie całował i patrzył na mnie, jakbym był z innej planety...”

Powstała swoista literatura. Ludzie przelewali na skrawki papieru swoje godziny lęku, skape chwile nadziei i zmieniający się smak odczuć. Aby pamiętać...aby nie zapomnieć...aby mieć moc przekazać...

W takim nastroju inżynier Isak Stiefel pisze wiensz w języku jidysz. Oto fragment (w przekładzie L.H.):

Siedem mogił na polu dalekim,
siedem mogił na polu na wieki,
w nich katowani, bici, mordowani
tylko dlatego, że byli Żydami.

Walka o życie... Czy to nie to samo, co walka ze śmiercią? Nie byłimy do niej przygotowani. Nie uczono nas tego „przedmiotu”, tej sztuki w żadnej szkole.

Mówi Gina Wieser (numer obozowy w Oświęcimiu A-24920, dokument w Yad Vashem Nr 1052/55/):

„Niemcy wkrócili do Borysławia 2 albo 3 lipca 1941 roku i zaraz następnego dnia zaczął się jeden z najpotworniejszych pogromów żydowskich, którego sprawcami byli Ukraińcy, uzbrojeni w młotki do tłuczenia kamieni. Wielu z nich miało karabiny. Masakrowali ludzi w bestialski sposób. Łamano kości, wybijano oczy i zęby. W ciągu 24 godzin trwania pogromu zginęło 180 ludzi. Następnego dnia przyszli z okolicznych wsi Ukraińcy, chłopcy z kosami. Był to straszny widok. Mimo że potem widziałem niejedno, nigdy tego nie zapomnę. Dzika horda przeciw bezbronnym ludziom i dzieciom (...).

Nadeszła zima i straszna nędra zapanaowała w mieście. Zdarzało się, że człowiek opuchnięty z głodu lub zmarły na tyfus miał przy sobie klejnoty lub złote dolary. Był tak nieprawdopodobny głód, że... wybierano odpadki ze śmietników. Epidemia tyfusu szalała. Zginęło wtedy z głodu i chorób 2000 ludzi. Trwało to przez całą wiosnę i całe lato 1942 roku. Dopiero w lecie zaczął się handel”.

★

Oto w dużym skrócie wspomnienia R.H., dwudziestoletniej wówczas dziewczyny, która z fałszywymi, aryjskimi papierami i 300 zł w kieszeni wyprawiła się z Borysławia do Krosna, aby tam się urządzić i ściągnąć do siebie rodzinę:

„Borysław, 24 października 1942 roku.

Jedziemy z Lunią S. do Krosna. Ona nazywa się teraz Paulina Zawadzka, a ja Bożena Knebloch. Szkoda, że moje nazwisko nie brzmi bardziej po polsku. Żebym tylko nie zapominała, jak się teraz nazywam.

Nocą dojechalimy do Przemyśla. Kazali wszystkim wysiąść. Dokładnie zaciemniona hala była zatłoczona. Położyłam walizeczkę na wolnym kawałku podłogi, przycupnęłam obok niej i zasnąłam. Obudziło mnie światło, które nagle zabłysło. Nade mną stał Niemiec

w mundurze, naczelnik stacji zapewne, a przy nim szmalcownik, który wskazywał na jakiś tłumoczek na podłodze. Potrwało chwilę, zanim „tłumok” nabrał kształtów i okazał się bardzo zmęczoną czterdziestoletnią kobietą z garbatym nosem i tlenionymi włosami. Naczelnik wskazał drzwi i poszedł za kobietą. Wychodząc zgasił światło. Kiedy znowu rozbył się, zobaczyłam, że naczelnik podnosi z podłogi pulchną tlenioną dziewczynę.

— Wstawaj! — rozległo się nad moim uchem jak eksplozja. To rzyzał na mnie osobnik, który przedtem wskazał Niemcowi tamte dwie. Naczelnik ruchem galanta przepuścił mnie przodem i wprowadził do swego gabinetu. Usiadł za biurkiem, ruchem brody wskazał mi miejsce pod oknem, gdzie siedzieli te poprzednio wprowadzone z hali. Pod piecem stał Bahnschutz¹ i grzał sobie plecy.

— Peter, jetzi fangen wir an.

I zaczęli. Peter oderwał się od ciepłych kaffi, stanął obok szefa i skinął na najstarszą z nas.

— Imię, nazwisko, adres. — To powiedział spokojnie, a nagle wrzasnął: Dawaj pieniądze! Dawaj te swoje ciężkie, śmierdzące, żydowskie pieniądze!

Kobieta podała portfel, portmonetkę, wreszcie całą torebkę. Naczelnik pogardliwym ruchem zmiotł wszystko na podłogę.

— Dawaj, no już!

Kobieta siedziała nieporuszona. Niemiec spojrzał na swego pomocnika. Ten zbliżył się do niej, przesunął dłoń po jej szyi, natrafił na tasemkę, szarpnął. Z płóciennego woreczka wyrzucił zawartość: pierścioneł z niebieskim oczkiem, damską i męską obrączkę, medalionik. Bahnschutz otworzył go i pokazał naczelnikowi zdjęcie czarnowłosego, czarnoookiego chłopczyka.

Kobieta gwałtownym ruchem pochwyciła medalionik i zatrasnęła go. Niemiec wyrwał go z jej palców.

— Jak to? Chcesz fuhrerowi zabrać jego złoto?

Naczelnik odesłał kobietę pod okno, ziewnął i zwrócił się do tej pulchnej z dotychczasami: — Teraz ty.

Wyrzucił wszystko z jej torebki. Miała mało pieniędzy i wcale nie miała biżuterii. W dalszym ciągu obmacywał torebkę, wyciągnął z kieszeni scyzoryk i odpruł podszwawkę. Na biurko wypadła wypchana

koperta. Wysypały się z niej fotografie: Żydówki w perukach, pejsaci chłopcy, brodaci mężczyźni w chałatach i lisich czapach.

— Komm, komm. (To do mnie). Imię, nazwisko, adres.

— Nazywam się Bożena (O, Boże, Knebloch czy Nebloch?) — mrużąc niewyraźnie i z rozpędu podaję adres, ten prawdziwy, z dzielnicy żydowskiej.

— Dokumenty.

Wyciągam z torebki wyciąg z ksiąg parafialnych, podarowany przez księdza z Wolanki, legitymację służbową, załatwioną mi przez Krzysię w biurze jej stryja. Po nią właśnie sięga Niemiec.

— Zadzwońisz do tego biura w Boryslawiu i sprawdź — mówi do swego pomocnika. Żebym tylko nie naraziła Krzysię i inżyniera Cz. Wszedł jakiś Bahnschütz i zameldował, że za dziesięć minut trzeba odprawić pierwszy poranny pociąg.

Niemiec wstał.

— Zostawiamy was na kwadransik, bądźcie grzeczne, moje panie.

I wszyscy trzej wyszli nie zamykając drzwi.

Poszło szybko: kobieta i dziewczyna wybiegły równocześnie. Rozległy się dwa wystrzały, przetrzeliwy jęk, trzeci wystrzał i cisza.

Kiedy naczelnik i jego pomocnik weszli — kończyłam się pudrować.

— Schować to wszystko, schować dokumenty, los!

To było najtrudniejsze: nie rzucić się łapczywie na graty, nie wybiec jak najszybciej”.

★

Na darmo i bezowocnie szukać w Boryslawiu śladów dawnych żydowskich mieszkańców. Rozsypało nas, rozwiało nas po całym ziemskim globie. Na bremeński proces, który trwał od 20 czerwca 1966 do 12 maja 1967 roku zaproszono 360 boryslawskich Żydów. Do Bremy przyjechało 213 osób, pokonując nieznacznie odległość kilku, a nawet kilkunastu tysięcy kilometrów. W Bremie spotkali się boryslawscy Żydzi przybyli z Izraela, Polski, NRD, Australii, Austrii, Meksyku, Cejlonu, Kanady, RFN, Argentyny, Nowej Zelandii, Francji, Stanów Zjednoczonych... Tylko!

Toczy się rozprawa przeciw Hildebrandowi o zabójstwo trzech Żydów: Fisza Habermanna, jego syna Józefa i Mendzia Doerflera. Przesłuchiwanym będzie 51 świadków, w tym 16 naocznych.

Tunda, siostra zamordowanego Mendzia, przyjechała z Hajfy. Robi wrażenie zupełnie skamieniałej. Zeznaje inteligentnie i rzeczowo. Nie zauważa nikogo. W każdym procesie o morderstwo brak z reguły koronnego świadka, taki po prostu nie żyje. Tu wydaje się przynajmniej głosem swojej siostry. Salę ogarnia lodowate zimno. Świadek mówi o swoich przeżyciach, o stracie całej swojej licznej rodziny.

„Tylko Mendzio i ja zostaliśmy (...) Przy pierwszej wywóźnie wiosną 1944 roku udało mi się uciec (...) Ukryliśmy się w lesnym bunkrze. Żywność przynosił Mendzio ukradkiem z obozu. I tam właśnie dostał się do przygotowywanej następnej wywózki, której uniknął skacząc do kloaczego dołu (...) Przyjaciółom udało się jako tako doprowadzić go do porządku. Do mnie wrócił z bardzo nieprzyjemnym zapachem (...) Byłam szczęśliwa, że Mendzio przeżywa w lesie (...) Pewnego dnia, gdy w południe wróciłam z pracy do obozu usłyszałam strzały. Opanowało mnie straszne przeczucie. Zobaczyłam ludzi ciągnących zwłoki mego brata”.

Podczas tej wypowiedzi jej głos stał się ostry, oskarżający. Z płaczem wykrzychała ostatnie zdania: „Został mi list napisany w celi skazańców. On pragnął żyć, bał się śmierci... Kilku dni brakowało do jego 22 urodzin. Jego życzeniem było, abym wszelkimi siłami starała się przeżyć, aby światu o tym opowiedzieć”.

Jest to relacja Renate Reinke, autorki wstrząsającej książki *Antworte, Mensch!* Niemiecka publicystka pisze: „Nie poznałyśmy się osobiście nigdy, ale głosu jej zapamiętać nie mogę”.

★

Ze wspomnień Biny Haberman: „Jedynie, co zostało w Boryslawiu po tysiącach Żydów, którzy tam żyli — to pomnik pod rzeźnią, gdzie znajdują się masowe groby pomordowanych lub żywcem postrzelanych przez Niemców. Pomnik ten postawiliśmy w roku 1945, przed naszym wyjazdem stamtąd (...) Jeszcze za naszej bytności tam znaleźli

się tacy, którym to było nie w smak i ciężko pracowali nocami nad rozbijaniem betonu, żeby tylko zniszczyć tę jedyną pozostałość po nas...”¹
I Bahnschütz — hitlerowski strażnik kolejowy. Do tej służby Niemcy przyjmowali Polaków

NOCĄ PRZYCHODZĄ CIE NIE DAWNO MINIONE...

Dobrze to — czy źle? Obraz rodzinnego domu coraz częściej obleka się mgłą zapomnienia. Mgła — jak w kameryze fotograficznej nieostro nastawiony obiektyw. Twarze znajome przyjaciół, ba — i twarze rodziców. Już tylko niewyraźne kontury zostały w pamięci. Nie ma sposobu, aby ten proces zatrzymać.

— Masz, weź ten zegarek, przyda ci się... I jeszcze, abys nie zapomniał, weź to zdjęcie...

Wziąłem zegarek, wziąłem podobiznę rodziców i ty, co piekły. Długo na mej twarzy nie wysychały.

Boże, to przecież już prawie 50 lat... pół wieku od rozstania. Amatorska fotografia w portfelu wędrowała ze mną poprzez kawał świata. Zdążyła zblaknąć. Jedyna pozostała pamiątka. Moja Azkara. Moja osobista co rok w czerwcowy dzień, obchodzona w rocznicę pożegnania. Mój kadysz. Usiłuję w tym zblakłym obrazku odgadnąć rysy rodziców.

Czasami w nocy przychodzą do mnie we śnie. I prawie zawsze na powierzchni wodnego zwierciadła. Bez przerwy zmieniają się oblicza... „Przecież — to nie... nie... nie oni” zdaje się krzyczeć. Budzę się obłany potem. Otwieram oczy najszerzej. Ciemno. Byłe nie zasnąć ponownie... koszmarnie.

Jesteśmy pokoleniem, które boi się nocy. Boi się zasnąć...

..... nocą
tętnem odmierzam godziny
przychodzą cienie dawno minione

BEZ NEKROLOGÓW

Nekrologi są dla tych, którzy umarli
w łózkach.

A dla tych z komór gazowych,

Ze śniegów pod kołem polarnym,

Z rowów przydrożnych, gdzie kurz

zasypywał im oczy,

Z piwnic, gdzie opadało pół czaszki

jak wieko z blachy

torturowanych

.....
Dla nich nie pisze się nekrologów...

(Fragment wiersza *Nekrolog*
Kazimierza Wierzyńskiego)

Ostatni dzień marca 1941 roku. W mieszkaniu moich rodziców niezwykle ożywienie. Nawet sąsiadki, pani Sieganowa i pani Wilfowa nie żałują sił i pomagają w przygotowywaniu do uroczystości. Przyjechała też ciocia Toncia z Drohobycza, siostra taty. W kuchni króluje mama, dba przede wszystkim, aby udały się kremówki, za którymi ojciec przepada. Mamie dostaje się komplement: — Ani u Buchbanda, ani nawet w cukierni Linharda, takich nie uświadcysz.

Solemnizant właśnie wrócił do domu. Zatrzymuje się w drzwiach, jak zwykle uśmiejnięty i wzruszony. Wita się z gośćmi. Za chwilę lampki napętniają się winem. Jubileuszowa uroczystość: **SZESĆDZIESIĄTE URODZINY** taty. Betka (moja siostra) wznosi toast. Wszyscy wstają z krzeseł. Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam...

★

Po trzech miesiącach. Jakby taranem wałą w drzwi... Z wrzaskiem wdzierają się do mieszkania. Było ich trzech, umundurowany hitlerowiec i dwóch Ukraińców w cywilu.

— Wo ist dein Sohn und deine Tochter... Verfluchte Kommunisten...

zwracają słowa gesty

moje

nocą

tętnem odmierzam godziny

robię rachunek niedorzeczny życia

robię rachunek niepojętych lat..."

Często przychodzą do nas inne sny. Przenoszą nas w bardzo odległą przeszłość, gdy akcja, selekcja, obóz, koszarzy, bunkier, wywózka — były jeszcze słowami nie należącymi do codziennego obiegu. Sny — wspomnienia o mieście, w którym chodziliśmy do szkół i uczyli się życia...

— gdzie w ranne godziny dobiegało nas przeciągłe wołanie Majera Holocha: liny szplajnować... garnki drutować... liny... garnki...

— gdzie rubasznie śmiał się Kaufberg (ten z cukierni): ha ha ha! pościć cały dzień i w dodatku modlić się... to na pewno nie jest żydowski wynalazek...

— gdzie w „Adrii” występował chór rewersów Bunka Straussa w składzie: Izio Wegner, Mendzio Freilich, Hesio Thal i Oskar Feigler...

— gdzie babcia przestrzegała swego wnuka, idącego do szkoły: wyjdź, dziecko, prawą nogą, abys dwój nie dostał...

— gdzie życie dnia i nocy umotywowane było rytmem pracy kopaliń naty.

Śnione widziadła — niegdysiejsza jawa. Minęło bezpowrotnie.

Dzisiejszy Borysław nie czym, absolutnie niczym nie przypomina naszego rodzinnego miasta. A jednak, przynajmniej się, czy nie przynajmniej, gdy o nim mowa — pojawia się cień w malutkiej mierze — nostalgia.

Cytowane fragmenty pochodzą z wierszy Jael Shalitt

— Nie wiem... nie ma ich — odpowiada z płaczem mama. Jeden z Ukraińców uderzył ją pałką w głowę.

— Wo sind die? — zoł dak nie czeka na odpowiedź... szybko odpina kaburę... kolbą rewolweru wymierza cios w twarz ojca. Z ust ojca wypadają protezy, leje się gęsto krew. Pijany Ukraińiec rzucił się wściekle i obcasem potrzaskał obie protezy.

— Ty zawieszony Żydzie, jeszcze się spotkamy.

Oto w jaki sposób rozpoczęło się panowanie hitlerowców. Oto pierwszy pogrom Żydów w Borysławiu. Ofiarą padło około dwustu Żydów, starców, kobiet i dzieci. „Patriotyczna” robota z nawiązką odwalona. Niemcy nawet nie liczyli na tak obfity „połów”. Ukraińcy gorliwie popracowali. Tylko tak dalej... Ukraina wolna i niepodległa tuż tuż... Tak im przyrzekał sam Hitler.

★

Pożegnaliśmy rodziców 26 czerwca 1941 roku. Jeszcze Niemców nie było w Borysławiu. Żadnej władzy nie było. Wiedzieliśmy już o okrucieństwach i o bestialstwie hitlerowców na ziemiach przez nich już okupowanych. Mieliliśmy w czasie naszej „podróży” dużo czasu na rozmyślanie... Zostawiliśmy rodziców na pastwę losu. Przecież kochałszy ich i kochamy... Jak można... Gdzież nasze sumienie?

Po długich dniach i tygodniach dotarliśmy ostatecznie do Azji, ściślej mówiąc — do Kazachstanu. Przywitał nas — o dziwo! — borysławianin, Sznilko Fink i... 48 stopni Celsjusza... tylko...

★

W połowie roku 1945, już po wojnie, znalazłem się znowu w Borysławiu. Po długich, męczących staraniach, uzyskałem zgodę Ministerstwa Przemysłu Naftowego ZSRR na powrót do rodzinnego miasta. Po czterech latach pracy w Kazachstanie.

Chodziłem, jak błędny, szukałem śladów, przemierzałem miasto wzdłuż i wszerz... Dzień... dwa dni... Dotarłem do miejsca, gdzie tak niedawno stał dom moich rodziców. Karłołisko... Wiatr porwał kawałki papieru, za którymi biegałem. Nie, to nie to, czego szukałem.

Wracałem późnym wieczorem do użyczonego nam mieszkania. W oczach żony czytałem zawiedzioną nadzieję.

Był zmierzch. Ludzie wracali z pracy do swoich domów, do swoich gospodarstw, do swoich dzieci, rodzin, do...

Zatrzymywałem się, zdawało mi się, że ktoś mnie woła... Zdarzał się dość często taki oman. Teraz wyraźnie słyszę, ktoś woła mnie po nazwisku. Wołanie powrótyło się. Odwróciłem się. Z przeciwnego chodnika zbliżał się do mnie człowiek o lasce.

— Dobry wieczór. Wychodzę, że pan mnie nie poznaje.

— Rzeczywiście nie poznaję.

— Nazywam się Wołoszyn, Sławek Wołoszyn. Proszę sobie przypomnieć... Dzięki panu nauczyłem się co nieco parlować po francusku.

— A tak, pamiętam. Pan nie jest podobny...

— Oczywiście... sramna na policzku, „pamiątka” od byłego kolegi, nazywał się Olesiuł, Stefan Olesiuł. Może pan go nawet znał, mieszkał na Wolance. Proszę się nie gniewać... Pan powinien to nazwisko znać. Właśnie pan musi to nazwisko znać i pamiętać. To byłę, bandyta. Proszę posłuchać... Ale, przepraszam, może wejdziemy na szklankę herbaty, to blisko.

Usiedliśmy przy okrągłym stole.

— Ledwie hitlerowcy wkroczyli, zresztą bez jednego wystrzału, do Borysławia, bestia oddał się na służbę Niemcom. I był im wiernym psem. Spotkałem się z nim przypadkowo, zaczął mnie werbować na ukraińskiego policjanta. „Będziesz miał złote życie”. Był bardzo pijany i z dumą wskazywał żółto-niebieską opaskę na ramieniu. „Słuchaj — mówi — wczoraj jeden szwab kazał się zaprowadzić do żydowskiego domu. Poszliśmy do tego Żyda, co to ma syna inżyniera i córkę Betkę, co się do niej jeszcze w gimnazjum dowalałem i nic... No i była fajna robota. Szwab od razu... no i wiesz, staremu zęby wszystkie poszły, ale fajno było. A tego kodaka Niemiec kazał mi sobie wziąć... Chodź, Sławku, do nas”. Wyrwałem mu się, a ten otwiera seczoryk... Stąd ta sramna. Pamiątka.

— Czy ten Olesiuł...

— Mówią ludzie, że uciekł razem z Niemcami. Jak mówią powiesili go na drzewie w lesie, tuż przy drodze.

— Czy zna pan dalsze losy moich rodziców?

— Chyba podzielili los resztki Żydów rok później. Widziałem ten ledwie wlokący się tłum, gnany przez żołdaków i psy. Może... Jeden nie mógł nadążyć... leżał na polu... był bardzo zarośnięty i nie miał zębów. To była akcja BEŁŻEC.

Był jednym z tych, „dla których nie pisze się nekrologów”...

TYLKO MIEJSCE I GROBY ZOSTAŁY

Z listu Joanny: „... sprawy borysławskie rozstrząsam często nawet w swoich snach...”

Joanna nigdy w Borysławiu nie była. Urodziła się po wojnie w Polsce, a miasto to znane z epopei naftowej, wówczas należało już do Związku Radzieckiego.

Kaja napisała *Krajobraz rodziny*. Książka ukazała się w Wydawnictwie Literackim w Krakowie w 1981 roku. Autorka przesłała nam egzemplarz z dedykacją: „Moim kochanym H. i P. — Wasza prawie krajaneczka..” W Borysławiu nigdy nie była.

Kaja i Joanna to bliźniacze siostry. Ich babcią, Fenką, która okupację przeżyła w Borysławiu razem z córką i zięciem, uczyła swoje wnuczki Borysławia. Chłoneły gawędy swojej babci, a bogata ich fantazja przyswajała z biegiem lat, jak to „... przez miasteczko płynęła rzeka wypełniona tłustym i łatwopalnym bogactwem terenów podgórskich...” (z opowiadania Kai pt. *Xylander*).

W opowieściach babci roilo się od borysławskich ludzi; mówiła o znanych bogaczach, zapracowanych robotnikach, o typach odznaczających się swoją innością. Było do śmiechu, a było i do płaczu.

Babcia opowiadała o mieście nad Tyśmienicą, które było dla nas pepkiem świata. Dla nas, którzy po raz pierwszy wypowiadali tam — ku ucieście rodziców — słowa mama i tata, dla nas, którzyśmy się tam wychowali, Borysław stał się jedynym wielkim cmentarzem, gdzie spoczęły tysiące zamordowanych bliskich nam ludzi, cmentarzem

uczuć dla miasta. Staje się ono coraz bardziej mglistym wspomnieniem.

Wnuczki słuchały opowieści babci Fenki z ogromnym zainteresowaniem.

Lata minęły od katalizmu, gdy nad światem zawisła czarna noc niesłychanego w dziejach barbarzyństwa i bezprzykładnego ludobójstwa. Pozostałych przy życiu mieszkańców Borysławia — Żydów rozproszyło po całym globie ziemskim.

Obecnie Borysław, jaki znamy i pamiętamy — przestał istnieć. Szyby naftowe — to, co charakteryzowało miasto — zniknęły. Jest ono teraz podobno wystrojone w zielone skwery i parki oraz piętrowe budynki mieszkalne.

Wspominając rodzinne miasto zadajemy sobie pytanie: Czy to nostalgia?

JESZCZE JEDNO DRZEWKO ŚWIĘTOJAŃSKIEGO CHLEBA

Stoję jak nieprzytomna... Coś dzieje się dokoła mnie... coś dzieje się ze mną... Płomień znicza rzuca przyćmione światło. Znicz wydaje się wirować wraz z nazwami obozów śmierci, które gęsto pokrywają powierzchnię ogromnej kamiennej posadzki.

Świergot ptasiej gromady przelatującej wysoko w przeswicie i śpiewny tenor rabina, odzianego w długą białą chustę w czarne pasy — łączą się w niebiańską melodię.

Jest dużo ludzi i... ja... ja jestem tutaj... ja, Michalina Tuśkiewicz... Czy to nie sen? Jestem ośrodkiem zainteresowania wszystkich obecnych. Trudno uwierzyć. To dla mnie ktoś przemawia po hebrajsku... dla mnie te psalmy wyspiewane przez rabina. Dla mnie, bo 40 lat temu, gdy świat spowiła koszmarna, brunatna noc...

★

W 1942 roku mieliśmy pewien czas względnej spokoju — przypomniała Hela.

— Ciągłe jednak wisiła nad nami groza eksterminacji. Około 200 Żydów zginęło podczas pogromu, który zgotowali nam Ukraińcy natychmiast po wkroczeniu hitlerowców do Borysławia. Druga masakra odbyła się 28 listopada 1941 roku. Ofiarą łapanki padło około 600 Żydów, bestialsko zamordowanych w lasach Tustanowici i Mrażnicy. Zdawało się, że nasza tragiczna przyszłość została przypie-

PODSUMOWANIE

czętowana. Szczególnie zagrożone były żydowskie dzieci i dlatego drżałam o życie swego dwuletniego synka, Mariana.

Hela dobywa z torebki mały notesik i czyta: „Z Żydami tak czy owak musi się skończyć... Proszę uzbroić się przeciw wszelkim odruchom współczucia. Musimy Żydów zniszczyć, gdziekolwiek ich spotkamy i gdzie tylko to jest możliwe”.

Po chwili Hela dodaje:

— Są to fragmenty przemówienia generalnego gubernatora, Hansa Franka, wygłoszonego w październiku 1941 roku.

Cały rok zwracałam się do polskich rodzin z prośbą o przechowanie dziecka. Moje zabiegi nie odniosły skutku.

Mój strach wzmoógł się, gdy 6, 7 i 8 sierpnia 1942 roku Niemcy przeprowadzili największą akcję. W ciągu tych koszmarnych trzech dni wywieźli do obozu zagłady w Bełżcu z Borysławia 5 800 Żydów.

Tydzień po owej sierpniowej akcji zeknęłam się przypadkowo z Michaliną Sudyka (obecnie zamężna — Tuśkiewicz), która przyjechała do Borysławia. Michasia długo przypatrywała się dziecku. I młoda, dziewiętnastoletnia dziewczyna zdecydowała zaopiekować się nim i podjąć próbę uratowania go. Żadne warunki nie były omawiane. Wzięła chłopczyka na ręce i bardzo długo go tuliła.

W ciągu dwóch lat Michasia przeżyła prawdziwą gehennę, żyjąc w wiecznym strachu, narazona na śmierć własną i dziecka. Jej niezmiernemu oddaniu i poświęceniu zawdzięczam, że mój syn żyje.

★

Niezwykle wzruszająca uroczystość nadania pani Michalinie Tuśkiewicz zaszczytnego tytułu *SPRAWIEDLIWEJ WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA* i wręczenie medalu i dyplomu — odbyła się 1 kwietnia 1982 roku w YAD VASHEM.

Initiatorami tego wydarzenia byli Hela Górecka-Gersten oraz jej syn, 42-letni profesor Marian Górecki, ceniony naukowiec w Instytucie im. Weizmana w Rehovot, który spowodowali również przyjazd pani Michaliny z USA, gdzie obecnie mieszka.

★

Michalina patrzy na rosnącego mężczyznę i z uśmiechem mówi:

— Jak on się zmienił! Byłam mu matką, choć go nie rodziłam.

Kiedy z drohobyckiego dworca głównego ruszyły eszelony złożone z dziesiątków bydłych wagonów, wypchanych nami, uciekającymi przed przewidzianą grozą, czas stracił dla nas wszelkie znaczenie. Pędziliśmy w nieznane. Byłe dalej... byłe dalej...

Tego nie wiedzieliśmy i tego nie wiedzieli ci, którzy pociągami kierowali. Mijaliśmy pola, łąki, lasy i stacyjki. Na stacyjnych budynkach rzucały się w oczy duże litery: „kipiatok”. Jedna z współpasażerek, dla której rosyjski język był zupełnie obcy, zawołała: — Czy każda stacja nazywa się u nich Kipiatok?

To naiwne pytanie wystarczyło, aby bodaj na chwilę rozproszyć grobowy nastrój przynębienia i zupełnej rezygnacji z przyszłości, jaką nam gotował uciekinierski los.

Minął dzień, minęła bezsenność. Myślaniami byliśmy z tymi, którzy zostali w mieście, z rodzinami, rodzeństwem, przyjaciółmi i krewnymi. Naszym myśłom towarzyszył monotonny stuk stalowych kół o szyny. W ten charakterystyczny rytm odgłosów żelaza, wdarł się nagle inny, silniejszy, zbliżający się huk. Na bezchmurnym niebie pokazały się ruchome punkty, które gwałtownie rosy. Pociąg nagle zatrzymał się.

— Wysiadacie! Wysiadacie! Prędko! Kryć się w krzakach!

Placz... nawoływanie... lament. Messerschmitty zakpiły z nas. Przeleciały nad przerażonymi oczyma, nad rozpaczliwie bijącymi sercami tysięcy nieszczęśliwych. Widocznie wiezione przez eskadrę bomby nie były przeznaczone dla nas, ale dla bardziej interesujących obiektów.

Spośród prawie 17 tysięcy żydowskich mieszkańców ewakuowała się z Borysławia wówczas, z końcem czerwca 1941 roku, nieledwie siódma część. A może nawet i mniej.

Na krótko przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej opuściło Borysław około 1200 Żydów, zmobilizowanych do Armii Czerwonej. Ogromna większość została jednak na miejscu. I to przeważnie ludzie młodzi. Na przeszkodzie stanął szereg przyczyn obiektywnych. To nie było łatwe, to było wręcz trudne — rozstać się z rodzicami, często bezradnymi, w podsztywnym wieku. Niektórzy zastanawiali się: „A co będzie, jak nas zawiozą na Sybir?” Okazało się, że znaleźli się też tacy, którym szkoda było zostawić dom i rzeczy. I to ich zgubiło.

26 czerwca wyruszyły ostatnie eszelony z Drohobycza. A potem...

★

Wyznacznikiem poszczególnych etapów trzech lat okupacji, nawet do dnia dzisiejszego, pozostały akcje. Nie lata, nie miesiące, tygodnie i dni. Akcje... akcje.. Skrupulatnie, zgodnie z hasłem Endloesung, zaplanowane przez znakomitych organizatorów, za jakich uchodzą Niemcy, akcje służyły do dziś tym, co przeżyli okupację, za kalendarz owych czasów.

Niektórzy mówią: wszystkiego tylko o trzy lata... inni: Boże, jak mogliśmy przeżyć, to przecież więcej niż 1100 dni! Inni: przeliczyć te dni na godziny; nie zwyczajne godziny normalnych dni, ale godziny i minuty przeżyte w śmiertelnym strachu. Minuty — wieki.

Czas włócił się w tragicznych, kirem spowitych ramach, od pierwszego, tak zwanego ukraińskiego pogromu, poprzez dziesięć, czy jak zapamiętali inni, dwanaście wielkich akcji, do ostatniej. Dokonała się ona w lipcu 1944 roku. Była to wywózka, która ze względu na bombardowania alianckie, kluczyła długo i dopiero po 16 dniach doszła do... Oświęcimia. Cel został osiągnięty 7 sierpnia. Przybyłych, skazanych na męczenną śmierć, powitali na bramie napis „Arbeit macht frei”. Dokładnie w tym samym dniu pozostali przy życiu w Borysławiu — było ich zaledwie kilkaset osób — z niedowierzaniem, że jednak żyją, witali wyzwoleńczą radziecką armię.

Do dzisiejszego dnia, po przeszło czterdziestu latach — można tylko w przybliżeniu odpowiedzieć na pytanie, ilu borysławskich Żydów zginęło w czasie hitlerowskich okupacji:

- ilu w akcjach,
- ilu zostało zamordowanych indywidualnie, „z własnej pilności” przez barbarzyńskiego żołdaka lub Ukraińca, na ulicy, w mieszkaniu, w lesie,
- ilu umarło śmiercią „naturalną” z głodu, w czasie epidemii tyfusu, — ilu popełniło samobójstwo.

Bardzo urozmaicone sposoby umierania...

Tragiczna, oczywiście nieoficjalna statystyka ocenia: ogółem w czasie hitlerowskiej okupacji poniosło śmierć 11 do 12 tysięcy mężczyzn, kobiet, dzieci, czyli około 80 procent pozostałych w mieście po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej.

Aby uwiecznić pamięć tej hekatombi, porwali ludzie za pióro, pisali dzienniki, pamiętniki, wiersze nawet powieści.

K. w jednym z listów do mnie: „Wiersze powstałe pod okupacją — pewna forma przekazania przyszłym pokoleniom sprawozdania, przeważnie bez walorów artystycznych, powstały przede wszystkim jako wołanie, które nie mogło pozostać nie wykrzywane”.

Książki Kopla Holzmanna *Ziemia bez Boga i Jeśli Ciebie zapomnę* — są zbeletyzowanym sprawozdaniem obrazu okupacji. W tej drugiej autor pisze: „Ta książka nie jest bajką, ani pieśnią, w której wszystko dobiega do jasnego, ostatecznego końca; jest bardzo smutną i na wskroś prawdziwą opowieścią o Żydach, którzy podczas długich pięciu lat więcej stracili i przeżyli, niż podczas tysiąca lat trwającego wygnania i rozproszenia. Postanowiłem zaprotokołować tę prawdę...”

7 sierpnia 1944 roku wśród borysławskich Żydów, którzy wyszli z kryjówek, piwnic, strychów, leśnych bunkrów byli i ci, co zawdzięczali swe życie znajomym, sąsiadom — Polakom. Chwała tym, co z narażeniem życia własnego i swej rodziny świadomie ukrywali i ratowali Żydów. Oto kilka zapamiętanych nazwisk: Jadwiga Markowska, Stanisław Dziedzic, Olga i Władysław Grzegorzukowie, Genowefa Majewska, Michalina Sudyka-Tusiewicz, Stefan Górniak (dozorca stacji ZKS Kadimah).

Nieraz borysławianie stawali oko w oko ze śmiercią, od której tylko ich minuty dzieliły. Ponad sto osób (a chodzą słuchy, że ponad

dwieście) wtłoczonych do bydłych wagonów, przeznaczonych na wózek do obozów śmierci, albo spędzonych pod rzeźnię nad własne groby, albo schwytyanych w ulicznej łapance — nie zapamię — choćby to wydawało się absurdem — że uratował ich Niemiec. Tak jest: Niemiec. Nazywa się Berthold Beitz. W międzynarodowym archiwum biograficznym Munzingera czytamy: „W czasie wojny został zwolniony ze służby wojskowej i pracował jako dyrektor handlowy polskiego zagłębia naftowego w Boryslawiu. Na tym stanowisku udało mu się uratować wielu Żydów i Polaków z obozu koncentracyjnego”. (Tłum. z niem. L.H.)

Posłuchajmy głosu kilku ludzi uratowanych przez Bertholda Beitz.

Artur Birman (Ramat Gan) wówczas miał 15 lat: „Podczas trzeciej akcji, w sierpniu 1942 roku zostałem złapany przez Reiterzug i zamknięty w magazynie na stacji kolejowej... Siedziałem tam razem z moją matką... Przez dwa dni bez jedzenia i picia. Na drugi dzień przyjechał Beitz wyciągnąć ludzi, którzy pracowali w „Beskidem”... Beitz w pewnej chwili zobaczył mnie. Z miejsca powiedział do gestapowców, że mnie potrzebuje. Przechodząc na drugą stronę powiedziałem Beitzowi błagalnym spojrzeniem, że moja matka też tutaj jest. I jej kazał przejść na stronę jego „fachowców naftowych...”

Josef Hirsch (Jeruzolima): „W nocy zaczęła się wielka akcja. Mężczyźni, kobiety, dzieci zostali zakładowani do wagonów na zniszczenie. Beitz pospieszył na stację kolejową i wyciągnął około 150 ludzi... Pow szechnie było wiadomo, że p. Beitz utrzymywał z Gestapo przyjacielskie stosunki, jedynie po to, aby pomagać Żydom.”

Gustaw Russ (Warszawa) pisze w „Folks Szyrne”: „Jak wdzienici byli mu uratowani ludzie. Moje osobiste kontakty z B. Beitzem trwały do dnia dzisiejszego, zawsze wspominam jego humanitarną postawę w czasie okupacji, pomoc żywnościową; zatrudnienie mnie i wytrwanie w czasie jednej z akcji z rąk Gestapo”.

Przypomnijmy urywki z książki Kopla Holzman *Ziemia bez Boga*: „Gestapowcy siłą i ordynarnym gwałtem wtoczyli swe ofiary do wagonów, a opornych zmuszano razami kółb. Nie oszczędzono ni matek, ciążących do piersi swe małości, ni kobiet ciężarnych, ni kalek i starców. Wody!... Duszę się!... Szalku! Szmi!... nawoływano się nadaremnie. Piękło osiągało tu swój punkt kulminacyjny. Żydzi — mężczyźni, próbowali jeszcze w ostatniej chwili ratunku.

— Herr Direktor Beitz! — krzyczano z zewsząd — ja przecież pracuję!

— Kto ma Ausweis pracy w „Karpatenoei” wystąpić — padł rozkaz dyrektora Beitz.

Maurycy Ringler (Aszkelon) w swoim dzienniku: „Dość często dyrektor administracyjny Beitz interweniował w Schutzpolizei albo w Reiterzug, gdzie powodował zwolnienie swoich pracowników Żydów”.

Mosze i Mina Horowitz (Bat Jam): „Jak szalony pobiegłem do biura, gdzie urzędował Beitz. Ratuj pan moją żonę i dziecko! Wzięto je pod rzeźnię! — krzychałem i płakałem jak opętany. Zanim spostrzegłem się, usłyszałem jak samochód ruszył. Dowiedziałem się później, że tylko minuty dzieliły moją żonę od śmierci. Stała zrozpaczona, naga, obok trupa naszej córki.”

— Beitz musiał kilkakrotnie wykrzykiwać moje nazwisko — przypomniała sobie Mina. Byłam odurzona. Jak automat wypełniałam rozkaz Beitz, aby zabrać ze sobą stojącego obok mnie 8-letniego chłopczyka. Byłam rozpaczliwie ocalona — mój skarab, moje dziecko nie żyje”.

Taki był Berthold Beitz, obecnie piastujący stanowisko na szczyście hierarchii koncernu Kruppa w Niemczech Zachodnich. Chwała mu!

PIERWSZY DZIEŃ I... POTEM

To były bardzo gorące dni w sierpniu 1944 roku. W dosłownym i przenośnym znaczeniu. 50-stopniowe upały, panujące w tej kazachstańskiej pustyni, nie należały co prawda do rzadkości, ale w owym czasie dawały się nam wyjątkowo we znaki. Z rozwieszonych w mieszkaniach mokrych prześcieradeł parowała woda, zwilżając nieco suche powietrze, co miało przynosić odrobinę ulgi. Pożądanego wylchnienia jednak nie dawało. A z wodą trzeba było oszczędnie. Dostarczali nam jej rurociągi z rzeki Ural, odległej o 120 kilometrów. Rozwożono je w beczkowozach z wielbłądzim zaprzęgiem. O każde wiadro toczyły się zażarte boje.

Nocą, z bardzo wysokiego nieba mrugały gwiazdy do nas, szukających w ciemności chłodu i ukojenia. Przed mieszkaniem pozywały się całodziennego nagrzania szeregi żelaznych łóżek — nasze sypialnie tej pory roku. Siedzieliśmy zazwyczaj na przyzbie. Powoli wychodziło z nas zmęczenie po pracy w spiekocie.

Czas był gorący, a my byliśmy niecierpliwi. Garstka ziomeków zbierała się u nas od pierwszych dni sierpnia. „Razem przeżyć dzień wyzwolenia...” — jak się Herman wyraził.

Armia Czerwona wyzwalała dzień w dzień miejscowości, coraz bliżej leżące naszego rodzinnego miasta. I dzień w dzień nasze serca mocniej biły w oczekiwaniu komunikatu z frontu wojennego o wieczornej porze. A odbiornik w postaci detektora był właśnie u nas. W prawdzie słuchawki nie grzmiały, ale dostatecznie wyraźnie przekazywały nam informacje. Słuchaliśmy z zapartym tchem... Wymieniane miasta, odległe od kazachstańskiego Dossoru o wiele tysięcy

kilometrów, były nam bliższe niż ta osada, w której przepracowaliśmy już ponad trzy lata. Jedynie, co nam w niej bliskie, to przypominający każdemu z nas zapach panujący w powietrzu, zapach ropy naftowej Boryslawia.

Trzy lata — trzy wieki w skwar, w ponad 40-stopniowe mrozy z jakże trudnymi do przebrnięcia śnieżnymi wydmami.

„Nie narzekajcie — pisali nam boryslawianie rozproszeni po całym Związku Radzieckim — pracujecie w przemyśle o strategicznym znaczeniu, więc nie głodujecie i jako tako odziami jesteście. Na innych obszarach ZSRR trapią ludzi chorobą i nęka głód. Czy dotarli do Was tragiczne wieści o niektórych boryslawiakach? Nie ma już wśród żywych naszych kolegów szkolnych, doktora Lipy Schuberta (Buchwaltera), nauczyciela gimnazjalnego Kuby Freunda... Los naszych rodzin, które nie uciekły przed hitlerowcami — jeszcze gorszy. Chodzą słuchy o niebывалых okrucieństwach stosowanych przede wszystkim wobec Żydów...”

Takie listy dostawaliśmy.

W ten szczególnie gorący sierpień 1944 roku opanowywała nas coraz bardziej nostalgia, tęsknota za domem, rodzicami, przyjaciółmi... Na podstawie otrzymywanych informacji zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co dzieje się pod okupacją ludobójców XX wieku... A jednak... jednak w głębi naszej świadomości tliła się malutka isierka nadziei.

Czekaliśmy na komunikat o wyzwoleniu naszego miasta, a równocześnie baliśmy się wieści, jakie stamtąd mogą do nas dotrzeć. Dzisiejszego wieczora napięcie sięgnęło szczytu. Jeszcze chwila... Już brzmi powtarzający się sygnał z piosenki Izaaka Dunajewskiego: „Sziroka strana maja rodna...” i:

„Wojska II ukraińskiego frontu wyzwoliły dzisiaj naftowe centrum Boryslaw”.

Był 7 sierpnia 1944 roku.

Oczy wszystkich błądziły po wszystkich. W oczach znak zapytania. Cóż to? Nikt się nie cieszy... Nie ma na ustach nawet uśmiechu. Gdzież ta oczekiwana radość? Jakaś niemota opanowała nas, nieznosna, wręcz trudna do zrozumienia. I tylko trzy spadały — zdawało się z hukiem — na byszczący w blasku księżyc piasiek. „Mamo” — wyrwał się krzyk Betki. Był to krzyk nas wszystkich. Wstał najpierw Szmiłko Fink, jakby ciężar światła na nim spoczywał,

po chwili odeszli Herman Glaser z siostrą Malką i Fryderyk Waldhorn. Ostatni odszedł, opierając się na łasce Mundek Wetz.

★

W tym samym czasie w Boryslawiu...

„Każdy dzień — to wieczność. Tyle czasu do myślenia, do czekania! Coraz częściej słychać odgłos walk, warkot samolotów. Niemcy niszczą tor kolejowy i wysadzają mosty. To dobry znak. Przez szparę schowka na strychu widać uciekające w popłochu niedobitki Herrenvolku. 7 sierpnia wkroczyła Armia Czerwona. Wojska radzieckie przyszły od strony Truskawca. Około 5.00 rano zjawił się na Wolance radziecki oddział zwiadowczy i zatrzymał się na polu Januski. A potem — zmęczeniu, zakurzeni, witani jak zbawcy — w całym mieście. Ludzie — cienie wylegli na ulice opanowane przez upały i żołnierzy. Szukam znajomych, ocalałych twarzy... Są... są... Bromia Feuring, Hela Wagnan, Szymek Nadler, Cesia Backenroth. Jest dużo nieznajomych ze Strzyja, Sambora, Drohobycza. Ukrywali się w bunkrach w lasach, otaczających Boryslaw”. (Ze wspomnień Wikty Dichter)

★

W skwarze dośrodkich sierpniowych dni z niecierpliwością trudną do opanowania, czekamy na wiadomości z rodzinnego miasta. Pozwalamy nadziei poigrać z nami: Niemcy chyba nie zdążyli zabić wszystkich Żydów. Może... może... żyją, może ktoś bodaj z rodziny...

Miejscowa gazeta „Nietanik” z 19 sierpnia 1944 zamieszcza notatkę o tym, że uchodźcy z województw Zachodniej Ukrainy i Białorusi zainicjowali zbiórkę funduszu na budowę samolotu „Nafciarz Boryslawia”. Oddaliśmy na ten cel państwowe obligacje pożyczkowe.

Dwa dni później — pierwsza jaskółka z Boryslawia: telegram. „Żywe zdrowe list w drodze Fenska Róza”

Natychmiast, równocześnie z radością rodzą się logiczne wnioski: więcej z rodziny nie został nikt.

Pod koniec miesiąca nadszedł list: „Prawdziwym cudem dostałyśmy wasz adres. Żyćcie — to cudownie! Jak prawdopodobnie domyśliście się z telegramu... tak.

Już nie przebywamy w schowkach. Wychodzimy na ulice, nie przyzwyczajeni do chodzenia. Szukamy znajomych. Nie wielu ich. Przedwczoraj mignęła mi z daleka obok Karpaciej Bramy moja profesorka z gimnazjum, Bola Klinghoffer. Trochę ludzi poznaję, ale nie pamiętam ich nazwisk.

Tamtego pierwszego dnia nigdy nie zapomnę. Na krawężniku ulicy Kościuski jakaś kobieta o czarnych, kręconych włosach położyła słomiany siennik, którego nie mogła dłużej nieść. Przysiadła na nim, aby odpocząć. Miała na sobie workowaty łach.

— Faj — splunęła przechodząca „estetka” — ty żydowska dziwko! Że też Hitler nie wyrzucił tego całego robactwa!

Pod wieczór wrócił z miasta Marek z tą cudowną wiadomością, że wy żyćcie. To, czego doznałam — było więcej niż radością”.

★

Do Boryslawia wracają niedobitki z obozów i ze Związku Radzieckiego. Niewiele ich. Jedni z pierwszych — to Tonka Lantner, która od razu wróciła do pracy na pocztę i Jakub Egil, znany w mieście lewicowy działacz, współzałożyciel AJAP (Algemajne Jidysze Arbajter Partaj).

★

Wróciliśmy do „domu” w połowie 1945 roku. Zastaliśmy kartofliśka tam, gdzie jeszcze cztery lata temu mieszkali moi rodzice. Miasto nie całkiem pozbyło się okupacyjnego wyglądu. Niektóre odcinki zniszczonych chodników były uzupełnione nagrobkami z żydowskiego cmentarza rękami żydowskich mieszkańców na rozkaz niemieckich uebermenschow.

Olbrzymia poczekalnia białoruskiego dworca kolejowego w Moskwie. Czerwony, upalny dzień. W tłumie czekającym na pociągi przeważają ludzie częściowo jeszcze w wojskowej odzieży, ale bez broni. Z megafonów płynnie pieśń. Jej refren powtarzają setki głosów: „Lubimy gorod drugu ubymioisia, znakomy dom, zielony sad, wesoly wzglad...”

Odtąd melodia i słowa nostalgicznej piosenki towarzyszą nam podczas kilkudniowej podróży do naszego umiowanego miasta... do domu...

Opuściliśmy nasze rodzinne strony po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej.

7 sierpnia 1944 roku nasze miasto zostało wyzwolone spod okupacji hitlerowskiej. Tej radosnej nowiny słuchaliśmy wówczas przez odbiornik detektorowy. Dziwne, ale nie szaleliśmy z radości, jak sobie obiecywaliśmy; pogrążyliśmy się bardziej w zadumie, smutku, myśleliśmy o losie najbliższych. W niepełną miesiąc później do naszego kazachstańskiego osiedla naftowego Dosor dotarł pierwszy list stamtąd.

Jeszcze cały rok byliśmy zdani na szczupłe informacje radiowe i bardziej konkretne wiadomości w listach.

Wreszcie po pokonaniu wielu trudności wracamy. Herman, jego siostra Malka z mężem Frydkiem, no i ja z żoną. Przypadek pozwolił nielicznej garstce ziomków przeżyć ciężki, wojenny okres razem. Zadajemy sobie wzajemnie pytania, raczej retoryczne: czy to miasto, za którym tak tęsknimy, które zjawiało się w naszych snach — nie rozczaruje nas? Niedawno otrzymaliśmy list, a w nim: „przecież

rodzice zawsze wcześniej umierają niż dzieci...” Bardzo to wątpliwa pociecha.

A potem już w „domu” słuchamy okropnych opowieści o akcjach. Że w pierwszej, tuż po wkroczeniu hitlerowców, zginęło 180 Żydów, że w drugiej — łącznie z umarłymi na skutek epidemii — 2 tysiące, w trzeciej — 5 tysięcy...

Lubimy gorod? Ani tu ludzi, ani owego charakterystycznego wdzianu. Las szybów naftowych na Horodyszczu i Ratoczynie, na Potoku i w Tustanowicach tworzy nadal dawny krajobraz, ale tylko pozornie. Znany i zapamiętany odgłos pracy szybów — już nie ten sam. Inny rytm, obcy. Na miejscu wielu dawnych żydowskich domów — kartofliska. Cegły z rozbórki posłużyły do budowy innych domów, przeważnie ukraińskich gospodarzy. Już rok trwa exodus resztki Żydów z Borysławia.

Jakże trafna jest obserwacja niezapomnianej K.: „Są sceny i obrazy, które pamięta się nie dlatego, aby były one nadzwyczajnie ciekawe lub ważne, ale dlatego właśnie, że są one nadzwyczajnie przeciętne” (z listu do mnie). Sprawdza się owa tak prosta i tak trafna myśl, gdy po przejeździe do Borysławia odczuwamy brak tej przeciętnej codzienności, z którą związany był tutejszy folklor.

Dowiadujemy się, że od razu w pierwszej akcji „poszli”:

Mojse Schwarcz „myt di papieren”, we wszystkie pory roku okutany szerokim burнусem z wieloma przepastnymi kieszeniami, które kryły tysiące papierków...

Wiekowa para żebraków Majer Cucak i Rywke Łaje, obowiązkowi goście na każdym weselu...

Josef Icyk Singer, der Marszałyk, bez którego nie do pomyslenia były wesela...

Mendzie Drata (z nazwiska Schwalbendorf). Był pierwszorzędnym weselnym skrzypkiem i razem z bratem oraz przyjacielem który wybił takt na bębnie, tworzyli „dy kapele fun Mendzie Drata”... Alter Tap albo „Alter mach a lejbn” — nosiwoda. Jego przewisko wzięło się z nalogu dotykania ramion przechodzących kobiet, co mu wystarczało do seksualnego wyzyska się...

Jeszcze? Dajmy spokój... Tętno i tak bije szybciej niż trzeba. Krążyć po mieście w poszukiwaniu ginących śladów.

Wiatr unosi pozostały arkusz papieru. Nogą zadržymałem. Kawałek gazety „Głos Drohobycko — Borysławski”. Ocalała notatka: „Kierownictwo wakacyjnej kolonii szomrowej gniazd Drohobycka i

ŚMIERĆ CMENTARZA

Umarłych wieczność dotąd trwa,
dokąd pamięcią się im płaci...
Wisława Szymborska

Borysławia składała tę drogą podziękowanie p. Langsteinowi, zarządcy manipulacji i eksploatacji lasowej firmy J. J. Ph. Giesinger w Brosznieowie za bezinteresowne udzielenie pomieszczenia dla uczestników kolonii w Darowie, tudzież za liczne starania pp. Zimmermanowi, Glaserowi, Magerowi i Puzetowi...

Boże! Przecież byliśmy tam w Darowie, na tej kolonii szornowej. To było... to było w 1926 roku.

Jeszcze jeden aneks do wspomnień.

Ziomkowie spotykani w Izraelu na dorocznych Azkarot hołubią w pamięci obraz miasta, które opuścili czterdziści i więcej lat temu.

Obecnie jest ono zupełnie inne. W liście napisanym w lutym 1985 po powrocie z Borysławia, dzisiaj mieszkanka Świdnicy pani Gena opisuje aktualny obraz miasta:

„Zburzono wiele domów, aby na ich miejscu wznieść blokowe budynki, przeważnie czteropiętrowe. Jest dużo skwerów zieleni. Dworzec kolejowy (osobowy) nie istnieje, pozostałe tory służą tylko do celów przemysłowych. Komunikacja międzymiastowa odbywa się autobusami. W Schodnicy odkryto źródła wody „Naftusia”, podobno skuteczniejsza niż truskawiecka. Schodnicę, która służyła z dobrej, lekkiej ropy naftowej czeka kariera kurortu. W Borysławiu jeszcze jest ropa naftowa, ale eksploataują ją ze starych otworów. Kiwałki (tak autorka listu określa tak zwane końskie łby) pompują ropę automatycznie. Szybów naftowych nie ma, co znaczy, że nie prowadzi się nowych wierceń. W mieście powstały nowe zakłady przemysłowe, jak fabryki farb i lakierów, fabryka porcelany. Kościół na Wolance i w Mrażnicy służą jako magazyny meblowe. Nie ma tu chuliganów, bo jeśli ktoś broi, strzygą mu włosy na pałę, dają taczke, miotłę i łopatę i pędzą do zamiatania ulic...”

Trudno... Ktoś mądry powiedział: „Każdy z nas przywiązany jest do swojej przeszłości, jak pies do łańcucha”.

Jeśli tak — zachowajmy we wspomnieniach miasto, jakie pamiętamy. Naszym wnukom przekazamy strofy piewcy Zagłębia Naftowego, Juliusza Witaa:

...nie uczyłem się nigdy miłości na pamięć
jednak bez przerwy powtarzam
szyby, szyby, szyby
hasple i liny
świdry, cysterny, maszyny
soczysta antyczna ziemia
człowieku piękniejszy niż wybuch

Limanowska tloka ciągnęła się daleko, hen, w pobliże Bani Kotowskiej i wzdłuż gościńca prowadzącego do Drohobycza. Spory obszar toki, niewidoczny z tej drogi, ówczesny właściciel, Dawid Lindenbaum ofiarował Żydowskiemu Klubowi Sportowemu „Kadimah”. Powstał tam pierwszy w zagłębiu naftowym stadion, gdzie amatorzy piłki nożnej i innych dyscyplin sportowych przeżywali niezwykle emocje.

Z limanowską tloką sąsiadowała rafineria nafty „Schutzman”. Naprzeciw niej, dokładnie naprzeciw, widniał sztyl konkurencyjnej rafinerii „Lieberman i Marmelstein”. Obie bliźniaczo do siebie podobne pod względem technologii i wachlarza produkcyjnego. Ot takie sobie „kwece”, jak wówczas nazywano małe przedsiębiorstwa tego rodzaju.

Po wejściu w roku 1939 wojsk radzieckich, obie rafinerie zostały zjednoczone, a wspólna nazwa brzmiała: „Nieftiepiegonnyj Zawod Nr 19”.

Ród Liebermanów był — i w nowych okolicznościach — reprezentowany przez poważnego fachowca w dziedzinie transportu ropy naftowej i produktów jego przerobu. Był reprezentowany — to znaczy, że nowa radziecka dyrekcja nie zwolniła go... właśnie ze względu na jego fachowość. Pracował więc, mimo że zdrowie nie bardzo mu dopisywało. W ciężkich chwilach nie opuszczało go nawet poczucie humoru. Zdarzyło się, że w biurze zastał, powiódł wzrokiem po otaczających go towarzyszach pracy, uśmiechnął się i powiedział: wskazując palcem na okno: — No, cieszę się, że nawet jak umrę, będę blisko n a s z e j drogiej rafinerii.

Za oknem widać było mury okalające cmentarz.

Ludzie się rodzą i umierają

Dzieje tego żydowskiego cmentarza, założonego na terenie ofiarowanym przez Dawida Lindenbauma, właściciela prawie całego ówczesnego Borysławia, nie sięgają zamierzonych czasów. „Żywot” tego cmentarza ograniczył się zaledwie do kilkunastu lat. Powstał w 1886 roku, gdy miasto liczyło przypuszczalnie około 7550 Żydów na ogólną liczbę (przypuszczalnie) 10000 mieszkańców.

Prawa natury są nieublagane. Ludzie rodzą się, ale i umierają. Przed upływem XIX wieku borysławskich Żydów nawiedziła większa niż zwykle śmiertelność. Przyczynił się do niej przede wszystkim pierwszy kryzys w przemyśle naftowym. Ponad 2500 żydowskich robotników w kopalniach nafty i kopalniach wosku ziemnego straciło pracę. Do ich domów wkrał się głód i towarzyszące mu choroby. Nędza wzrosła porą zimową, gdy i opał zabrakło. Na cmentarzu groził brak wolnych kwater.

Okolo 500 rodzinom udało się wyemigrować za chlebem. Ostatcznie w roku 1900 Borysław liczył 10650 mieszkańców, w tym 5950 Żydów, czyli 55,9 procent.

Dopiero w 1913 roku nastąpiło poważne powiększenie powierzchni cmentarnej. Burmistrzem miasta był wówczas Lipa Schutzman, zamożny przemysłowiec i działacz społeczny. Częściowo za jego sprawą drohobycki kahał, wyasygnował odpowiednią kwotę na pokrycie tej inwestycji. Pochowaniem zmarłych zajmowało się towarzystwo ostatniej posługi „Chewra Kadisza”, z siedzibą w Borysławiu, podległe jednak kierownictwu w Drohobyczu.

Taki stan trwał jeszcze 15 lat.

Borysławskim Żydom ciążyło zwierchnictwo drohobyckiego kahału. W wyniku starań w lwowskim Urzędzie Wojewódzkim powstał w Borysławiu samodzielny, niezależny kahał, który rozpoczął swą działalność 8 kwietnia 1928 roku.

W tym czasie pełnił obowiązki prezydenta miasta Elias Klingenhofer, który poparł w Urzędzie Wojewódzkim starania żydowskiej społeczności. Prezesem Rady Gminy Wyznaniowej został Leon Kaufman, przewodniczącym zaś kierownictwa kahału — Leon Schutzman. Po pięciu latach rozpisano wybory. W ich rezultacie

ukonstytuowało się kierownictwo gminy wyznaniowej w sierpniu 1934 roku. Przewodniczącym został Leon Schutzman, jego zastępcą Elias Klingenhofer. W skład zarządu weszli: rabin dr Jakow Awigdor, Abraham Abraham, Oziasz Mordechaj Eisenstein, Lipa Feuerberg, Mendel Freund, Dawid Greber, Eizyk Holzman i Józef Schmer. Skład Rady Gminnej ustalili się następująco: Przewodniczący Maks Stern, jego zastępcą Abraham Gurfinkel, członkowie Rady: Majlech Backenroth, Samuel Bloch, inżynier Eliezer Lippe, Nahum Jolles, Mozes Lerman, Fajwel Melzer, Nahum Roth, Dawid Scheinfeld, Abraham Segal, Markus Sternbach.

Od samego początku istnienia samodzielnego kahału w Borysławiu poświęcano wiele uwagi i troski sprawie odpowiedniego utrzymania cmentarza.

Nieśmiertelnymi — zdawało się — pracownikami „Chewra Kadisza” byli grabarz Mojse Aaron (miał kto znał jego nazwisko) i Mojse Aszman, zwany Mojse Metamed. Jego funkcja polegała na zbieraniu datków od uczestników pogrzebów. W tym celu potrzasał on białą puszką i monotonnym głosem nawoływał do okazania miłosierdzia.

A potem... potem była wojna.

Działalność na cmentarzu „ożywiła się” natychmiast po wkroczeniu hitlerowskiej armii do Borysławia.

Ludzie się rodzą i są zabijani

Gina Wieser zeznaje (Yad Vashem, tezcza nr 1052/55): „W ciągu 24 godzin trwania pogromu (patrz tekst *Jedenaste: nie zapomnij!*) zginęło 180 ludzi (...) Wszystkie znasakrowane trupy zgromadzono na cmentarzu żydowskim i tam spędzono ludzi do ich grzebania, przy czym znowu kilkunastu zabito...”

— Bywały dni — wspomina Dunio Wolf rok 1942, rok wielkiego głodu — gdy umierało dziennie 20-30 Żydów, nie licząc zabijanych przez ukraińskich bandytów i hitlerowskich zbirów w lasach tuszanowickich i mrażnickich i tam grzebanych we wspólnych mogiłach. W ciągu 10 miesięcy pochowano na żydowskim cmentarzu około 1000 zmarłych śmiercią „naturalną”. Obowiązywał ostry zakaz

stawiania nagrobków lub choćby tabliczki z nazwiskiem nieboszczyka. Na grobie wolno było jedynie wetknąć deszczukę z kolejnym numerem pogrzebanego.

Bolesne wspomnienie wywołuje na twarzy Dunia Wolfa grymas, jakby mu się znowu zbierało na płacz.

— To był straszny dzień, tamten poniedziałek. Ojciec nasz, Mendele Wolf poszedł na pocztę, aby wysłać list do Wiednia. Bardzo długo czekaliśmy na jego powrót, a gdy znalazł się nareszcie w domu... Boże! Mam to stałe dotąd przed oczyma... Twarz była jedną wielką krwawiącą raną... brody już nie miał... ubranie w strzępach. Ledwie wyszeptał: „Ukraińscy policjanci...” Na drugi dzień, 15 kwietnia 1942 odprowadziliśmy naszego ojca na wieczny odpoczynek. Nasz ojciec otrzymał numer 980.

Pamięcią płacić

Pewnego dnia w roku 1959 mała, pozostała jeszcze przy życiu garstka żydowskich autochtonów w Borysławiu pod władzą ZSRR, dowiedziała się, że bramy cmentarza, na którym pochowani są zmarli członkowie ich rodzin, zostały zamknięte.

Cmentarz żydowski w Borysławiu skończył swój „żywot” zaledwie po 74 latach istnienia.

W bramy cmentarza wjechały ciężkie maszyny, koparki, ekskavatory, walce drogowe. Wywieziono wiele, bardzo wiele ziemi, zmieszanej ze szczątkami naszych bliskich i dalszych krewnych, przyjaciół, znajomych. Beton pokrył zniwelowaną powierzchnię, pod którą... pod którą...



Limanowska tloka rozciąga się nieopodal byłego żydowskiego cmentarza. Zajmuje nieporównywalnie większy obszar od niego. Budowa centralnej stacji autobusowej na owej tloce kosztowała by dużo mniej pracy, wysiłku i dużo mniej rubli.

Na pocmentarną stację wjeżdżają setki pojazdów...

Pod ich kołami — WIECZNE ODPOCZYWANIE...

INDEKS NAZWISK

Albertach Chaim, jeden z pierwszych graczy Studenckiego Klubu Sportowego SWIT w Borysławiu
Abraham Abraham, członek zarządu kahału, w latach trzydziestych Ajzyk Malach, przeciwnik; mało kto znał jego prawdziwe nazwisko
Alterman Nathan, poeta
Altorn Szymon, tębak, współwłaściciel łapaczki ropy
Alter Tap, przeciwnik, pod którym go znano
Astman-Dichter Wikta, członkini Żydowskiego Klubu Sportowego KADIMAH, w *Pierwszy dzień i...* poem — fragment jej wspomnień
Astman Mojżesz, nazywany Mojżesz Melamed, zbierał datki na cmentarzu Awigdor Jakow di, rabin, członek zarządu kahału w latach trzydziestych
Bachman Donicia, jedna z ofiar gruźlicy, na którą w krótkim czasie umarło w Borysławiu wiele młodych dziewcząt
Backenroth Hesia, członek Żydowskich Klubów Sportowych w Borysławiu
Backenroth-Scheiner Cesia, gimnastyczka ZKS KADIMAH, po wielu latach wspomina o niej autor w związku z książką Melecha Schiffa *Łosć Borysław*
Bander Brucha, borysławianka, o której wspomina w swej książce Melech Schiff
Bander Elo, członek zarządu ZKS HAKOACH
Bauer Bercio, jeden z grupy szomrowej Dolki Kleiner
Bauer Kuba, lekarz, w młodości członek zarządu ZTS HAKOACH
Bauer Marian, jeden z pierwszych graczy SKS SWIT
Bauer Tusia, uczennica Edmunda Semila
Begeliter Janek, instruktor tenisowy ZKS KADIMAH, trener piłkarzy i gimnastyków
Beitz Berthold, dyrektor przemysłu naftowego w Borysławiu w latach 1941-1944; prezes Fundacji Kruppa, często bywał w Polsce
Berger, piłkarz Kadimy
Bialik Chaim Nachman, poeta
Birnan Artur, jeden z wielu uratowanych przez Bertholda Beitz
Bieberg Fanka, p. Fichman Fanka
Bloch Beki, p. Meisels Beki

Bloch Dońcia, członkini ŻKS KADIMAH
 Bloch Elio, członek zarządu ŻTS HAKOACH
 Bloch Heti, p. Held Heti
 Bloch Herman, przedsiębiorca borysławski
 Bloch Icyk, udostępnił pomieszczenia Klubowi KADIMAH
 Bloch Mleik (Wegner), członek sekcji gimnastycznej ŻKS KADIMAH
 Bloch Samuel, członek Rady Gminnej
 Boger (Bugraszow) dr., przewodniczący oddziału Ogólnych Syjonistów w Tel-Awivie
 Brunnengraber Chana, właścicielka terenów bogatych w ozokeryt
 Buchsbaum Ignacy, członek Zarządu Dóbr Towarzystwa Spadkobierców Dawida Lindenbauma
 Buchwalter Lipa, jeden z pierwszych graczy SKS ŚWIT
 Burg Mosze, członek zarządu ŻTS HAKOACH
 Burg Szymek, członek zarządu ŻTS HAKOACH
 Chlewiński Adam, ksiądz katecheta w gimnazjum w Borysławiu
 Chociej Jan, polonista gimnazjum w Borysławiu
 Dichter Ania, borysławianka, wyemigrowała do USA
 Dienstag Ulek, jeden z pierwszych graczy SKS ŚWIT
 Dobiszewska-Smitelska Józefa, autorka artykułu w „Kłosach” z 1873 roku p.t. *Miasto Drohobycz i jego okolice*
 Doerfler Hersz, zwany Alter Kowal
 Doerfler Mendzio, członek sekcji gimnastycznej ŻKS KADIMAH zastrzelony przez esesmana na krótko przed wyzwoleniem
 Doerfler Tunda, świadek przeciwko esesmanowi Hildebrandowi na procesie w Bremie
 Drozd Andrzej, właściciel ropodajnych terenów w Borysławiu
 Dawyd Bojko, przeciwnik, nazwiska zapomniano
 Dziędziec Stanisław, zginął wraz z Żydami, którym usiłował pomóc
 Egit Jakub, jeden z pierwszych powrócił z ewakuacji; tym co przeżyli okupację w Borysławiu przywiozł wiadomości o tych, co przeżyli w Związku Radzieckim
 Eidman Chawka, gimnastyka ŻKS KADIMAH
 Eidman Marek p. Weiss Mordechaj
 Eisenstein Blum, jeden z pierwszych graczy SKS ŚWIT, członek zarządu ŻTS HAKOACH
 Eisenstein Orjasz Mordechaj, członek zarządu kahanu w latach trzydziestych
 Engelberg Milka, siatkarka ŻKS KADIMAH
 Federbusch Dora, uczennica Edmunda Semila
 Federbusch Klara, uczennica Edmunda Semila
 Feigler Oskar, jeden z chóru rewelersów Bumka Straussa
 Feidinger Benio, członek żydowskich klubów sportowych w Borysławiu
 Feidinger Rutka, gimnastyka, lekkoatletka ŻKS KADIMAH
 Feryczka Rubin inż., członek Kadimy
 Feuerberg Lipa, członek zarządu kahanu w latach trzydziestych
 Feuring Bronia, jedna z tych, co przeżyli okupację w Borysławiu
 Fichman Fanka, gimnastyka ŻKS KADIMAH
 Fichman Rachka p. Gartenhaus Ruchka
 Fink Roźka, siatkarka ŻKS KADIMAH

Fink Stella, poważna i stateczna siostra pełnych temperamentu, poświęcających wiele czasu sportowi — Różki i Wiśki Fink
 Fink Szmilko, borysławianin, przywiał grupę borysławską, która latem 1941 dotarła do Kazachstanu
 Fink Wiśka, siatkarka ŻKS KADIMAH
 Fiszal Stefan, kompan Hersza Jaśki
 Fleischer Josef, kibic Kadimy
 Fleischer Marek p. Zwillich Maciek
 Freilich Mendzio, śpiewał w chórze rewelersów Bumka Straussa
 Freund Dońcia, jedna z młodziutkich ofiar gruźlicy, która w krótkim czasie pochłonęła w Borysławiu wiele ofiar
 Freund Kuba, w latach 1939-1941 uczył w borysławskim gimnazjum, umarł w czasie ewakuacji
 Freund Mendel, członek zarządu kahanu w latach trzydziestych
 Friedlaender Icyk, przewodniczący szkoły, zwanej Talmud-Tora
 Friedlaender Michał dr., profesor języka niemieckiego i historii w borysławskim gimnazjum
 Friedland Gecek, członek sekcji narciarskiej i gimnastycznej, bramkarz ŻKS KADIMAH
 Frisch Moł, kibic Kadimy
 Gartenberg, właściciel tartaku
 Gartenberg Belo, uczeń gimnazjalny, uczestnik dyskusji w Żydowskim Związku Zawodowym Pracowników Budowlanych
 Gartenberg Luzer, współwłaściciel tartaku
 Gartenberg Mosze, brat Luzera, współwłaściciel tartaku
 Gartenhaus Dawko, piłkarz ŻKS KADIMAH
 Gartenhaus Rachka, sponsorka z Kadimy
 Gaster Mosze dr., londyński rabin
 Gesten Jankeł, właściciel warsztatu stolarskiego
 Gertler Dawid, skarbnik ŻTS HAKOACH
 Ginsburg Ciuło, bramkarz ŻKS KADIMAH
 Ginsburg Moł, piłkarz ŻKS KADIMAH
 Gitter Chaszciel, piłkarz i członek sekcji ping-pongowej ŻKS KADIMAH
 Giza Stanisław, autor książki o Borysławiu *Na ekranie życia*
 Glaser Herman, w latach 1941-1945 pracował w przemysle naftowym w Kazachstanie
 Gładysz Michal, profesor matematyki w borysławskim gimnazjum
 Goldammer, rodzina, w której domu ropa pojawiła się na podłodze
 Gorecki Marian, jako dziecko uratowany przez Michalina Tusiewicz, profesor w Instytucie im. Weizmana w Rechowol
 Górniak Stefan, gospodarz stadionu Kadimy, uratował życie kilkunastu Żydom
 Greber Dawid, członek zarządu kahanu w latach trzydziestych
 Grinberg Uri Cwi, poeta
 Grodzicki August, autor książki *W teatrze życia*
 Gruber Burech, jeden z pierwszych osadników w Borysławiu
 Grynberg Jakow, współorganizator nielegalnej emigracji do Palestyny

Grzegorzcyk Olga Helena, uratowała kilkanaścioro Żydów, Sprawiedliwa
 Wśród Narodów Świata
 Grzegorzcyk Władysław, wraz z żoną uratował kilkanaścioro Żydów, Spra-
 wiedliwy Wśród Narodów Świata
 Gurfinkeł Abraham, zastępca przewodniczącego Rady Gminnej
 Gutman Dawid, (Duydył) Ritter von, wraz z bratem Wilhelmem właściciel
 kopalni węgla, zakładów metalurgicznych
 Gutman Wilhelm (Weilwe) Ritter von, p. wyżej
 Haberman Bina, córka Fisza, siostra Józefa, świadek w procesie w Bremie
 przeciw esesnanowi Hildebrandowi
 Haberman Fiszel, zastępcy na trzy dni przed ucieczką Niemców z
 Borysławia
 Haberman Józef, syn Fisza, p. wyżej
 Hahn Samuel Ritter von, generalny dyrektor Landesbank, przewodniczący
 wiedeńskiej żydowskiej gminy wyznaniowej
 Hauser Lonek, członek ZKS KADIMAH, pianista
 Hauser Munio, jeden z pierwszych graczy SKS SWIT, lekarz
 Heimerberg Hebl, właściciel pierwszej prawdziwej piłki na polu Schorra, jeden
 z pierwszych graczy SKS SWIT, członek zarządu ZTS HAKOACH, piłkarz,
 instruktor Kadimny, muzyk
 Held Betka, siostra autora, wraz z nim na ewakuacji w Kazachstanie
 Held Hetti, mieszkanka Podwórza, żona autora, w latach 1941-1945 razem z
 nim w Kazachstanie
 Henefeld Alka, gimnastyka ZKS KADIMAH
 Hersz Jasky p. Leiner
 Hersz, baron, założyciel Żydowskiego Towarzystwa Kolonizacyjnego,
 fundator szkoły w Borysławiu
 Hirsch Josef, jeden z uratowanych przez Bertholda Beitza
 Holoch Majer, gospodynie borysławskie czekały niedzielnie na jego
 okrzyk: garnki drutować!
 Holzman Elzyk, członek zarządu kahału w latach trzydziestych
 Holzman Kopel, autor książek o okupacji w Borysławiu: *Ziemia bez Boga i*
Jest! Ciebie zapomnę
 Horbulewicz Leonard, profesor biologii w borysławskim gimnazjum
 Horowitz Mina, uratowana przez Bertholda Beitza na chwilę przez egzekucję
 Horowitz Mosze, autor wspomnienia o uratowaniu żony Miny
 Hulał Mojse Mendl, dowódca wołanieckiej grupy chłopów walczących z
 grupą Biuna Eisenstena na polu Schorra
 Jachimowicz Marian, poeta, autor esaju o artystycznym środowisku Borys-
 sławia
 Jaeger Broniek, piłkarz ZKS KADIMAH
 Jankeł Pańczyk, przerwisko
 Jolles Nabum, członek Rady Gminnej
 Josefberg Sreł Mojse, jebek, współwłaściciel łapacki ropy
 Kalstein Awrum, jebek, współwłaściciel łapacki ropy
 Karliczi, właściciel Borysławia na początku jego historii
 Katz Karol, współwłaściciel fabryki narzędzi wietnizkich, mecenas młodego
 malarza, Dolka Seiferta

Kaufman Leon, prezes Rady Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Borysławiu
 Kerner Hestio, w czasie wojny należał do „mikroskopijnego kawalka
 Borysławia” w Ahma-Acie
 Kleiner Icyk, właściciel kopalni „Na Kleinerze” i części Podwórza
 Kleiner Jonko, syn Ieki, mieszkaniec Podwórza, w czasie wojny — w
 Ahma-Acie, po wojnie zamieszkał w Kanadzie, uczestnik spotkania sztokhol-
 mskiego u Beld i Kula Meiselsów
 Kleiner-Koc Sumia, gimnastyka ZKS KADIMAH, siostra Dolki Kleiner
 Kleiner-Taubman Dolka, jedna z Podwórza, jako członkini Szomru wyjecha-
 ła do Palestyny, deportowana stamtąd przez władze brytyjskie za komunizm;
 w czasie wojny w Kazachstanie, po 1968 roku wyjechała do Sztokholmu
 Kleinman Maks, członek sekcji gimnastycznej ZKS KADIMAH
 Klinghofer Bole, profesorka niemieckiego w borysławskim gimnazjum
 Klinghofer Eliaz, prezydent Borysławia w latach dwudziestych, wice-
 przewodniczący kahału w latach trzydziestych
 Kneppel Szumi, uczestnik „mikroskopijnego kawalka Borysławia” w Al-
 ma-Acie w latach 1941-1945
 Koc Olek, mąż Sumi Kleiner
 Koch Natan, kibic Kadimny
 Kohl Mosze, współorganizator funduszy potrzebnych dla przeprowadzenia
 nielegalnej emigracji do Palestyny pod koniec lat trzydziestych
 Kreisberg, właściciel tartaku
 Kreisberg Maks, bramkarz ZKS KADIMAH
 Krochmal Maks, piłkarz ZKS KADIMAH
 Krodchal Mundzo, borysławianin, obecnie mieszka w Nowym Jorku
 Kudisch Fryc, członek sekcji gimnastycznej ZKS KADIMAH
 Kupierberg Rachela, jedna z wielu ofiar gruzicy
 Kuszer Moty, właściciel borysławskiej szkoły tańców salonowych
 Landau Szal Rafal, adwokat pomagający żydowskiemu podziemiu w emigracji
 Langerman Chajk, matka Markusa (p. Langerman Markus), zwana dla swej
 bogobojności i mądrości *dy rebymyn*
 Langerman Markus, profesor religii w borysławskim gimnazjum
 Langner Herbert, członek sekcji narciarskiej i gimnastycznej ZKS KADI-
 MAH
 Lanter Tonka, urzędniczka na poczcie
 Leiner, znany jako Hersz Jasky, przywódca tzw. *wojny jynge*, motorowych
 chłopaków, czasem zabierał zamożniejszym i dawał biedniejszym
 Leiner Rajzele, pisał o niej Melech Schiff w swej książce o Borysławiu
 Lerman Mozes, członek rady Gminnej
 Lew Zygmunt, aktor „Habimny”, zorganizował we Lwowie żydowski zespół
 teatralny
 Lichtgarn der Rojfe, przerwisko
 Lichtgarn Dolek, muzyk
 Lieberman Izrael, właściciel studzien oleju skalnego i wosku ziemnego
 Lindenbaum Dawid, pachciarz, potem właściciel ziemski w Kropiwniku i
 Borysławiu
 Linhard, cukiernik
 Lippe Eliezer, inżynier, członek Rady Gminnej

Lipschewicz Srał, działacz kahanu
 Litman Srałek, jeden z pierwszych graczy SKS ŚWIT
 Lusk Józef, jeden z pierwszych graczy SKS ŚWIT, członek ŻKS KADIMAH, flecista
 Laib Bazar, przezwiśko, nazwiśka zapominano
 Lukasiiewicz Ignacy, twórca przemysłu nafiowego w Polsce
 Majer Cwack (przezwiśko) i Ryfka Łaje (jej nazwiśka także nie znamo), para żebaków, bez których nie odbywało się żadne wesele
 Majewska Genowefa, uratowała troje Żydów, mieszka w Świdnicy, często jeździ do Borysławia, stąd jej opis dzisiejszego miasta; Sprawiedliwa Wśród Narodów Świata
 Malz Józef, muzyk, nauczyciel gry na skrzypcach
 Malach Ajzyk, kibic, podarował Kadimie lokal na klub
 Markowska Jadwiga, borysławska działaczka PPS, w czasie okupacji organizowała w Warszawie pomoc dla Żydów
 Maurer Josi, aktor, zrobił karierę w Buenos Aires
 Maurer Mechl, mówiono o nim Mechl Szuster (szewc)
 Meisels, reżyser „Wileńskiej Tupy”
 Meisels Beki, szwagierka autora, wraz z nim i jego żoną na ewakuacji w Kazachstanie. Od 1969 roku w Szocholimie, u niej i jej męża Kula odbyło się w 1978 roku spotkanie borysławian
 Meisels Kulo, członek żydowskich klubów sportowych w Borysławiu, gospodarz stołolimskiego spotkania borysławian w 1978 roku
 Meisels Michal dr, prokurent nafiowej firmy „Petrolea”, prezes ŻKS KADIMAH
 Melzer Faywel, członek Rady Gminnej
 Mendel Czarny, przezwiśko
 Mendel Foma, przezwiśko
 Mendel Rado, przezwiśko
 Miller Fajge Myndl, szwaczka, matka Ieka Millera
 Miller Icyk, elektryk, samouk, wielki miłośnik książek
 Miller Mordechaj, murarz, ojciec Ieka
 Miller Moszko, młodszy brat Ieka, w czasie wojny odnależli się w Alma-Acie
 Mojsze Aton, nie znamo jego nazwiśka, grabarz
 Monal Faywel, iebak, współwłaściciel łapaczki ropy
 Murzakow Nahum, kibic Kadimy
 Nadler Łuzer Hertz, jeden z pierwszych osadników w Borysławiu
 Nadler Szymek, mieszkaniec Podwórze, przeżył okupację w Borysławiu
 Nahutowski z Nahutowic, właściciel Kropiwnika
 Neuman Henryk, członek Zarządu Dóbr Towarzystwa Spadkobierców Dawida Lindenbauma
 Oberlander Józef, znany pod przezwiśkiem Kukumuc, właściciel cukierni, w której zbierali się kibice Kadimy
 Ober Wólko, członek sekcji gimnastycznej ŻKS KADIMAH
 Okerman Szamó, piłkarz ŻKS KADIMAH
 Olesnik Stefan, w czasie okupacji ukraiński policjant
 Parnes Izio, piłkarz ŻKS KADIMAH
 Patry-Grabowska Alicja, poetka

Perlman Hesió, uczeń gimnazjum w Borysławiu, wykładowca w Uniwersytecie Jerozolimskim
 Pfeferbaum Mades, piłkarz ŻKS KADIMAH
 Porembalski Tomasz, autor *Wspomnień nafiacza*
 Rajzman Eliaz, poeta
 Rand Szymek, sportowiec z Kadimy, dyplomowany instruktor sekcji lekkoatletycznej
 Rapp Dinka, dziewczyna znana w Borysławiu z urodę
 Ratner Marek, autor nie wydanej powieści o Borysławiu, uczeń Edmunda Semila
 Reich Zalman, iebak, współwłaściciel łapaczki ropy
 Reif Nissim, właściciel warsztatu stolarskiego w Borysławiu
 Reinke Renate, autorka książki *Aniwoie, Mensch!*
 Remer Tadasz, dyrektor gimnazjum w Borysławiu
 Respler Mundzio, członek sekcji gimnastycznej ŻKS KADIMAH
 Ringler Maurycy, autor dziennika, w którym opisuje m.in. rolę Bertholda Betza w ratowaniu borysławskich Żydów, inżynier, wynalazca
 Rischeles Eli, kompan Hertsza Jasky
 Rojke Laibysz, przezwiśko
 Rojski, profesor matematyki w borysławskim gimnazjum
 Rosenschein Dolek, członek żydowskich klubów sportowych w Borysławiu
 Rosner Jankele, znano go pod przezwiśkiem Kejs (ser)
 Roth Jakub, właściciel tartaku, kibic Kadimy
 Roth Nahum, członek Rady Gminnej
 Rothschild Salomon Meir, milioner
 Russ Gustaw, jeden z uratowanych przez Bertholda Betza
 Russ Mielek, sekretarz borysławskiego komitetu Do not forget w Tel-Awivie, podczas spaceru z rodziną zastrzelony przez Araba, brat Gustawa
 Samet Lonek, lekarz, po wojnie została w Borysławiu
 Samueli-Czaban Fanka, po wojnie została w Borysławiu
 Samueli, Aton, dyrektor Zarządu Dóbr Towarzystwa Spadkobierców Dawida Lindenbauma
 Samueli Uszer, wiertacz w Borysławiu i na Sumatrze, właściciel firmy „Tekrin”
 Samueli Józef, zawodu nauczyciel się w warsztatach inżyniera M. Ringlera. Po przyjeździe do Izraela — ceniony fachowiec w warsztatach w Afuli. Mieszka w Nazarecie, gdzie mówi o nim, że „wszystko potrafi”.
 Schaller Hertz, jeden z pierwszych graczy SKS ŚWIT, członek zarządu ŻTS HAKOACH, lekarz
 Schaller Mianek, starszy brat Hertsza, prezes Klubu SKS ŚWIT, członek zarządu ŻTS HAKOACH
 Scheinfeld Dawid, członek Rady Gminnej
 Schiff Dancio, założyciel amatorskiego koła dramatycznego w Domu Żydowskim
 Schiff Lipa, brat Melecha, p. Schiff Melech
 Schiff Miasza, żona Melecha, winianka „zrażona Borysławiem”
 Schiff Marylda, najstarsza siostra Melecha, sprowadziła go do Kanady

Schiff Melech, autor książki o swej młodości — *Lost Boryslaw*, wydanej w Nowym Jorku w 1977 roku

Schiff Usher Mordechaj (Tunio), gimnazjalny poeta, potem dziennikarz, działacz syjonistyczny, sędzia grodzki w Tel-Awiewie

Schlesinger Albert, bywalec Podwórza

Schnesselfeld—Sidor Fiszel, p. Sidor Fiszel

Schmer Hertz, jeden z pierwszych graczy SKS ŚWIT, członek zarządu ZTS HAKOACH

Schmer Józef, członek zarządu kahału w latach trzydziestych

Schreiber Mozes, członek Zarządu Dóbr Towarzystwa Spadkobierców Dawida Lindenbauma

Schreiner, ojciec Abrahama (p. Schreiner Abraham), producent świec z wosku ziemnego

Schreiner Abraham, pierwszy rozpoznał w Boryslawiu destylację ropy naftowej

Schreiner Blima, matka Abrahama

Schubert Lipa (Buchwalter), lekarz, umarł w czasie ewakuacji

Schnitz Bruno, pisarz

Schutzman Leon, przewodniczący kahału w latach dwudziestych i trzydziestych

Schutzman Lipa, furman w kopalni wosku ziemnego, potem urzędnik w tej kopalni, przedsiębiorca, właściciel kopalni ropy, rafinerii, burmistrz Boryslawia, prezes i wiceprezes wielu towarzystw przemysłowych, filantrop, wojnę przeżył jako szewc w Związku Radzieckim, umarł w Gdańsku.

Szwabendorf Mendzie Draela (przezwisko: Mendzie Draela), skrzypek grający na wszystkich weselach

Schwarz Mojse, znana postać boryslawska zwana *Mojse myi di papieren*, bo nosił przy sobie tysiąc papierów

Seeman Icyk, ojciec Melecha Schiffa

Seeman Surele, matka Melecha Schiffa

Segal Abraham, członek Rady Gminnej

Seidman Munio, jeden z pierwszych graczy SKS ŚWIT

Seifert Awramko, skrzypek, asystent w Krakowskim Konserwatorium

Seifert Berl (Rojle — przezwisko), fryzjer i felczer

Seifert Dolek, malarz, absolwent Akademii Sztuk Pięknych, wysłany przez przemysłowca boryslawskiego na stypendium do Paryża

Semil Edmund, profesor w gimnazjum boryslawskim, dziennikarz, dyplomata

Sender Pyryk, przezwisko

Shalit Jael, poetka

Sidor Fiszel, autor zbioru przezwisk boryslawskich Żydów

Singer Josef Icyk, nazywany Marszałek, mistrz ceremonii na wszystkich weselach

Sobel Zenek, członek sekcji narciarskiej i gimnastycznej ZKS KADIMAH

Sperber Miso, członek żydowskich klubów sportowych w Boryslawiu

Staff Leopold, poeta

Stein Mojse Wolf, jebak, współwłaściciel łapaczki ropy

Stern Maks, przewodniczący Rady Gminnej

Sternbach Izak, filolog klasyczny, przekłóżył *Pana Tadeusza* na łacinę i przekład ofiarował Piusowi XI

Steinbach Marjusz, członek Rady Gminnej

Stetel Isak, inżynier, autor wiersza *Siedem mogli*

Strasser Wilek, zaprzyjaźniony z młodymi mieszkańcami Podwórza

Strauss Bunek, muzyk, kompozytor i autor przebojów

Szulmierski Filip, współwydawca *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*

Szajome Łapundyk, przezwisko

Szonski Abraham, poeta

Szyje Goj, przezwisko

Szymborska Wisława, poetka

Tassis Aron, uczeń Edmunda Semila

Taubman Jurek, syn Dolki, p. Kleiner-Taubman Dolka

Taubman Lidka, zona Jurka

Taubman Maryla, córka Dolki, p. Kleiner-Taubman Dolka

Taubman Eleazar, pisarz, poeta, nauczyciel

Thaler Heszio, jeden z chóru rewelersów Bunka Straussa

Themanówna, pianistka

Tillemann Jicchak Mojse, jebak, współwłaściciel łapaczki ropy

Trudeau Pierre Elliot, premier Kanady

Tuskiewicz-Sudyka Michalina, w latach 1942-1944 opiekowała się Marianem Góreckim i uratowała mu życie, Sprawiedliwa Wśród Narodów Świata

Tuwim Julian, poeta

Uhlenberg Józef, bramkarz ZKS KADIMAH

Wagman-Górecka-Gersten Hela, gimnastyczka ZKS KADIMAH, matka Manana Góreckiego

Wagman Szlomo, piłkarz ZKS KADIMAH

Wahl Barnuch (Buzio), uczeń Maćka Zwiłicha

Wahl Jakub, kierownik kopalni ropy

Waldhorn Frydek, w czasie wojny należał do kolonii boryslawskiej w Kazachstanie

Walewski Władysław, współwydawca *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*

Wechselberg Heszio, piłkarz ZKS KADIMAH

Wegner Adolf, jeden z pierwszych graczy SKS ŚWIT, członek zarządu ZKS HAKOACH

Wegner Henek, członek sekcji gimnastycznej ZKS KADIMAH

Wegner Miliek (Błoch), członek sekcji gimnastycznej ZKS KADIMAH

Wegner Izio, absolwent Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, sportowiec, instruktor

Weinert, nauczyciel gimnastyki w boryslawskim gimnazjum

Weiss Hinda, właścicielka straganu ze słodyczami

Weiss Melech, piekarz

Weiss Mordechaj (Eidman Marek), członek sekcji narciarskiej, ZKS KADIMAH, jeden z pierwszych graczy SKS ŚWIT, członek zarządu ZKS HAKOACH

Wetiz Kaba, wyrzucony z borysławskiego gimnazjum, studia ukończył za granicą, inżynier
 Wetiz Mundek, wiertacz w Kazachstanie, po wojnie w Australii
 Wierzyński Kazimierz, poeta
 Wieser Gina, wiertarka Oświęcimia, jej zeznania złożone są w Yad Vashem
 Wit Juliusz, poeta z Drohobycza, piewca Borysławia
 Wolf Danio, autor wspomnień o okupacji w Borysławiu
 Wołoszyn Sławek, sąsiad autora zyczliwy jego rodzinie
 Woytoń, profesor borysławskiego gimnazjum
 Wierberg Poldek, członek Kadimy, późniejszy lekarz
 Zielona Beltesza, przeczwiśko
 Zucker Tadeusz, bywałeć Podwórza, gdzie urządził seanse spirytystyczne
 Zwiłlich Maciek, malarz, w latach 1939-1941 nauczyciel rysunków w borysławskim gimnazjum, w jego domu bywali Bruno Schulz i Marian Jachimowicz

SŁOWNICZEK

Admeja w'esrim Do stu dwudziestu (lat).
 skcja Tak żydzi w czasie okupacji nazywali pogrom, łapankę, wywózkę do hiterskich obozów zagłady.
 ale-fejs Abecadio, a—b.
 alija Imigracja. W Izraelu nadawano jej nazwy zależnie od roku, w którym nastąpiła: tę z 1956 roku nazywano „gomulowską”, a tę z roku 1968 „moczarską”.
 azkara Pamięć; ziomkostwo borysławskie w Tel-Awiewie co roku w marcu urządza uroczystości żałobne ku pamięci tych, co zginęli w czasie okupacji.
 Bahnschutz Hitlerowski strażnik kolejowy. Do tej służby Niemcy przyjmowali Polaków.
 baraba Obdariusz, wioścęga, żyjący nie zawsze w zgodzie z prawem.
 bar mi cwa Uroczyste świętowane trzynaste urodziny chłopca, który w tym wieku osiąga dojrzałość religijną.
 Barach Biogostawiony (w domyśle) bądź Panie.
 Barach Haszem Biogostawione niech będzie lmię (Boga).
 B'nai B'rith Najstarsza (założona w 1843 roku w Nowym Jorku) i największa żydowska organizacja filantropijna.
 bube Akuszerka.
 cadyk Dosłownie: sprawiedliwy, prawy. Wokół człowieka o takich walo-
 rach duchowych skupia się gmina chasydka.
 chaluć Młody szaryta odbywający praktykę w gospodarstwach rolnych przed wyjazdem do Palestyny.
 cheder Szkoła o charakterze religijnym, w której dzieci (przeważnie chłopcy) uczą się Pisma Świętego.
 Chewra Kaddisha Grupa ludzi przygotowująca zmarłego do pochówku.
 Chimusz Pięcioksiąg.
 chuchym lym der ma nysztaas Chuchym znaczy mądry, mędrzec.
 Ma nyszana — tak zaczynają się cztery pytania, które najmłodsze dziecko zadaje ojcu w wigilię świąt wielkanocnych (Pesach).

Chamasz Modlitewnik na dzień powszedni.

Draj najstarsz Trzy szwachl — tytuł wiersza I.L. Perca.

Erec Israel Ziemia Izraela, Izrael.

hachszara Gospodarstwo rolne przygotowujące młodzień zydowską do pracy na roli w Palestynie.

Hagada Tekst czytany w czasie wieczery paschalnej. Opowiada o wyjściu Żydów z Egiptu.

Haszomer **Hacair** Młody Straznik, organizacja młodzieżowa. Na członka tej organizacji mówiono szomer.

hora Taniec, który szomerzy mieli zwyczaj tańczyć do upadłego. **Irgun** Organizacja, zrzeszenie.

jeszybot Średnia lub wyższa szkoła religijna. **jidysze kepele** Żydowska gwólka.

jiszew Kraj osiedlenia.

Jom Kippur Dzień Pojednania.

Kadysz Modlitwa za umarłych. Tak też nazywają Żydzi pierworodnych synów, którzy mają obowiązek odmaiwiania tej modlitwy za swych zmarłych rodziców.

kahal Gmina Żydowska, jej zarząd.

Kidusz Modlitwa nad winem, uswięcająca sobotę lub święto.

kwuca szomrowa Oddział, grupa. Kwuce nosiły często nazwy wzięte ze świata zwierzęcego. Kwuca Dolki nazywała się dwóra — pszczoła, kwuca autora szaul — lis.

Lamascejach Modlitwa do Zwycięzcy. **lebać** Zbierać ropę z powierzchni wody.

lebak Czołwik trudniący się zbieraniem ropy, najczęści z powierzchni Tymienicy. Do tego celu używał „końskiego ogona” z długich traw lub gamka o dzurkowanym dnie.

lec Kpiarz, wesołek, żartownis. **Machzor** Modlitewnik na uroczyste święta np. Rosz Ha-Szana (Nowy Rok) albo Jom Kippur (Dzień Pojednania).

małach Tak drohobycanie nazywali borystawian **mełamed** Nauczyciel w chederze.

mezuza Zwiłek pergaminu w oprawie, przybity do prawej strony drzwi wejściowych. Pobożni Żydzi wchodząc do domu i wychodząc z niego przyskądają do mezuzy końce palców i całują je.

Midrasz Komentarz do Pisma Świętego, zawierający przepisy religijne, obyczajowe, etyczne.

minian Co najmniej dziesięcioosobowa grupa dorosłych Żydów, która ma prawo odprawiać pewne modlitwy i obrzędy.

mykwa Łażnia rytualna. Kiedyś wznoszono ją nad źródłem.

numerus clausus Ograniczenie liczby zydowskich studentów na polskich uczelniach. Na niektórych wydziałach stosowano numerus nullus i tam wcale nie przyjmowano Żydów.

olim Imigranci.

Organizacja Ogólnych Syjonistów w Liberałowie.

parassa Utrzymanie, zarobek, dochód. **Parnasa** — mówili aszkenazyjczy (Żydzi pochodzenia środkowo- lub wschodnioeuropejskiego). **Parnusy** — mówili sefardczy (Żydzi pochodzący z Półwyspu Iberyjskiego). **Pesach** Święto Paschy.

Parim Święto upamiętniające ocalenie Żydów przez Estera, żonę Kserksesa.

reb Pan. Dodaje się do nazwiska, żeby rozmówcy okazać szacunek. **rebejcy** Żona rabina. Czasem tak nazywano kobiety mądre i bogobojne.

Rosz Ha-Szana Święto Nowego Roku. **roffe** Dosłownie: lekarz. Tak nazywano w Borystawiu felcerów i fryzjerów, którzy stawiali banie, przystawiali pijawki, usuwali zęby.

Sefer Jizkor Księga Pamięci.

Sidur Modlitewnik na dzień powszedni.

Sochnut Agencja zydowska.

szabas Sobota.

szolwerki i **Tanie** cukierki podobne do dzisiejszych cukierków nazywanych urykami.

talles Biała chusta w czarne pasy, którą Żydzi nakładają na siebie podczas porannej modlitwy.

Talmud Dosłownie: nauka, nauczanie. Zbiór przypowieści i komentarzy do Pisma Świętego.

Talmud — **Tora** Szkoła Tory.

tefilin Filakterie nakładane przy porannej modlitwie w powszednie dni. Jedną część umieszcza się nad czołem, drugą na lewym ramieniu za pomocą czarnych rzemyków, którymi owija się spiralnie ramię i środkowy palec.

Thilim Księga Psalmów. **woje jynge** Morowe chłopaki. W tekście: grupa Hersza Jaszy.

ynzer hajm Nasz dom.

zichrono i **wrscha** Błogosławionej pamięci.

SPIS ILUSTRACJI

- 1) Borysław. Widok pól naftowych.
- 2) Kopalnia wosku ziemnego. W głębi widoczne wyspy
- 3) Przed I wojną światową wybuchł pożar szybu „Oil City”, trwający tak długo, że zdążyli obejrzeć go Amerykanie, którzy dowiedzieli się o nim z gazet
- 4) Na pierwszym planie szyb z dobrze widoczną koroną, na której „trzeciacy” oznajmiali śpiewnie swą gotowość
- 5) Szyb obok szybu
- 6) Łebacy. Ten z lewej trzyma w rękach wiecheć z traw, którym ściąga ropę z powierzchni wody, ten z prawej ma na ramionach „koromysło”
- 7) Świąteczny ubiór: czarna jedwabna bekiesza i czapa obramowana futrem
- 8) Dwaj znani w Borysławiu Żydzi: z lewej działacz kahań, przewodniczący Talmud-Tory Aron Leyk Friedlaender, z prawej — Sruł Lipschuetz, również działacz kahań
- 9) Podwórze prawie w komplecie: rodziny Blochów, Eisensteinów, Fleischerów, Kleinerów, Nadlerów, Russów. Szosta od prawej stoi Heti Bloch, późniejsza żona autora, siódma — jej matka Dora, na ziemi (z prawej) siedzi jej siostra Beki. Z lewej siedzi Leyk Kleiner, współwłaściciel Podwórza, właściciel kopalni „Na Kleinerze”, ojciec Dolki (nie ma jej na zdjęciu, odsiaduje w tym czasie wyrok), Jonka (stoi pierwszy z prawej) i Sumi (siedzi na ziemi z lewej)
- 10) Dolka ze swoją kwić. Siedzi od lewej: Srułik Weitz, Dolka, Dora Doerfler-Henfeld. Berio Bauer. Stoją od lewej: Schuster (imienia nie pamiętam), nie wiem już kim był następny, potem stoi Szymek Nadler, Mundzio Krochmal, Neuman (imienia nie pamiętam), Wilek Strasser
- 11) Dossor w Kazachstanie. Od lewej autor, jego żona Heti (siedzi), jego siostra Betka Heid, szwagierka Beki Bloch-Meisels, Mundek Weitz
- 12) Żydzi własnymi rękami kopią sobie groby
- 13) Fanka Samuel-Czaban przed pomnikiem ku czci pomordowanych przez hitlerowców w Borysławiu. Napis nie wspomina ani słowem o tym, że byli Żydami

Pozostali przy życiu ufundowali pod rzeźnię pomnik borysławskim Żydom, ofiarom okupacji

Ilustracja numer 1 pochodzi z książki Nauwelaertsa *Najfa potęga ziemi*, numery 2, 3, 6 — z książki Stanisława Giry *Na ekranie życia*, reszta ze zbiorów autora.

SPIS TREŚCI

Od autora

I. POCZĄTKI

Nietawne narodziny
Z pachciarza dziedzic

II. BORYSŁAW NASZEJ MŁODOŚCI

A Tymienica nadal płynie
Niezapominajki znad Tymienicy

Borysław naszej młodości

Od pola Schorra do Stadionu ŻKS Kadimah

III. MY ŻYDZI BORYSŁAWSCY

Ponad własne środowisko wyrosli
W wieku przedmaturalnym — już wynalazcą

Saga

rodu Schiffów

Młodość Ieka Millera: KSIĄŻKI

Z pieśnią poszedł między ludzi, „była pomocą przy czynnościach
Jego”

Edmund Semil

Dolka

Przeżyć swoje wnuki — to straszne

IV. AZKARA

O pamięci i niezwykłej Księżce

Jedenaste: Nie zapomnij!

Nocą przychodzi cienie dawno minione...

Bez nekrologów

Tylko miejsce i groby zostały

Jeszcze jedno drzewko świętojańskiego chleba

Podsumowanie

Pierwszy dzień i... potem

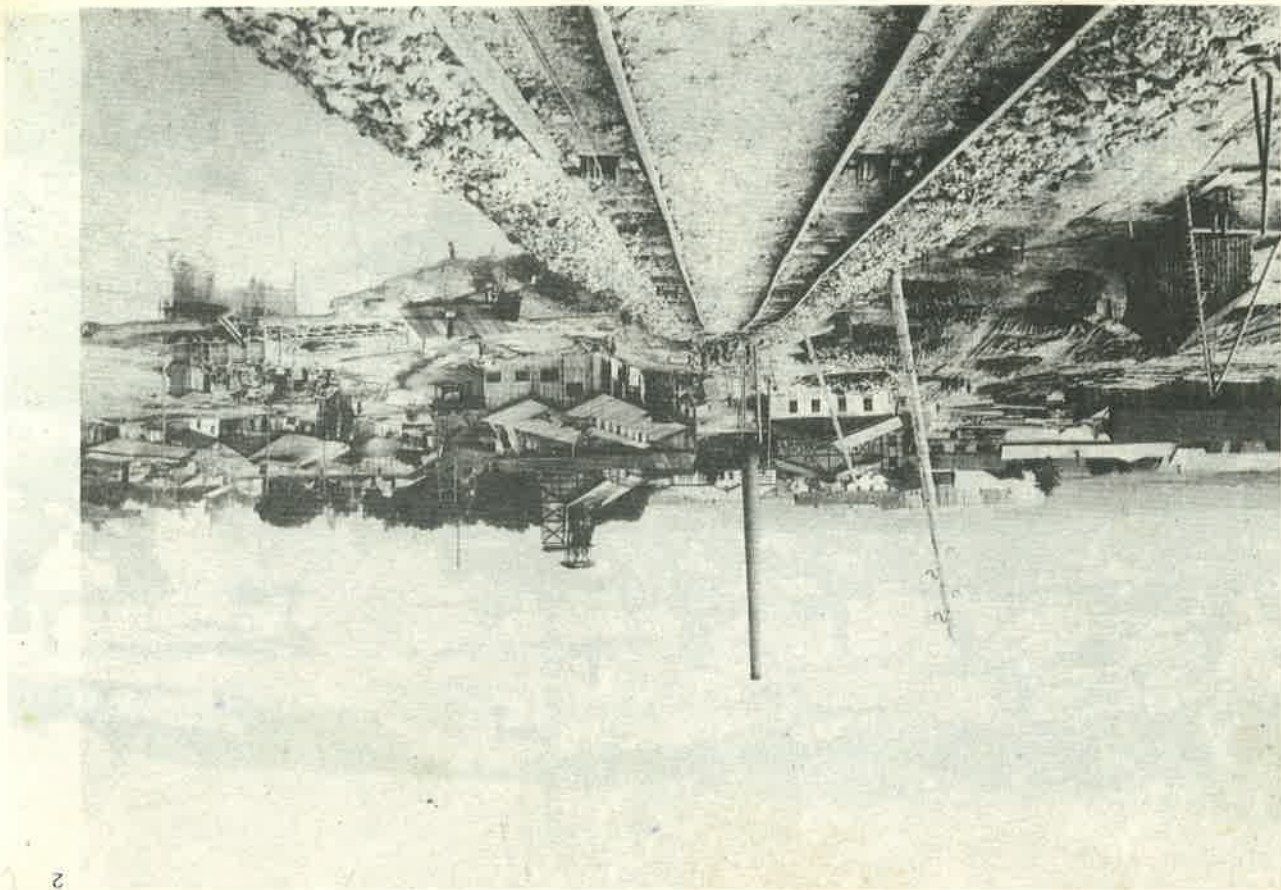
Ani ta ulica — ani ten dom

Śmierć cmentarza

Indeks nazwisk

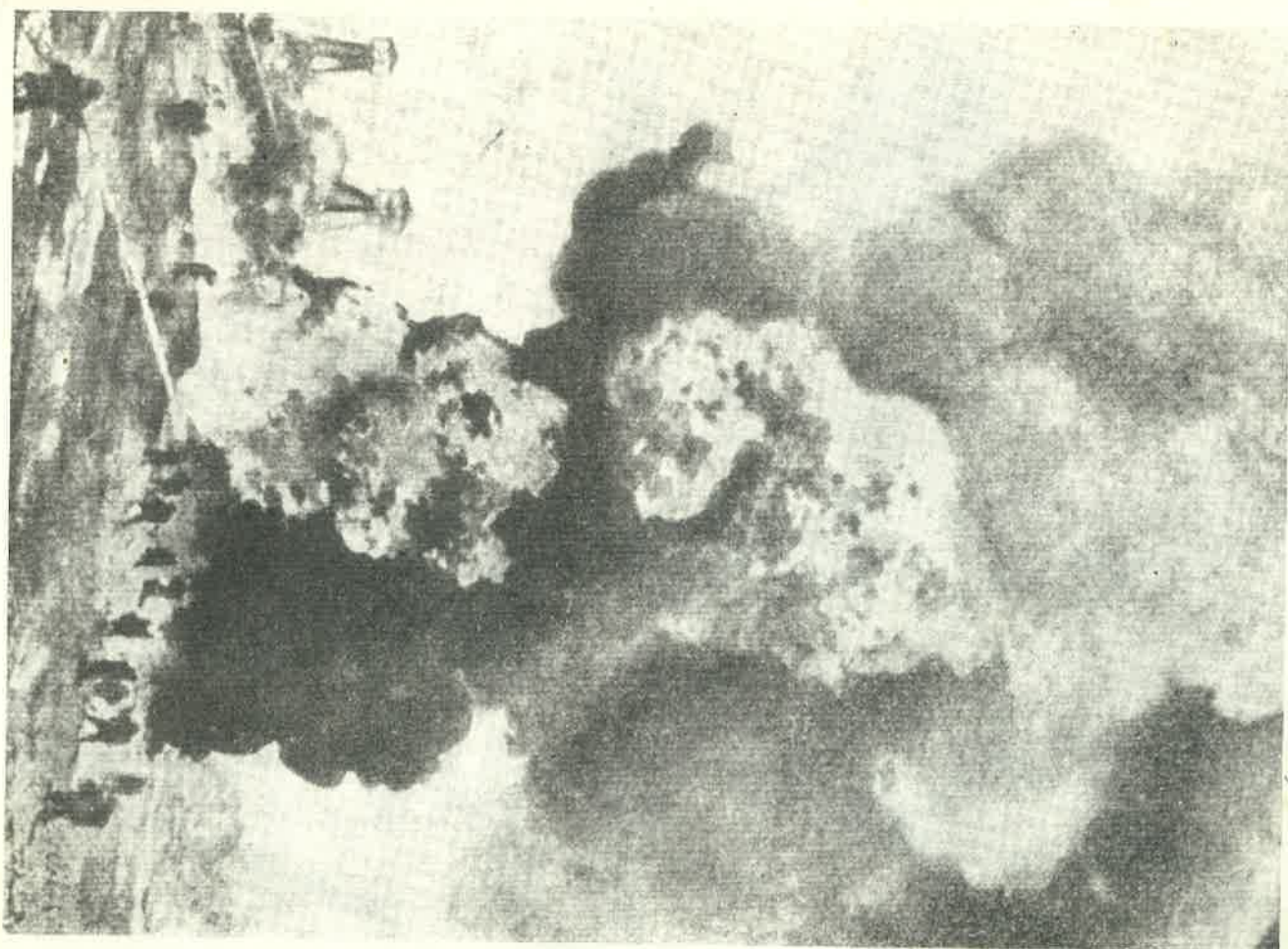
Słowniczek ilustracji





(X)

2

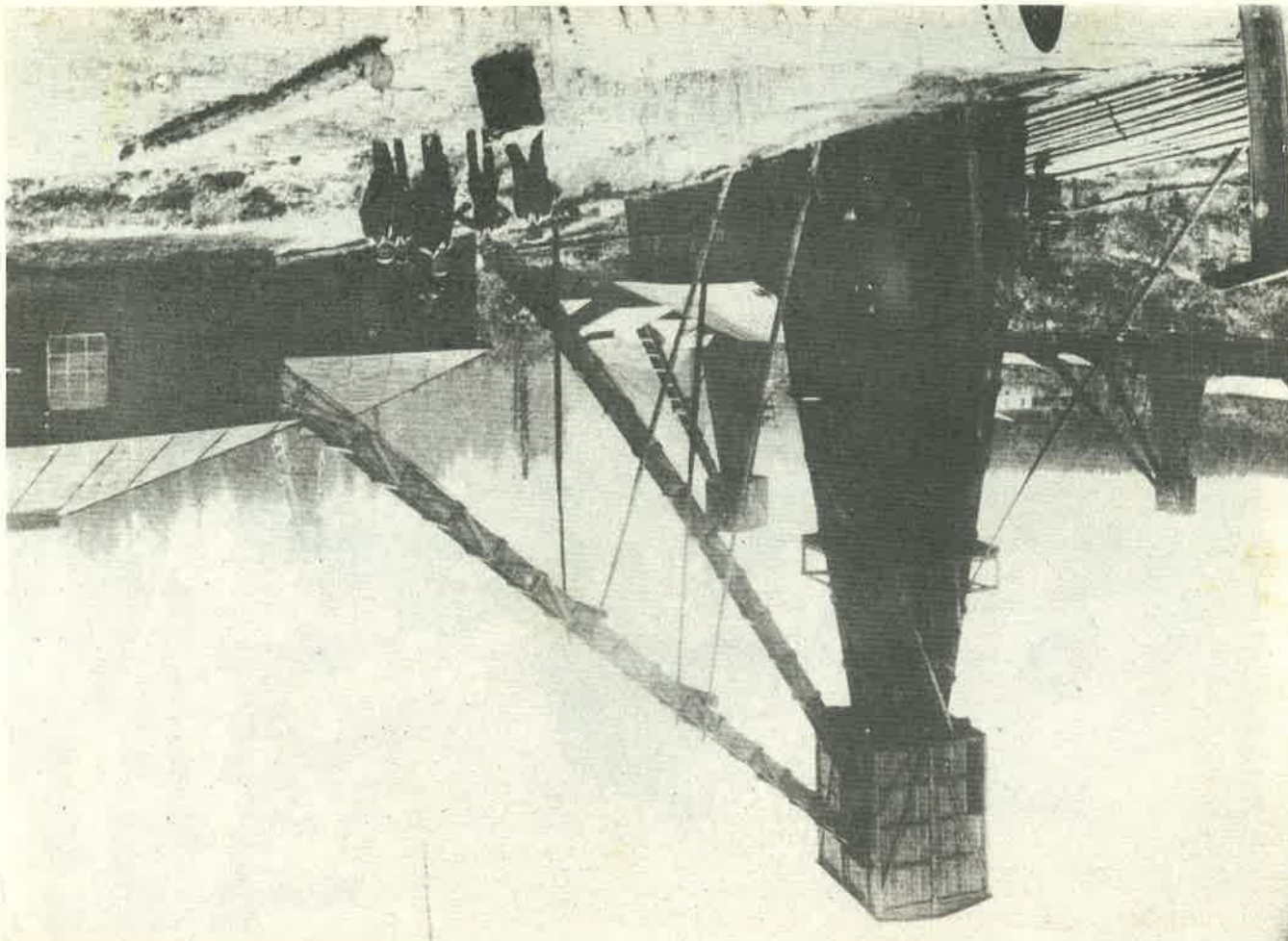


122

(X)

3

12



22

(X)

4



(R)

153 (C)

23



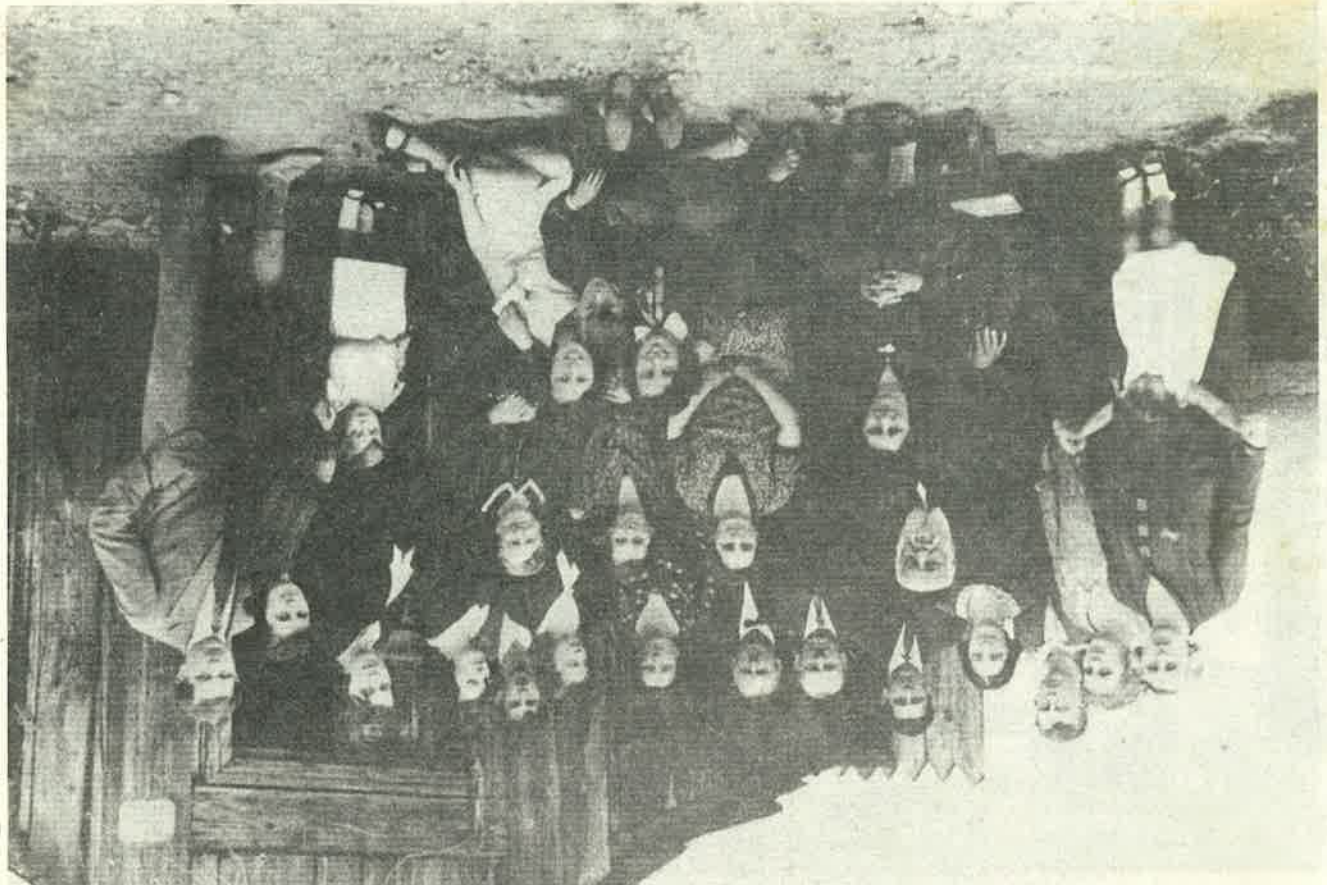
6



124

7

12





Leopold Held
A TYŚMIENICA NADAL PIYNIE

Errata Powinno być: Str. 166

SPIS TREŚCI

Od autora	5
I. PO CZATKI	7
Nielatwe narodziny	8
Z pachciarza dziedzic	35
II. BORYSLAW NASZEJ MŁODOŚCI	43
A Tyśmienica nadal płynie	44
Niezapomniajki znad Tyśmienicy	49
Boryslaw naszej młodości	54
Od pola Schorra do Stadionu ŻKS Kadimah	62

III. MY ŻYDZI BORYSLAWSCY	81
Ponad własne środowisko wyrosli	82
W wieku przednaturalnym - już wynalazcą	89
Saga rodu Schiffów	93
Młodość Icka Millera: książki	97
Z pieśnią poszedł między ludzi, „była pomocą przy czynnościach jego”	101
Edmund Semil	106
Dolka	108
Przeżyć swoje wnuki - to straszne	111

IV. AZKARA	115
O pamięci i niezwykłej księdze	116
Jedenaste: Nie zapomnij!	119
Nocą przychodzi cienie dawno minione	125
Bez nekrologów	127
Tylko miejsce i groby zostały	131
Jeszcze jedno drzewko świętojańskiego chleba	133
Podsumowanie	135
Pierwszy dzień i ... potem	140
Ani ta ulica - ani ten dom	144
Śmierć cmentarza	147

Indeks nazwisk	151
Słowniczek	161
Spis ilustracji	164

